KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/125 1958



• « La Culture » • Revue mensuelle •

A. UZIEMBŁO: **NA PRZYSTANKU...**

J. ZUBRZYCKI: **POLONIA AUSTRALIJSKA**

Z. ROMANOWICZOWA: **PARAWAN**

M. SOKOLNICKI: **KORESPONDENCJA STALINA**

SPIS RZECZY





KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1958



INSTYTUT LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Dr Karol Boniarczyk, New York (USA)	1.260 fr.
Zbigniew Raciszewski, Akron, Ohio (USA)	2.520 "
M. W. K. (Australia), ponownie	2.250 "
Bezimienne (USA)	1.700 "
Ludwik Seidenman, New York (USA) zamiast kwiatów na grób nieodżałowanej pamięci Anatola Muhlsteina	5.000 "
Marian Jaworski, Chicago, Ill. (USA) ponownie	2.100 "
Anonimowo, Paryż	5.300 "
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA)	850 "
A Cassel-Kokczyński, Londyn (Anglia)	5.000 "
J. Masiewicz, Toronto, Ont (Kanada) ponownie	850 "

DZIĘKUJEMY



DODATKOWA WPŁATA NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

K. Bezubik, Athol Park, S.A. (Australia) .... 1.200 fr.

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Na przystanku...

Zjazd dziesiąty PPS, a pierwszy frakcji rewolucyjnej obradował zimą roku 1907-go w obszernej, jasnej sali konferencyjnej Arbeiterheimu w Wiedniu. Na podium trwał już od szeregu dni Herman Diamand, kierując niestrudzenie obradami. Po jego lewej ręce referent programu, Ignacy (Witold Jodko-Narkiewicz), dalej Juliusz (Feliks Perl) (x), notowali skrzętnie szczegóły dyskusji. Na prawo od przewodniczącego mównica. Niżej, w przyciemnionej części sali przy stoliku — Ignacy Daszyński, o wspaniałej siwiejącej grzywie, obok Mieczysław (Józef Piłsudski). Krzaczaste brwi, gęsty, twardy zarost spiczastej brody i wąsów okrywał twarz bladą, wymizerowaną, ale pogodną. Za nim, przy dalszym stoliku Gustaw (Walery Sławek), i niby dwaj adiutanci: Paweł (Mieczysław Dąbkowski) i Agrafka (Władysław Dehnel). Tuż Ludwik Gumplowicz i Zygmunt Heryng, którzy szykowali się właśnie do boju o zasady programu rolnego. Resztę sali pod wielkimi oknami zajmowali delegaci okręgów i poszczególnych wydziałów pracy. Między nimi nad stosem papierów siedział Adam (Feliks Turowicz) (x). Papiery i druki mieli zresztą wszyscy przed sobą. Sekretariat zjazdu doręczył każdemu zgłoszone projekty programów, rezolucji w sprawie taktyki, i wnioski. Każdy miał zapas kartek do notatek.

Któryś z mówców opuszczał trybunę. Diamand spojrzał na listę zapisanych i wyrzekł tubalnym basem:

— Głos ma towarzysz Leszek.

Na tle wnęki okiennej podniosła się od stołu smukła postać Michała Sokolnickiego. Blada twarz okolona miękkim, ciemnym zarostem, czarny do kolan tużurek-anglez. Na zaproszenie przewodniczącego na katedrę, odpowiada prośbą o pozwolenie mówienia z miejsca, bo tu, na stoliku ma rozłożone materiały. Spojrzał przez okno, zbierając myśli, przeciągnął ręką po włosach.

(x) Pseudonimy zjazdowe.

— Chciałbym rzucić parę ogólnych uwag o tym kierunk socjalizmu, który reprezentujemy, a który ma zostać sformu łowany w nowy program. Dla tego kierunku nie znajduję inn nazwy jak socjal-patriotyzm. Nazwa ta dźwięczy nam nieprzy jemnie; ukuta została przez naszych przeciwników; ale dotą innej, lepszej, dokładniejszej, nie wynaleźliśmy...

Coś — jak uderzenie prądu. Szukałem w myśli lepszeg słowa. Nie! Nie ma! Ze zdumieniem i nieomal uczuciem pora ki wycofywałem się z odruchowego protestu i przyznawałe Leszkowi rację. Mieczysław uśmiechał się zachęcająco.

Nazwę socjal-patriotów rzucali nam urągliwie esdecy. Uwa żaliśmy ją nieomal za obraźliwą. I oto Leszek, nie tylko his toryk, ale pisarz o znakomicie opanowanej polszczyźnie ni znajduje lepszego określenia na naszą ideologię. Składowe częś ci zresztą uzasadnione. Zawierały i moment uczuciowy — rzec istotną.

Leszek mówił dalej, ozdobnie, z pewnym napięciem nerwo wym człowieka, który nie bez przekory (egzageracji, powi działby Piłsudski) stawia kropkę nad i. Mówił o polskim socja lizmie, którego zadaniem jest ująć całość dążeń robotnika i ca łość polityki niepodległościowej, państwowej — narodu.

Polski socjalizm. Zaledwie kilka miesięcy temu ośmieliłe się użyć tego terminu publicznie. Zostałem surowo skarcon przez koryfeuszy prawomyślności socjalistycznej. I oto słysz że Leszek go podejmuje. Ba, idzie dalej, przyjmując urągliw nazwę socjal-patrioty!

Tak ze stryczków, którymi groził kiedyś książę Alba pow stańcom Holandii — wysrebrzyły się akselbanty.

Cóż? Akselbanty te noszą dziś ludzie... Ale nie o nich mo wa.

Przemówienie Sokolnickiego właśnie przez swoją form miało być zamknięciem pewnej epoki życia PPS. Zamknięci dobrze przygotowanego w ciężkiej, ofiarnej pracy. Walcz o nie Bolesław Limanowski zagranicą. Spór o nie w kraju po jął Amerykanin, (Józef Uziembło), stając twardo przeciw ko mopolityzmowi Ludwika Waryńskiego i Kazimierza Dłuskieg Było to jeszcze przed rokiem 1880-ym. Zdawałoby się, że zja Paryski i założenie PPS w roku 1892-gim już rozstrzygnę sprawę. Ustaliło program, praktyka kształciła go nie jako ha ło ponętne, lecz jako postulat, ziszczenie którego staje się ob wiązkiem. A przecie nieraz jeszcze odpadały jednostki i grup nieumiejące temu obowiązkowi podołać.

PPS krzepła i rosła. Wchłaniała różne żywioły przez urc siły swej organizacji. Wchłaniała i tych, których bardziej p ciągała dogmatyka pseudo-marksowska, niż mozolne wyprac wywanie drogi własnej, na własnym gruncie. Oczywiście, największy napływ tego żywiołu przypada na okres rewolucy nego poruszenia lat 1904 i następnych. „Młodzi", czy też „l wica" osiągnęli górę w partii. Na trzech zjazdach uzysk większość. Na ostatnim, IX-ym, zdecydowali się na krok ost

teczny — „postawili poza obrębem partii" organizację bojową i jej kierownictwo.

Pierwotny trzon ideowy PPS — wystąpił jako samodzielna organizacja i wygrał.

Przy Frakcji Rewolucyjnej pozostała cała organizacja bojowa, najbardziej zwarta część partii, która znaczną część swoich sił oddała teraz agitacji. Była ona związana bezpośrednio z osobą Piłsudskiego. Pozostała przy Frankcji prawie cała technika, to jest drukarnie (z centralną drukarnią „Robotnika") (x), transport i punkty graniczne. Wszystko to stworzyli i trzymali mocno w rękach Feliks Turowicz i Józef Uziembło. Natychmiast więc po rozłamie prasa partyjna wyszła pod firmą Frakcji.

I jeszcze więcej. W rękach Frakcji Rewolucyjnej zostało prawie całe przedstawicielstwo zagraniczne, oparte przede wszystkim na parlamentarnej reprezentacji Socjalnej Demokracji Galicji i Śląska, której przewodzili Daszyński i Diamand. Ich rola była decydująca i nie zdołał jej podważyć Zygmunt Żuławski. Jego usiłowania odcięcie Galicji od polityki niepodległościowej przy pomocy Związków Zawodowych zawiodły.

Komitet centralny lewicy znalazł się w sytuacji krytycznej i musiał stawiać na nowo całe zręby swojej roboty, co wymagało ogromnego wysiłku i to tym bardziej że i jego podstawy ideowe były dość słabe. Po odrzuceniu programu niepodległości granica pomiędzy PPS frakcją „umiarkowaną" — jak ją złośliwie nazwał Jodko — granica i powtarzam pomiędzy nią a Socjal Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy zacierała się — aż znikła w latach wojny.

Ignacy Daszyński twierdzi w swoich pamiętnikach, że rozłam ten zachwiał ostatecznie wpływy socjalizmu w Kraju. Przede wszystkim przyjmuje on przyczynę za skutek. Rozłamy idą zawsze za osłabieniem tętna napięcia rewolucyjnego. Przeszły one wówczas przez całe życie polityczne Polski, rozszczepiły niemal wszystkie stronnictwa. Rozłam jednak PPS miał o wiele głębsze znaczenie. Przy Frakcji Rewolucyjnej wraz z Piłsudskim zostały siły dążące do ujęcia kierownictwa całego ruchu niepodległościowego, przyjęcia na siebie odpowiedzialności za samą Polskę. Po drugiej stronie było to, co myślało wyłącznie kategoriami opozycji. Frakcja Rewolucyjna dała podstawę do akcji wojskowej i pociągnęła za sobą Galicję.

Dzieje potoczyły się swoją koleją. Już w parę lat potem Józef Piłsudski bierze urlop z roboty politycznej, by poświęcić się całkowicie tworzeniu wojska. A gdy wojna skończyła się — według słów własnych „wysiadł z pociągu partyjnego na przystanku, który nazywa się Niepodległość". Wystąpienie nie było zerwaniem. Jeszcze w roku 1927-ym Mieczysław Niedziałkowski w „Robotniku" przypominał słowa Komendanta: „PPS, partia, do której miałem zaszczyt należeć".

(x) W centralnej drukarni *Robotnika* przy ul. Foksal pracowali wtedy Władysław Uziembło, Zofia Rowińska i Stanisław Kowalski.

Ale w tym samym mniej więcej czasie gdy niepodległoś świeciła barwami młodości i życia powiedział Piłsudski: ,,J swoje życie przegrałem''. Nie wielu ludzi wówczas zrozumiał te słowa.

A trochę później — błyskawicą czas leciał — niezłomn bojownik socjalizmu, Kazimierz Pużak powie: ,,Straciliśmy do robek całego życia — wszystko w co wierzyliśmy i czemu słu żyliśmy leży w gruzach''.

Gdy przeczytałem te słowa, w pamiętnikach Zygmunt Zaremby — przyszły mi na myśl inne słowa Piłsudskiego — ,,Polska jest skazana na wielkość''.

Słowa te przewijały się przez owo przemówienie Michał Sokolnickiego w Wiedniu. Ba, brzmiały one w całości prac dokonanej przez PPS w latach od 1892-go aż po rok 1914-ty

Później — życie niosło niespodzianki — układało się ina czej niż wróżyły przewidywania.

Tragedia, jaką przeżyliśmy w tym okresie nie znalazła do tąd ujęcia sine ira. Zbyt wiele bolesnych spraw narosło. Zby wiele win — nie po jednej stronie. Niestety — dziś jeszcz wszystko to tylko zagadać się usiłuje. A dzieje PPS? Tak ła wo zrobić z nich bohaterską legendę. Tworzenie organizacji w głodzie i niedostatku — wśród ofiar, którym przyszło ,,gnić w tajdze Sybiru''. Potem bojówka — jej walka zaciekła... Jes to materiał duży — bynajmniej nie wyzyskany. Ani jedna pos tać, nawet tak barwna jak Bolesław Limanowski, jak Ignac Daszyński czy Montwiłł-Mirecki nie doczekały się poważniej szego studium. To, co mamy dotąd — to porcelanowe figurk lakierowanych świątków bez życia i bez prawdy psychologicz nej. Nie ma w tym ani bytowania środowiska w którym prac wali, ani reakcji otoczenia — gromady ludzkiej. Najwyże chwalba i uwielbienie a po drugiej stronie nienawiść i potępie nie. To nie wychowuje. Pisanie *ad usum* stronnictwa czy grup nie jest nawet rejestracją faktów — to propaganda na krótk metę — w najlepszym razie. Najczęściej zła propaganda.

A tymczasem krótki okres 1892 do 1920 to ogrom przeży politycznych czynnej części narodu. Zamazywanie ich prowa dzi tylko do zagubienia ciągłości własnego rozwoju.

Szkic ten nie może wypełnić tej luki. Chcę tylko rzuci okiem na parę zjawisk, nad którymi warto się zastanowić.



Obserwatora dziejów PPS uderza obszar jej działalnośc zasięg terytorialny. A więc. ,,Robotnik'' najpierw wychodzi n Wileńszczyźnie, potem w Łodzi, w Kijowie, w Warszawie. Zja dy partyjne odbywają się w Paryżu, w Ponarach, w Mińsku L tewskim, we Lwowie, w Wiedniu.

Ośrodki pracy wydawniczej są początkowo w Genewie, po tem w Londynie (,,Przedświt'', organ teoretyczny, ,,Światło'' organ popularny, ,,Kurierek zagraniczny'' — skrót wiadomoś

politycznych ze świata). Pracują tu Jodko, Leon Wasilewski, Bolesław Antoni Jędrzejowski. W Paryżu organ informacyjny partii w języku francuskim redaguje Kazimierz Kelles-Krauz. Z czasem znaczna część tych wydawnictw przenosi się do Krakowa. W Londynie pozostaje tylko archiwum.

Do kraju dochodzi literatura przez doskonale zorganizowane punkty graniczne. Jeden w Wierzbołowie prowadzi Aleksander Sulkiewicz, a następnie Józef Nowicki. Drugi — to droga okrężna przez Szwecję, Finlandię i Petersburg, gdzie organizacją kierują Władysław Dehnel i Jerzy Iwanowski. Oczywiście, że przerzut ten odbywa się przy pomocy stosunków z zagranicznymi socjalistami.

PPS utrzymuje stosunki zagraniczne bardzo ożywione. Na każdym kongresie drugiej międzynarodówki są jej delegaci — Piłsudski, Jodko, Ignacy Mościcki, Stanisław Wojciechowski. Obok nich występują Daszyński, Diamand, Kazimierz Mokłowski, Tadeusz Reger. Wszystko to indywidualności równoważące z nadwyżką wpływy Róży Luksemburg i jej otoczenia. Waga ich jest tym znaczniejsza, że wspierają je mandaty poselskie do parlamentu austriackiego przedstawicielstwa Galicji — które są oczywiście bardziej jasne niż pełnomocnictwa wydane przez organizacje konspiracyjne.

Partia ma stosunki szerokie, co pozwala jej stawiać żądania względem Międzynarodówki i uzyskać aprobatę od niej dla postulatu niepodległości.

Dla PPS — niepodległość to nie hasło, to nie stroik do zyskania sympatii. To postulat — przedmiot bezpośredniej walki — Zdobycie jej — to praca, nie tylko kalkulacja i rachunek na to co życie przyniesie. Wrogiem pierwszym jest carat rosyjski — jest imperium rosyjskie. Tu koncentruje się walka.

Otóż to — walka! Jak zmierzyć jej możliwości?

W Królestwie Polskim stała ćwierćmilionowa załoga wojskowa. Nie licząc aparatu administracyjnego.

Kilka tysięcy rubli rocznego budżetu PPS — to suma mikroskopijna. A społeczeństwo? Odrzućmy sprawozdania, obliczenia i wszystkie tak zwane dane obiektywne. Weźmy do ręki obrazki tego społeczeństwa z powieści Żeromskiego — ,,Syzyfowe prace'', albo ,,Uroda życia''. To wystarczy. Ubóstwo, bezradność, bierność. Chłop — tyle że katolicki. Pamięć pańszczyzny — żywa. Pamiętają ją jeszcze nie najstarsi. Dopiero przed laty trzydziestu została zniesiona przez cara Aleksandra II. Robotnik? Ciemny, pracujący po kilkanaście godzin dziennie, zarabia źle. Niezadowolony? Oczywiście — ale tego rodzaju niezadowolenie prowadzi czasem do rozpaczliwych zrywów. Robotnik nie wie jeszcze co to jest solidarność. Nie wie co to organizacja, życie.

W kołach myślących trwa przerażenie po klęsce roku 1863-go. Ugoda — jeżeli się nie da wywalczyć — może? może się da wybłagać! Może lojalnością da się na łaskę zarobić? A ugoda opiera się na nazwiskach — Bobrzyński, Tarnowski,

Spasowicz, Szujski. Z Zachodu idzie wiara we wszechmo nauki — i stąd podnieta do pracy organicznej. Przemysł, han del, drogi, nawozy...

Garstka inteligentów, która zgromadziła się w Paryż i obwieściła powstanie Polskiej Partii Socjalistycznej, miała za pewne jakieś stosunki w kraju. Może kilka dziesiątków ludz Kilka grupek strojnych w mniej lub bardziej rozgłośne nazwy I z tymi siłami podejmować walkę?

Lecz wszystkie dane są zawodne. Życiem rządzą siły, któ rych obliczyć nie podobna. Odwołamy się znowu do świadec twa tak zdecydowanego pesymisty jak Żeromski. Szkoła rusy fikacyjna z ,,Syzyfowych prac''. Wizytuje ją inspektor rosyjski Przepytuje. Żaden z chłopców po rosyjsku nie umie. Więc rob policyjną próbę. A po polsku? Po polsku czytają. Kto nauczył Może organista, może panienka ze dworu? Może jakiś włóczęga jak w ,,Chłopach'' Reymonta. Bezimienny — wszędzie obecny To nie organizacja. To coś głębszego. Coś — co wykolejeńc nieraz wynosi do godności działacza społecznego. Żadna liczba nie uchwyci tego zjawiska. Ale w sumie to coś sprawiło, że w Polsce, pozbawionej szkoły, większość ludności męskiej umiał czytać. A kto czytał w wierszach — ten wnet posiadł umie jętność czytanie między wierszami. Nie wszystkie ministerstw oświaty w Europie osiągały wówczas takie rezultaty. Jeśli si mówi o realnych siłach — trzeba i to włączyć do rachunku.

Budżet roczny PPS przed rokiem 1900-ym wynosił jakie trzy do sześciu tysięcy rubli. Jeden zrzut baloników Wolnej Eu ropy wynosił wielekroć więcej egzemplarzy niż ich wyszło spo prasy PPS w ciągu lat dziesięciu. Wielokrotnie więcej niż wy puściły w tym czasie wszystkie polskie organizacje konspira cyjne. Ale hektografowana odbitka, którą z trudem przychodzi ło odcyfrowywać posiadała wagę pracy, grozę katorgi, więzie nia, urok męstwa, poświęcenia. Człowiek to rozumiał. Jeśli ni rozumiał — to czuł, że w niej tkwi wysiłek nieznanej, tajem nej mocy. To nie mistyka. Tylko tego obliczyć nie można.

Ale nie tylko to. Mnoży się jakoś w niepojęty sposób sam wydajność pracy. To nie jest tak proste — wydać 35 numerów ,,Robotnika'' na pedałówce. To znaczy napisać, zebrać kores pondencję, złożyć czcionki w szpalty, przełamać. Przynieść pa pier, farbę. A po wydrukowaniu — roznieść. Piłsudski to sam robił. A oprócz tego kierował organizacją, która to rozpow szechniała i zbierała na to opłaty. I jeszcze prowadził kores pondencję. I odbywał podróże.

A przecież są i inne fakty, także zdumiewające. Ot w ciągu niespełna roku troje ludzi na innej pedałówce odbij 1.300.000 druków! (x).

(x) Drukarnia przy ulicy Komitetowej 4 w Warszawie. Pracowali w niej Józef Uziembło, Stanisław Siedlecki i Felicja z Iwanowskich Siedlec ka. Po odbiciu milionowego egzemplarza drukarnia wysłała sprawozdani

Organizacyjnej pracy ludzkiej niesposób ująć w liczby. Widziałem niejednego co przez dłuższy czas miewał dziennie po cztery masówki oraz kilka zgromadzeń fabrycznych i dzielnicowych. Od czwartej rano do 12 w nocy — przez całe miesiące. Praca organizacyjna wypełnia wszystko, całość życia. A przecież trzeba dla niej materiał zbierać.

Dorobek wydawniczy PPS nie jest wielki. Pisma i broszury — rzadko szczupła książka. Programowa robota odbywała się w rozmowach, w korespondencji. W te rozmowy i w korespondencję wkładało się całość własnych przeżyć. A program ucieleśniali ludzie. Socjologia nie zna metody dla badania tych spraw, a przecie to są fakty. Fakty, których znajomość daje dopiero rękojmię poznania istoty rzeczy — daje możność śledzenia roboty politycznej.

W świetle tych faktów polityka ,,rozumnych szałem'' posiada czasem — dodajmy to dla ostrożności — przesłanki zupełnie realne. I dlatego wyrazu ,,Walka'' możemy użyć bez cudzysłowu, choć z jednej strony były miliony i milionów krocie — a z drugiej tylko nikłe tysiące rubli. W tej walce program ziszczali ludzie.



Józef Piłsudski wstępuje do PPS po powrocie z Sybiru, to jest w roku 1893-cim. Wstępuje jako przedstawiciel sekcji litewskiej. W tym postawieniu sprawy tkwił już program. PPS obejmowała swą pracą Litwę w historycznym tego słowa znaczeniu. Objęła Litwę jako obszar zamieszkały przez kilka narodów wraz z Polakami. Rzeczą tych narodów będzie decydować o swoim losie w przyszłości, to jest w chwili wyjarzmienia. Tak mówiła prasa podziemna. To samo zapowiedziała odezwa Naczelnego Wodza do ,,Narodów Wielkiego Księstwa Litewskiego'', ogłoszona po zdobyciu Wilna w roku 1919-ym.

W Kraju praca się rozszerza. Zmieniają się ludzie. Stanisław Wojciechowski, Aleksander Sulkiewicz, Ludwik Kulczycki, a potem już ze sfer robotniczych przychodzą Bolesław Czarkowski, Tomasz Arciszewski. Przez siedem pierwszych lat nie ustaje Józef Piłsudski.

Jodko w tym czasie przenosi się do Lwowa. Tu nawiązuje bliskie stosunki z miejscowymi kołami socjalistycznymi. Pozyskuje dla polityki niepodległościowej najwybitniejszych ich przedstawicieli Hermana Diamanda, Kazimierza Mokłowskiego, których wpływ w kołach lwowskich był decydujący. Jodko jednak rozpoczyna pracę szerszą. Przede wszystkim podejmuje pracę wśród młodzieży. Przy pomocy Ludwika i Stanisława Siedleckich, Aleksandra Litwinowicza tworzy koło pracujące i na

z załącznikami na ręce Hr. Witte, rosyjskiego prezesa rady ministrów do Petersburga, jako potwierdzenie jego słów, że nie sposób walczyć z prasą tajną, gdyż mobilizuje się w niej siły ,,nadspodziewane''.

uniwersytecie i na politechnice. Napływa doń i element gal[icyjski] — Kazimierz Bartel, Michał Wyrostek, Stanisław Kach[nikiewicz], a przede wszystkim ofiarni bracia Aleksander i Maria[n] Wieleżyńscy. W tym gronie powstaje właśnie miesięcznik dl[a] młodzieży ,,Promień'', a niebawem i organizacja Promienistych, która wychowa szereg działaczy już na rok 1904. Sporo legio[nistów] wyjdzie z tych szeregów.

Jodko, który doktoryzował się na podstawie pracy o po[l]skim socjalizmie utopijnym, uczynił bardzo wiele, by wychowani[e] tej młodzieży nawiązać do tradycji polskiej, by u podstaw samo[kształcenia] były dzieje polskie porozbiorowe. Wykończy zreszt[ą] cały system prac w tych kołach dopiero w parę lat potem Maria[n] Kukiel.

Jodko na tym nie poprzestaje. Usiłuje pozyskać Ukraińców. Najbliższym jego współpracowniikem zostaje młody aplikan[t] (koncypient po lwowsku) adwokacki, Mikołaj Hankiewicz, zna[komity] mówca, człowiek o dużej inteligencji i wielkiej kulturz[e] — jeden z twórców Ukraińskiej Partii Socjalno-Demokratycznej. W domu Jodki bywa Iwan Franko i Teofil Mełeń i szereg in[nych] działaczy ukraińskich. Jodko referuje im sytuację w Kijow[szczyźnie] i domaga się rozszerzenia roboty na zabór rosyjsk[i]. Tu jednak nie wiele może uzyskać. Franko, który całą dusz[ą] był oddany tej myśli, już był stoczony przez chorobę. Hankiewic[z] zapadał poważnie na płuca. Inni — jakkolwiek rozumieli donio[słość] zagadnienia — po prostu nie mogli się zdecydować n[a] zmianę gruntu, na rzucenie się w konspirację i do tego w wa[runkach] zupełnie nieznanych. A tymczasem stamtąd idzie woła[nie] — wołanie Polaków, którzy już rozpoczęli robotę. Jest wśró[d] nich i Józef Nowicki. Bo dla PPS było rzeczą zupełnie jasną, ż[e] dla Polski sprawa Ukrainy nie jest obojętna. Ukraina niepod[legła] — to warunek naszego bezpieczeństwa. Wszystko jedno czy będzie ona sfederowana z Polską czy nie — to zagadnieni[e] zupełnie inne. Rozstrzygnięcie go zostawiało się na później. Chodzi o to, aby była i była naprawdę niepodległa.

Więc na Ukrainę wyruszają Polacy. Jedni, jak Nowick[i] niebawem powrócą. Ale są i tacy, którzy przyjmą i narodowoś[ć] ukraińską. Ze Lwowa wyruszył między innymi Ludwik Sie[d]lecki. Zasłynie on niebawem jako Sawa Kryłacz. Postać napraw[dę] piękna. Rozkochany w Ukrainie jako w ziemi, która go wy[karmiła], wyrusza, jak powiadał, ,,na Zaporoże'', by jej służy[ć]. Niejedną godzinę spędził on na rozmowach z Jodką. Przycho[dził] do niego — wielki, czarny, w kozackich spodniach, w ko[szuli] wyszywanej. Na kijowszczyźnie zaś spotkał tych, którz[y] szli tam pod wpływem Piłsudskiego. Stworzyli organizację nie[podległościową]. Program ziszczali ludzie.

W tym samym czasie trwała wydatna praca socjalistyczn[a] w ośrodku petersburskim. Kolonia polska była tu dość liczn[a]. Były kuchnie polskie, było i Towarzystwo Dobroczynności hojni[e] wspierane przez Kronenberga i innych. Tu powstała organiza[cja] PPS której przewodzili Władysław Dehnel i Jerzy Iwa[...]

nowski. Przyjeżdżał tu często Aleksander Sulkiewicz przede wszystkim w sprawach organizacji przemytu przez Szwecję. Ogromną wagę do tej placówki przywiązywał także, ze względów politycznych, i Józef Piłsudski. Organizacja Petersburska PPS nieraz przenikała w tajniki kancelarii carskich. Ona to, między innymi, wydobyła memoriał księcia Imeretyńskiego, generała-gubernatora Warszawy, który wykazał zupełną bezpodstawność wszelkich nadziei na uzyskanie czegokolwiek przez ugodowców. Dehnel i Iwanowski mieli nadto specjalną rolę : utrzymywali stosunki z przedstawicielami narodów ujarzmionych przez carat. W Petersburgu gromadzili się podówczas Gruzini, Tatarzy, Ormianie, Litwini, Łotysze, Estowie, Białorusini i inni. Oczywiście Iwanowskiego i jego braci najbardziej interesowały narody sąsiadujące z Polską. Materiału teoretycznego dostarczyły prace Leona Wasilewskiego, na które Piłsudski kładł taki nacisk.

Trudno było znaleźć prawdziwych niepodległościowców wśród tej różnojęzycznej młodzieży. Brak tradycji państwowej, brak jakiegokolwiek uświadomienia narodowo-politycznego stanowiły kajdany gorsze od carskich. I znowu — warunkiem bezpieczeństwa Polski jest niepodległa Białoruś, Litwa, Łotwa, Estonia. Wtedy bracia Iwanowscy stają do roboty. Tomasz — zostaje Litwinem. Został nim szczerze i oddał się pracy dla Litwy. Wacław — przyjmuje narodowość białoruską. Nie byli to bynajmniej ludzie tuzinkowi. Wacław Iwanowski zginął potem, jako minister niepodległej Białorusi, w Mińsku z rąk sowieckich. Tomasz Iwanowski był również ministrem w rządzie litewskim, a potem został profesorem uniwersytetu w Kownie. Ludzie ci własnymi osobami zapisywali karty programu niepodległości narodów, które wchodziły w skład dawnej Rzeczypospolitej.

Natchnieni myślą wyzwolenia Polski i narodów sąsiednich szli ludzie wypełniać luki, spełniając program wypisany przez Piłsudskiego w ,,Robotniku''. A nazwisk tych można by przytoczyć długi szereg. Każde z nich to dokument.

Polska jest skazana na wielkość.

Piłsudski był wierny temu programowi i wtedy, gdy prowadził atak na Wilno i wtedy, kiedy wiódł Petlurę do Kijowa.

Wśród naszych sąsiadów zabrakło wtedy sił do walki o niezawisłość. Polska musiała łożyć ofiary na tę walkę. Ale społeczeństwo polskie nie zdawało sobie sprawy z wagi zagadnienia. Piłsudski został bez poparcia. Tego poparcia zabrakło i ze strony PPS. W obronie niepodległości, w roku 1920, zdobyła się ona na maksymalny wysiłek. Zmobilizowała wszystkie swe siły. Ale w chwili, gdy zwycięstwo nad siłami bolszewickimi zostało osiągnięte, gdy trzeba było realizować owoce zwycięstwa — zwyciężyło pragnienie pokoju. Petlura został opuszczony. Sejm ustawodawczy wysłał specjalną delegację do Rygi, by ograniczyć żądania wysuwane przez Jana Dąbskiego, pełnomocnika rządu. Nawet to, co gotów był przyznać Joffe, delegat sowiecki — zostało poniechane. Oddziały polskie wycofały się z Mińska.

PPS na przystanku Niepodległość wycofała się z programu federacji, z programu wyzwolenia sąsiednich ludów. Uwierzyła, jak i wiele innych narodów, w świstek papieru i uznała go za wystarczającą porękę niepodległości. Piłsudski przegrał.

Czy mogło być inaczej? Nie chcemy podnosić tej sprawy. Czy mieliśmy siły do wypełnienia programu wielkości? I to nie jest pewne. Prawda, Sowiety były mocno zagrożone i miały jeszcze wojnę domową na karku. Ale przeciw nam była prawie cała opinia światowych sił demokracji — oskarżenia o imperializm grzmiały na całym Zachodzie. W samej Polsce brał górę nacjonalizm, który streszczał się w słowach Stanisława Grabskiego: „Możemy brać tylko to, co w ciągu najbliższych lat dwudziestu pięciu zdołamy spolonizować".

Polityka polonizowania, wynaradawiania — to małość. To rezygnacja z wielkości.

Adam UZIEMBŁO

Granica troski

CHRUSZCZEW I SZEKSPIR

W południe słyszałem w radio, że Chruszczew powiedział, że Eisenhower jest głupi, więc gdy tylko wróciłem do domu poszukałem sprawozdania o tym w gazecie. Oto ono: „Prezydent Eisenhower jest bardzo utalentowanym człowiekiem o wzniosłych zasadach — powiedział Chruszczew — ale patrzcie jaką głupią rzecz powiedział mówiąc, że istnieje czysta bomba wodorowa. Jak można mieć czystą bombę do brudnej roboty. Oznacza ona zabijanie dzieci i kobiet. Cóż za sprzeczność! Brudne rzeczy nazywać czystymi!"

Tego samego wieczora pojechałem do pobliskiego Stratford. Nasz kanadyjski Stratford jest „on the Avon" w prowincji Ontario. Angielski Stratford jest „upon-the-Avon" w hrabstwie Warwickshire. Oba Stratfordy mają festiwale szekspirowskie. Wzmianka o angielskim Stratfordzie jest tylko dygresją. Chodzi o „Twelfth Night or What you will", grane tego lata w Stratford on Avon. Ta lekka, na pozór niezbyt ważka, komedia zawiera niemal tragiczne motywy szaleństwa zapowiadające Hamleta pisanego w tym samym 1601 roku, ma liryki równe najpiękniejszym jakie wyszły spod szekspirowskiego pióra i ma normalne, banalnie normalne, komediowe rekwizyty, które tym razem szczególnie utkwiły mi w pamięci. Może dlatego, że reżyseria Tyrone'a Gurthrie położyła nacisk na błazeństwa, na „slapstick", na farsę, a może dlatego, że w jednym z komicznych epizodów jak w lustrze dostrzegłem odbicie... praskiej mowy Chruszczewa.

„(Akt III Scena I).

Wchodzi VIOLA i BŁAZEN z bębnem.

VIOLA: Czołem przyjacielu, wraz z twym instrumentem. Czy żyjesz z bębna?
BŁAZEN: Nie panie! Żyję przy kościele.

VIOLA: Czy jesteś księdzem?

BŁAZEN: O nie panie! Żyję przy kościele, bo żyję w moim domu a mój dom stoi koło kościoła.

VIOLA: Mógłbyś powiedzieć, że król leży z żebrakiem jeśli żebrak mieszka w pobliżu, lub że kościół stoi twoim bębnem, jeśli twój bęben stoi koło kościoła.

BŁAZEN: Rzekłeś panie! Takie już dziś czasy! Zdanie jest dla mądrali jak rękawica skórzana, którą szybko można przewrócić lewą stroną na zewnątrz.

VIOLA: Prawda! Ci którzy łatwo igrają słowami, szybko je rozpuszczają.

BŁAZEN: Dlatego wolałbym, aby moja siostra nie miała imienia.

VIOLA: Dlaczego, człowieku?

BŁAZEN: Dlaczego panie? Jej imię jest słowem a igranie tym słowem zrobiłoby z mojej siostry rozpustnicę. Za prawdę, słowa to szelmy prawdziwe, gdyż wierność je hańbi!

VIOLA: Jaki tego powód człowieku?

BŁAZEN: Nie można dać wiary bez słów a słowa tak fał szem zarosły, żem nie rad dowodzić mej racji sło wami".

Kłopoty semantyków znane już były Szekspirowi.

Mowa jest nie tylko narzędziem porozumienia, ale w duże bodajże największej, mierze narzędziem myślenia. Myślimy sło wami i do spraw codziennego współżycia z ludźmi także podcho dzimy zbrojni w słowa. Ale słowa nie są rzeczami czy sprawami o których mówią. Są tylko symbolem tych rzeczy i tych spraw. Są zatem zrozumiałe dla innych ludzi tylko jeśli symbolizują dla nich tę samą rzecz czy tę samą sprawę. A nawet dla nas sa mych, słowa symbolizują ,,prawdę'' tylko jeśli zdajemy sobie sprawę z tego jak ubogi jest nasz język w obliczu spraw tego świata i że parenaście czy paredziesiąt tysięcy słów musi wystar czyć za nieskończoną rozmaitość rzeczy, spraw i ich powiązań.

Jeśli Szekspir bawiąc się synonimami lub grą słów udająca synonimy dochodzi do wniosku, że ,,słowa tak fałszem zarosły, żem nie rad dowodzić mej racji słowami'', to jakże możemy rów nając jego mistrzostwo z naszą słabością, wierzyć w ,,absolutną prawdę'' tego co mówimy. Niestety zbyt często i zbyt pochopnie i zbyt nieściśle szafujemy słowami bez należytego pokrycia. ,,Brudna'' bomba Chruszczewa nie była koniecznie demagogicz nym chwytem cwanego polityka. Mogła być naturalnym odru chem językowym człowieka semantycznie i scjentyficznie nie uświadomionego, któremu przymiotniki się pogmatwały. Ponie waż obawiam się, że czytelnik polski, zwłaszcza emigrant, tzn. Polak wychowany w Polsce przed potopem, jest nawet bardziej nieuświadomiony niż Chruszczew, zacznijmy znowu od pieca

ATOM I RADIACJE

Wybuch bomby wodorowej niszczy i zabija olbrzymim ciśnieniem i wysoką temperaturą. Ale oprócz tej potwornej lecz dla zmysłów zrozumiałej groźby ma jeszcze drugorzędny, chemiczno-fizyczny skutek, który może być nieporównanie groźniejszy. Radiacje! (1).

Wiemy — trudno dzisiaj nie wiedzieć — że atom nie jest prostą, niepodzielną i najmniejszą cząsteczką materii, lecz niesłychanie złożonym kompleksem materii i energii, który symbolika naukowa rysuje na wzór systemu słonecznego, w którym rolę planet odgrywają elektrony. Wiemy także, że budulcem atomu są dziesiątki najrozmaitszych cząsteczek, które są tak zawile odmienne od wszystkiego co możemy uchwycić zmysłami, że symbolika naszego języka nie znalazła jeszcze nienaukowych nazw a nawet scjentyfika gubi się w wieloznaczności swej nomenklatury. Wiemy w końcu, że atom nie jest ani niepodzielny, ani nienaruszalny. Umiemy go łamać i umiemy go stapiać. Pierwszym zwiastunem tej nowej wiedzy było odkrycie radu przez Marię Curie. Rad rozkładając się samorzutnie na hel i emanację wyrzuca promienie o olbrzymiej sile przenikania. Od tego czasu odkryto inne samorzutne rozkłady atomowe i nauczono się rozkładać atomy sztucznie. A te wszystkie rozkłady są radioaktywne, to znaczy wytwarzają niewidzialne promienie, których siła przenikania jest tak duża, że prześwietlają płyty metalowe i... ciało ludzkie.

Radiacje nie są sprawą nową. Znamy je od dawna i żyjemy z nimi od szóstego dnia stworzenia albo i dłużej, jeśli wierzyć biopoezji raczej niż Biblii. Odkryte przez Roentgena i Becque-

(1) Gdybym zamiast słowa „radiacja" użył „promieniowanie" jak mi radzono i jak poprawnie mówią polscy scjentyści, konfuzja jaką wywołałbym pośród czytelników wymagałaby tak daleko idących tłumaczeń i określeń, że gra nie warta byłaby świeczki a essay napisania. Czystość mojej polszczyzny okazałaby się tak „brudną" jak bomba Chruszczewa. Słowo „promień" ma w języku polskim tak pozytywny klimat, jest tak wypieszczone i uszlachetnione poezją (prawdziwą i grafomańską), że „radiacja", słowo brzmiące z obca, choć wywodzące się od słowa „radium" ukutego przez Polkę, lepiej tłumaczy trudną, scjentyficzną groźbę radioaktywności. A „radioaktywność" o tyle lepiej brzmi, niż niepolska złożoność „promieniotwórczości".

Domagam się, jako pisarz piszący na tematy scjentyficzne, takich samych praw, jakie mają inni pisarze. Tzn. prawa do używania takich słów, jakie mi się wydają stosowne niezależnie od widzi mi się specjalistów naukowych czy redaktorskich i innych hurra-purystów. Jeśli „radioaktywność" lub „radiacja" lepiej mi wychodzą, niż „promieniotwórczość" lub „promieniowanie", jeśli „jądrowy" ma skojarzenia mniej mi odpowiadające, niż „nuklearny", jeśli „scjentyfika" ściślej i zwięźlej wyraża „nauki ścisłe i matematyczno-przyrodnicze" i jeśli „scjentysta" nie ma polskiego odpowiednika, to... dlaczego nie?

rela w 1895/6, zrobiły poważną naukową karierę zanim bomb atomowa rzuciła je na ekran masowej histerii. Promienie ko miczne dochodzące nas z gwiazd wszechświata i promienie wy twarzane przez rozliczne w przyrodzie istniejące izotopy radi aktywne, składają się na poważną dozę radiacji naturalnyc z którymi żyjemy i które umiemy obliczać i wymierzać. Naw z sztucznymi radiacjami żyliśmy przed bombą bez paniki. R diacje były od dawna i z powodzeniem stosowane w medycyn i w przemyśle.

Rozmaite promienie — sztuczne i naturalne — mają bard podobne chemiczno-fizyczne działanie. Przenikając materię wy trącają z orbity atomowej elektrony i aktywują je chemiczni Działanie zwane ,,ionizacją'' w naukowej termonologii. Ioniz cja wywołuje zaś przemiany tak w martwej jak i w żywej m terii. O tym także wiedzieliśmy od dawna. Pierwsi rentgenolod tragicznie opłacili swą wiedzę i entuzjazm. Górnicy z Joachin stahlu od dawna znali ,,Bergkrankheit'', na którą oni jedni okolicy tak często umierali, a którą już medycyna 19 wieku ro poznała jako raka. Robotnice fabryczne malujące wskazów zegarków samoświecącą farbą zawierającą rad, zapadały na le kemię. Tuż po pierwszej wojnie światowej niektórzy lekarze z lecali picie wody radioaktywnej jako lekarstwo na reumatyzn Wielu spośród ich nieszczęsnych pacjentów zapadło potem n raka.

Jednak to wszystko choć groźne dla cierpiących jednoste nie było dość dramatyczne, aby zainteresować ogół. Naw bomba atomowa nie spopularyzowała od razu niebezpieczeństw radiacji. Z początku bardziej byliśmy przejęci i zafascynowa siłą wybuchu i rozmiarem fizycznego zniszczenia, niż niewido ną groźbą promieni radioaktywnych. Potępiono bombę ze wzgl dów humanitarnych i moralnych, ale w gruncie rzeczy argume potępienia był słaby. Jaka jest bowiem różnica między zabicie jednego człowieka, zabiciem stu i zabiciem stu tysięcy? Każde z bójstwo jest niemoralne a mnożenie zwiększa grozę, ale n zwiększa problemu moralnego. Dyskusja na temat ,,bomby mierzyła średnicę zniszczenia, obliczała możliwą ilość ofiar w buchu, analizowała chaos i rozprężenie idące jej śladem, ale n popularnym poziomie nie zajmowała się niebezpieczeństwem r diacji. Promienie radioaktywne były równie niewidzialne dla p lityków i moralizatorów jak dla oka.

WSZĘDZIE I NIEUCHRONNIE

Znamy dzisiaj dwa rodzaje bomb nuklearnych. Bombę *at mową,* która wybucha gdy atomy uranu 235 lub plutonu ro szczepiają się, wyzwalając dużą dozę energii, i bombę *wodorow* która wybucha stapiając atomy wodoru w atomy helu. Ro szczepienie atomu (w bombie atomowej) wytwarza bardzo du ilość substancji radioaktywnych, ale bomba wodorowa teorety

nie nie powinna grozić radiacjami, bo hel, który jest produktem stopienia wodoru, nie jest radioaktywny. Do stopienia wodoru trzeba jednak tak wysokiej temperatury, że obecnie umiemy uzyskać ją jedynie w wybuchającej bombie atomowej. Aby więc zdetonować bombę wodorową musimy ją „zapalić" bombą atomową. To sprawia, że bomba wodorowa jest także radioaktywna, a ponieważ jej siła wybuchowa jest o tyle większa, pył radioaktywny zostaje wyrzucony wysoko w atmosferę i rozprzestrzenia się po całym świecie. Część radiacji powybuchowych działa w zasięgu siły wybuchu i dla naszej dyskusji nie ma większego znaczenia. Cóż bowiem za różnica czy śmierć nastąpi na skutek wybuchu, czy na skutek radioaktywności. Nie kijem go, to pałką! Inna część radiacji niesiona wiatrami grozi nawet dość daleko od miejsca wybuchu, tak że bezpośredni efekt bomby sięga dalej niż widać lub słychać. A odłamki atomowe — radioaktywne izotopy — wyrzucone w stratosferę rozprzestrzeniają się po całym globie i opadając zakażają radioaktywnością ziemię. Bliżej i dalej, wcześniej i później, wszędzie i nieuchronnie.

Scjentyści obliczają, że stratosfera nie oczyści się przed upływem 50 lat z dotychczasowych próbnych wybuchów a radioaktywność gleby i wód będzie wzrastała przez następnych 10 lat zanim naturalny rozkład ciał radioaktywnych zacznie ją zmniejszać. (To wszystko, zakładając, że nie będzie dalszych próbnych wybuchów). Należy wyjaśnić, że izotopy radioaktywne są niestałe, samorzutnie się rozkładające. Okres ich trwania mierzy się „średnim okresem życia", zwanym także „pół-życiem", i jest stały dla każdego poszczególnego izotopu. Niektóre izotopy trwają zaledwie przez ułamek sekundy, inne potrzebują milionów lat dla rozkładu. Rozprószone po świecie mogą więc grozić przez bardzo długi czas radiacjami. Szczególnie groźne są izotopy: kobalt 60, (5.3 lat „pół-życia") i stront 90 (28 lat „pół-życia").

HAZARD BIOLOGICZNY

Radiacje grożą człowiekowi w trojaki sposób. Mogą wywołać „chorobę radiacji". Mogą spowodować przemiany dziedziczne, których skutek pozostaje chwilowo niewidoczny, ale które wiszą nieznaną — a przez to o tyle straszniejszą — groźbą nad przyszłymi pokoleniami. Niektóre izotopy — szczególnie stront 90 — wchłonięte przez organizm z pożywieniem lub przez oddychanie, mogą spowodować raka kości. Te trzy możliwości — trzy z wielu — ilustrują także trudność bezstronnej oceny biologicznego hazardu próbnych wybuchów.

Rozpatrzmy je po kolei.

1. *Choroba radiacji.* Objawy choroby radiacji są znane z badań przeprowadzonych głównie na ofiarach Hiroszimy i Nagasaki. Jej najbardziej znamiennym objawem jest, że — oprócz gwałtownych wymiotów w godzinę po naświetleniu — nic nie

wskazuje na śmiertelną chorobę. Dopiero w parę dni później na-
stępuje gorączka i inne ciężkie objawy chorobowe, a śmierć w
dwa do czterech tygodni. Mniejsza, niezabójcza dawka radiacj
wywołuje podatność na rozmaite zakażenia, sterylizację stałą lu
czasową, wypadanie włosów, rany cieknące, katarakty oczn
i złośliwe nowotwory, szczególnie leukemię.

Odporność wobec radiacji mierzy się naukowo jako dawkę
która zabija 50 % osobników w ciągu pewnego czasu. Jest rze
czą niezmiernie ciekawą, że odporność jest różna u rozmaityc
istot. Ssaki wykazują odporność 200 do 1000 r. (rentgenów), ża
by 700 r., żółwie 1500 r., ślimaki 10000 r., owady 60000 r. Dla
czego różnica jest tak pokaźna, nie wiemy. Nie rozumiemy takż
innego znamiennego objawu choroby radiacji, przerwy międz
chwilą naświetlenia a chwilą śmierci. Inną ciekawą obserwacj
jest wpływ temperatury na śmiertelną dawkę. Żaby naświetlon
dozą 700 r., giną w ciągu 3 do 6 tygodni. Jeśli jednak przecho
wamy naświetlone żaby w stanie uśpienia w niskich temperatu
rach (około 0°C) śmierć nie nastąpi przez bardzo długi okre
czasu. Każde ocieplenie przywraca jednak symptomy chorob
i żaby giną w ciągu 3 do 6 tygodni. To dowodzi chyba, że ra
diacje wywołują jakieś bliżej nieznane zmiany, które mnożą si
gdy organizm działa normalnie. Wszelkie wstrzymanie działa
ności organizmu opóźnia także mnożenie się zmian. Tłumacz
to chyba także dlaczego dawka radiacji tak mała, że teoretyczni
uszkodzić może zaledwie parę drobin substancji komórki, byw
śmiertelna. Jeśli zmiany wywołane radiacją mnożą się same prze
się, początkowa szkoda nie musi być zbyt wielką, aby być śmier
telną.

Te rozmaite objawy dowodzą, że choroba radiacji nie jes
podobna do innych chorób lub do otrucia, (do którego wielu j
przyrównuje), lecz jest prawdopodobnie zawiłą kombinacją uszko
dzeń komórkowych, zmian fizjologicznych i zmniejszonych od
porności.

2. *Niebezpieczeństwo genetyczne.* Naświetlenie komóre
rozrodczych przed zapłodnieniem może spowodować mutacje ge
netyczne. Geny są olbrzymimi molekułami nukleoprotein i pod
czas podziału komórki odtwarzają się w identycznej formie w
potomstwie. Jeśli radiacje przenikając przez komórkę tracą pew
ną ilość energii w samym genie, gen zmienia się chemicznie i na
stępuje mutacja. Zmieniony gen nie może wypełnić funkcji bio
logicznej, do której był przeznaczony a ponieważ geny odtwa
rzają się samorzutnie, więc mutacja się uwiecznia.

Niektóre mutacje są widoczne natychmiast. Np. zmiana ko
loru oczu, włosów lub zmiany anatomiczne. Takie mutacje s
jednak stosunkowo rzadkie. Bardziej powszechne są mutac
wpływające na rozmaite procesy fizjologiczne. Wyrażają się on
ogólną nieodpornością, skróconym życiem itd. Często powodu
śmierć osobnika zaraz po urodzeniu i wówczas nie są szkodliw
dla gatunku, bo ułomna jednostka się nie rozmnoży. Jeśli ge

który przeszedł mutację jest dominujący, zmiana objawi się zwykle natychmiast, ale równie często mutacja bywa recesyjna i pozostaje w ukryciu dopóki dwa osobniki mające ten sam recesyjny gen się nie połączą. Część ich potomstwa otrzyma wówczas recesyjne geny obu rodziców równocześnie i mutacja się objawi. Takie geny mogą przetrwać w ukryciu przez wiele pokoleń, aby niespodziewanie objawić się w społeczeństwie zmianami, które są przeważnie ujemne. Ponieważ geny decydują o własnym potomstwie, uszkodzenia dokonane przez radiacje są nieodwracalne. Innymi słowy, ponieważ mutacje są automatycznie dziedziczne, ułomne jednostki przetrwają w społeczeństwie dopóki dobór naturalny ich nie usunie.

Doza 300 r. absorbowana w jednym dniu jest zabójcza dla człowieka. Ta sama doza rozłożona w dawkach 0.2 r. tygodniowo przez 30 lat jest nieszkodliwa dla zdrowia. Genetyczna szkoda będzie jednak taka sama w obu wypadkach. W pewnym sensie duża dawka radiacji jest genetycznie mniej groźna, bo niszcząc komórki rozrodcze eliminuje tym samym mutacje. Słabe dawki natomiast powodują tylko mutacje i nie szkodzą zwykle normalnym funkcjom komórki.

Niebezpieczeństwo genetyczne radiacji uderza w społeczeństwo. Mutacje są stosunkowo rzadkie i często recesyjne więc prawdopodobieństwo, aby jednostka miała nienormalne potomstwo jest małe. Ale ponieważ mutacje są dziedziczne i trwałe i przeważnie ujemne, niebezpieczeństwo dla społeczeństwa wzrasta z czasem i z pokoleniami, które mijają. I tu leży ich złowrogie znaczenie.

3. *Stront* 90. Stront 90 ma osobne miejsce w każdej dyskusji o niebezpieczeństwie radiacji głównie dlatego, że jest objawem nowym.

Promienie kosmiczne i naturalne izotopy radioaktywne istniały na ziemi od chwili stworzenia. Stront 90 znalazł się w ziemskiej atmosferze dopiero od czasu (i na skutek) wybuchów atomowych. Około 5 % odłamków atomowych bomby stanowi gaz, krypton 90, który wznosi się szybko z miejsca wybuchu w stratosferę. Krypton 90 jest jednak bardzo krótkotrwały i przemienia się w stront 90, którego „pół-życie" wynosi 28 lat. To znaczy, że po 28 latach połowa radioaktywnego strontu się rozpadnie. Po upływie dalszych 28 lat z tej połowy zostanie znowu połowa tzn. 1/4, potem 1/8, potem 1/16 itd. Stront przemienia się w rozkładzie w yttrium 90, którego stosunkowo krótkie „pół-życie" 65 dni cechują bardzo silne promienie beta. Stront 90, zrodzony w stratosferze z kryptonu, opada powoli na ziemię a ponieważ jest pierwiastkiem pokrewnym wapniowi, więc wraz z nim dostaje się z gleby do roślin, z roślin do zwierząt, a ze zwierząt — mięsem, serem i mlekiem — do kości ludzkich, w których osiada i w których jego radiacje, wzmożone z czasem potężnymi radiacjami yttrium, bombardują bez przerwy tkanki kostne. Wiemy także — już nie tylko naukowo, ale z codzienne-

go, ludzkiego doświadczenia — że wapń jest szczególnie potrzebny rosnącym kościom dzieci. A z wapniem pobierają także stront 90 i yttrium 90. I wiemy także, że radiacje powodują raka.

Każdy człowiek ma dzisiaj gdzieś w swym szkielecie wymierną ilość strontu 90. Dwadzieścia lat temu — przed erą atomową — strontu 90, nie było w ludzkim organiźmie.

GRANICA TROSKI

W dyskusji o próbnych wybuchach możemy pominąć chorobę radiacji. Choć złowroga i zabójcza, grozi tylko w ściśle ograniczonym promieniu wokoło miejsca wybuchu, więc łatwo zapobiec wypadkom. Tragiczny w skutkach opad pyłu radioaktywnego na japońską łódź rybacką i na wyspę Rongelap po wybuchu z marca 1954 r., był nauką, która wyryła się głęboko w pamięci. Nie jest prawdopodobne, aby taki wypadek się powtórzył. Istnieje jednak także niebezpieczeństwo genetyczne i strontowe, a tu problem moralny (kalectwo przyszłych pokoleń) i sentymentalny (dzieci) przemawiają tak dobitnie, że trzeba przystanąć i się zastanowić. A zastanowienie nasuwa dwa pytania :

Czy istnieje ,,dolna granica'' niebezpieczeństwa?

Czy istnieje możliwość ,,czystej'' bomby?

Przez ,,dolną granicę'' rozumiemy taką, poniżej której radiacje nie są genetycznie szkodliwe a stront 90 nie grozi rakiem kości. Ta granica jest często zwana także ,,progiem bezpieczeństwa''. Istnienie ,,progu'' oznacza, że pewna ograniczona ilość próbnych wybuchów jest nieszkodliwa, a zatem dopuszczalna.

Należy przede wszystkim stwierdzić, że choć większość scjentystów sprzeciwia się próbnym wybuchom jest jasne, że czynią to ze względów moralnych, sentymentalnych, politycznych, a nie koniecznie ze względów naukowych. Nadto, fakty na których można oprzeć naukową ocenę są zbyt szczupłe, aby wyrok mógł być jednomyślny. Niemniej, scjentyści na ogół się zgadzają, że radiacje powstałe na skutek próbnych wybuchów są nikłe w porównaniu z radiacjami naturalnymi i że nawet dalsze próby nie potrafią ich pokaźnie zwiększyć. Radiacje powybuchowe stanowią także tylko drobną część innych sztucznych radiacji, które człowiek wchłania.

Wpływ radiacji na zmiany genetyczne jest wprost proporcjonalny do ilości i nie ma ,,progu'' genetycznego bezpieczeństwa. Ale nie ma definitywnych dowodów — za czy przeciw — że rak kości, leukemia i inne choroby wynikłe z radiacji mają próg bezpieczeństwa. Innymi słowy: Wiemy, że radiacje są zawsze genetycznie szkodliwe, ale nie mamy tej pewności jeśli chodzi o inne konsekwencje radiacji. To wszystko przesuwa problem z torów nieosobisto-statystycznych na moralne. Każdy próbny wybuch grozi pewnej ilości jednostek śmiercią, kalectwem lub dziedzicznością jakiejś bliżej nieznanej ułomności.

Wyraźniej zilustrują to następujące zdania scjentysty, polityka i teologa.

Uczony (Sir John Cockroft, kierownik badań atomowych w Harwell, w wywiadzie udzielonym CBC): ,,Od szeregu lat dokonujemy w Anglii pomiarów radiacji opadowych. Mierzymy produkty rozkładu radioaktywnego w wodzie deszczowej, w glebie, w mleku i w kościach zwierząt i ludzi... Ilość strontu 90 w glebie, mleku i kościach wyrażamy tzw. ,,jednostkami strontowymi''. Obecny poziom w mleku wynosi 5 jednostek strontowych. Ale to zależy od miejscowości. Okolice o dużych opadach deszczowych mają więcej osadu strontowego, a w okolicach, gdzie gleba jest uboga w wapń, większa proporcja strontu 90 jest pobierana przez trawę, a stąd przez mleko''. ,,...obecne i przewidywane niebezpieczeństwo grożące nam z próbnych wybuchów (zakładając, że będą podtrzymywane na obecnym poziomie) jest małe... Jeśli chodzi o ścisłość, skutki genetyczne opadów radioaktywnych są 30 razy mniejsze niż te, które wynikły z medycznego stosowania promieni Roentgena...'' — ,,...najwyższa dopuszczalna ilość strontu 90 w kościach jest 100 jednostek strontowych, ale alarm powinien być ogłoszony, gdy ilość strontu wzrośnie poważnie ponad 10 jednostek. Najwyższa ilość stwierdzona dotąd w kościach ludzkich (w Anglii) jest około 2 1/2 jednostek strontowych, a przeciętny poziom w całej Anglii jest poniżej jednej jednostki.

Polityk (C. E. Holifield, członek Kongresu Stanów Zjednoczonych i przewodniczący komitetu dla badania skutków radiacji, w artykule w *Saturday Review*): Najbardziej potrzeba nam miernika który by wskazywał czy dana ilość strontu będzie szkodliwa czy nie. Potrzeba nam ,,granicy troski''. Musimy wiedzieć jaka ilość strontu 90 zmusi nas do głębokiej troski nad konsekwencjami radiacji. Rzeczoznawcy rozmaicie oceniają ,,granicę troski'', ale jest rzeczą znamienną, że różnica między nimi nie jest poważna''. ,,Musimy sobie zdać sprawę, że zawartość strontu 90 w naszych kościach (szczególnie w kościach dzieci, które długo będą jeszcze rosły) wzrasta w miarę, jak stront opada i dostaje się do naszego pożywienia. I musimy także pamiętać, że co roku detonuje się próbnie nowe bomby. Od końca drugiej wojny światowej było ponad 120 próbnych wybuchów — przeciętnie jeden wybuch miesięcznie — a to oznacza, że poziom strontu wzrasta''. ,,(Rzeczoznawcy) zgodnie orzekli, że 2 do 10 megaton rocznie można detonować bez szczególnego ryzyka biologicznego...''. Eksplozja z marca 1954 miała siłę wybuchową 10 megaton, a ponieważ umiemy dzisiaj budować nawet znacznie większe bomby jeden próbny wybuch może przestrzelić granicę troski.

Teolog (dr Albert Schweitzer, muzyk, lekarz, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, jedna z najwznioślejszych postaci 20-go wieku, w ,,Deklaracji Sumienia'' ogłoszonej pod egidą Fundacji Nagrody Nobla): ,,Radioaktywność wody (rzeki Columbia w Stanach Zjednoczonych, do której uchodzą odpływy fabryk pluto-

nu w Hanford) była znikoma, ale radioaktywność planktonów rzecznych była 2000 razy większa, kaczek żywiących się planktonami 40000 razy większa, ryb 15000 razy większa. Młode jaskółki karmione owadami znad rzeki miały radioaktywność 500000 razy większą, a żółtka jaj ptaków wodnych ponad milion razy większą... Radioaktywność, którą wchłaniamy nie rozprzestrzenia się po wszystkich komórkach naszego organizmu, lecz osadza się w niektórych częściach ciała, szczególnie w tkankach kostnych, w śledzionach i w wątrobie. W ten sposób organy szczegónie czułe są wystawione na działanie radiacji, a czego radiacjom brak na sile nadrabiają czasem działając dniem i nocą bez przerwy...". ,,I choć nie umiemy wskazać na konkretne wypadki, lecz wyrażamy jedynie obawę, nasza obawa jest tak solidnie oparta o fakty, że ma wagę rzeczywistości. Wszelkie wzmożenie obecnego niebezpieczeństwa przez dalsze próby musimy uważać jako katastrofę dla ludzkości. Katastrofę, której należy zapobiec... Fakt, że sztuczne pierwiastki radioaktywne znalazły się w przyrodzie jest zdumiewającym wydarzeniem w historii świata i w historii ludzkości. Nie zrozumieć znaczenia i konsekwencji tej sprawy byłoby lekkomyślnością, za którą ludzkość musiałaby zapłacić straszliwą cenę. Popełniamy szaleństwo bezmyślności. Musimy oprzytomnieć zanim będzie za późno. Musimy się zdobyć na rozum, powagę i odwagę. Musimy odwrócić się od szaleństwa i spojrzeć w oczy rzeczywistości".

CZYSTA BOMBA

Czy istnieje możliwość ,,czystej" bomby? Tu odpowiedź jest prostsza choć równie niezadawalająca. Istnieje możliwość ,,czystszej" bomby, ale nie ma chwilowo możliwości bomby zupełnie czystej.

Bomba wodorowa wybucha w trzech fazach. Najpierw wybucha cyngiel rozszczepienia atomowego (uran 235 lub pluton). Potem, średnio szybkie neutrony wyzwolone eksplozją atomową zderzają się z wodorem bomby i stapiają go w hel. Wreszcie, bardzo szybkie neutrony wynikłe z eksplozji wodorowej uderzają w zewnętrzną powłokę bomby i znowu rozszczepiają atomy. Każda z tych trzech faz wzmaga siłę wybuchu, ale tylko rozszczepienie (faza pierwsza i trzecia) powoduje ,,brud" radioaktywności. Bomba wodorowa z marca 1954 była według nieoficjalnych ocen 60% ,,brudna". Tzn., że 60% jej energii pochodziło z rozszczepienia uranu, a tylko 40% ze stopienia wodoru. Jest rzeczą jasną, że stworzenie ,,czystej" bomby byłoby korzystne zarówno z wojskowego, jak i z humanitarnego punktu widzenia. ,,Czysta" bomba nie będzie grozić poza zasięgiem wybuchu i nie stworzy ogólnego hazardu genetycznego. Wojskowo, wodór jest lepszym materiałem wybuchowym, a ,,czysty" wybuch ma duże znaczenie taktyczne. ,,Czyste" bomby mogą być rzucane przed awansujące oddziały, które mogą natychmiast

bez obawy zakażenia radioaktywnego, okupować zbombardowany teren, a ,,czyste'' pociski wodorowe mogą służyć do obrony przeciwlotniczej nad własnym krajem. Aby zbudować ,,czystą'' bombę trzeba więc usunąć fazę pierwszą i trzecią. Fazę trzecią można opuścić. Zmniejszy to wprawdzie siłę broni, ale bardzo poważnie obniży radioaktywność powybuchową. Faza pierwsza jest jednak nieunikniona. Tylko rozszczepieniem atomowym umiemy dzisiaj stworzyć olbrzymią temperaturę konieczną do stopienia paliwa wodorowego. Próby uzyskania tych wysokich temperatur innymi metodami są na warsztatach, ale mimo optymizmu polityków są jeszcze bardzo dalekie od sukcesu. Według oficjalnych oświadczeń Stany Zjednoczone umieją wytwarzać bombę o 96% czystszą niż bomba z marca 1954 i spodziewają się wkrótce wytworzyć niemal zupełnie czystą bombę wodorową. Choć więc nie umieją obejść konieczności atomowego ,,cyngla'', spodziewają się go tak poważnie zmniejszyć, że praktycznie rzecz biorąc usuną opady radioaktywne. Ale to oświadczenie jest tak obwarowane zastrzeżeniami i niejasnościami, że dalej nie wiele wiadomo. Nowe bomby będą prawdopodobnie znacznie mniejsze, w skali kilotonowej raczej niż megatonowej, będą więc także bardziej użyteczne jako broń taktyczna. Ale to wszystko tłumaczy także konieczność dalszych wybuchów próbnych i ,,upór'' polityków i wojskowych.

SCJENTYŚCI, POLITYCY I LUDZIE DOBREJ WOLI

I jeszcze jedno (— zanim wrócimy do Chruszczewa i do Szekspira —). ,,Brudna'' bomba i ,,czysta'' bomba nie są jedynie zagadką technologiczną. Scjentyfika rzutuje je w politykę, a polityka balansuje nimi jak żongler dla poklasku gawiedzi i odrzuca je w ręce fanatyków siły i fanatyków miłości bliźniego. Wyrażając to bez metafory: Implikacje próbnych wybuchów są bardziej zawiłe niż sobie z tego zdają sprawę scjentyści, politycy, wojskowi i ludzie dobrej woli.

Scjentyści, zafascynowani zagadką intelektualną, rozjarzmili praenergię uśpioną od 4.000 milionów lat w atomach. Ale człowiek jest człowiekiem zaledwie od parudziesięciu tysięcy lat i choć zrozumiał atom nie rozumie jeszcze siebie samego. Najlepsi uczeni inżynierowie, chemicy, fizycy, matematycy budują nasze maszyny, elektrownie i bomby nuklearne, ale decyzję o tym co z ich wynalazkami zrobić, decyzję o ludzkim dziś i ludzkim jutrze, pozostawiamy w rękach polityków, których jedyną kwalifikacją jest spryt, arytmetyka wyborcza lub intryga pałacowa. Scjentyści są ,,naiwni'' i ,,roztargnieni'', ale generałów wieńczymy aureolą takiej nieomylności, że nie ma zaszczytu zbyt wielkiego nawet dla... emerytów. I tak zachłystujemy się ,,wzniosłością'', ,,szlachetnością'', ,,humanitaryzmem'' ludzi dobrej woli, że te słowa

które oznaczają tak wiele, że konkretnie nic nie znaczą, staj
się dobrą monetą naszych najszczytniejszych dążeń i pożądań.

Scjentyści rozszczepili i stopili atomy. Osiągnięcie monumen
talne! Ale — gdy przestają myśleć o scjentyfice, a przestaj
o niej myśleć, gdy jedzą, śpią, kochają, idą do kina lub do ko
ścioła, rozmawiają o polityce, muzyce, literaturze, sąsiadach)
bawią się itd. — są równie nielogiczni, niekonsekwentni, uprze
dzeni, jak my wszyscy. ,,Roztargniony uczony'' jest śmieszny
bo postawiliśmy go na cokole nieomylności a tu nagle... zwykł
człowiek! Człowiek, który (co tu owijać w bawełnę) może si
mylić nawet w swej własnej specjalności naukowej i... przece
niać lub niedoceniać skutki biologiczne radiacji.

,,Nie twierdzę, że nie ma żadnego ryzyka. Pragnę tylk
dowieść, że ryzyko jest niezmiernie małe w porównaniu z hazar
dami, jakie ludzie podejmują w normalnej ludzkiej rutynie
Proszę jednak porównać to ryzyko z tym, które uważam o wiel
większe dla wszystkich ludzi kochających wolność — z ryzykien
zaniedbania obron przed siłami totalizmów hulających po świe
cie — aż do czasu gdy osiągniemy ogólne, zagwarantowan
rozbrojenie''. Powyższe zdanie jest zdaniem polityka. Poznać t
od razu po zawiłym, koturnowym, zaciemniającym stylu. A to
że wypowiedział je świetny fizyk, Willard F. Libby, dowodz
tylko naszej wyżej wypowiedzianej tezy, że scjentyści, gdy prze
stają myśleć o scjentyfice są równie ludzcy, jak my wszyscy
Patrz na jego frazesy o ,,ludziach kochających wolność'', ,,tota
lizmach hulających po świecie!'' Patrz, jak zniekształcił porów
nanie pomiędzy ryzykiem opadów radioaktywnych, a ryzykien
dominacji totalistycznej. Pierwsze ryzyko jest nieuniknioną kon
sekwencją konkretnych próbnych wybuchów, drugie jest bardz
ogólnie hipotetyczną konsekwencją równie hipotetycznego zwy
cięstwa komunizmu. Zestawienie może użyteczne politycznie
ale niegodne scjentysty. Takie uproszczenie zniechęca raczej ni
przekonuje nawet ludzi niechętnych komunizmowi. Libby jes
fizykiem. Ma za sobą błyskotliwe, niemal humanistyczne, odkry
cie metody datowania przeszłości radioaktywnym węglem i
i reputację solidnego uczonego. Jest jednak także od paru la
członkiem Amerykańskiej Komisji Atomowej. Niestety jedynyr
scjentystą Komisji. Gdyby ich było więcej może nie musiałb
przemawiać, jak polityk. Libby'ego poznałem w 1951 lub 5
roku. Był wówczas młodo wyglądającym (i pewnie także mło
dym) naukowcem, który do trudnego scjentyficznego wykład
umiał przemycić humanistyczne zainteresowania i nawet z cich
pęk ironię. Cytowałem wówczas (w essayu ,,O atomach i gwia
dach'', Wiadomości Nr 323 z 28/6/1952) zdanie, jakie wypowie
dział. Zdanie, które pasuje do mego dzisiejszego argumentu, ja
ulał. ,,Aby zachować dzisiaj spokój ducha, trzeba w moim za
wodzie szukać pracy, jak najbardziej odległej od praktyczne
użytkowości, a cóż jest mniej praktyczne a zarazem bardzie
humanistyczne niż te moje randki z mumiami''.

W końcu pomówmy o ludziach dobrej woli. O idealistach, entuzjastach, marzycielach. Tu najtrudniej rozwikłać semantyczny węzeł. Wszyscy kochamy się w pięknych słowach wyrażających wzniosłe myśli, trudno nam zatem zaprzeczyć wzniosłości, szlachetności, idealizmowi, entuzjazmowi i marzeniu. ,,Musimy odwrócić się od szaleństwa i spojrzeć w oczy rzeczywistości'', powiedział dr Schweitzer. Ale tylko jednostka może ,,odwrócić się od szaleństwa''. Dr Schweitzer może się zaszyć w dżunglę afrykańską i swym przykładem być natchnieniem dla świata. Dla świata, który kocha się w pięknych słowach i wzniosłych czynach, ale który nie może ich przełożyć na ,,rzeczywistość'', bo zbiorowość inaczej myśli i inaczej działa niż jednostka. I na tym polega konfuzja idealistów. Narody nie mogą działać i myśleć, jak jednostki. Suwerennie nieodpowiedzialne muszą wypracować swe działania i swoje myśli kompromisem, który nazywamy ,,polityką''. A polityka chodzi dziwnymi i jak dotąd niezrozumiałymi drogami. Nie możemy ,,odwrócić się od szaleństwa i spojrzeć w oczy rzeczywistości'', bo nie sposób uzgodnić logicznie, w zbiorowości państwa czy narodu, co jest ,,szaleństwem'', a co jest ,,rzeczywistością''. Ba, nie sposób nawet uzgodnić nieodpartych faktów naukowych. Dość wskazać na opory na jakie natrafiały: heliocentryzm, teoria ewolucji, antyseptyka. Nawet dzisiaj, tak stosunkowo prosta, słuszna i zdawałoby się bezsporna myśl fluorydacji wody miejskiej, natrafia na tak histeryczne opory, że tylko z trudem i tylko gdzieniegdzie udało się ją zaprowadzić.

TROCHĘ POLITYKI

Jest rzeczą bezsporną, że radiacje są groźbą. Tak czy siak, genetycznie czy somatycznie, bombą czy promieniami Roentgena, grożą ludzkości niezrozumiałym niebezpieczeństwem. Ale powiązanie tego niebezpieczeństwa z sytuacją polityczną, z tłem konfliktu amerykańsko-rosyjskiego, z kryzysem zaufania, z potęgą propagandystów, z fanatyzmem wszystkich ,,izmów'', nie jest już ani bezsporne ani podatne do prostych idealistycznych rozwiązań.

Do sprawy próbnych wybuchów nie można podchodzić wyłącznie scjentyfiką. Univac reaguje na logikę faktów, ale mózg człowieka, mimo pozornych podobieństw, nie działa w ten sam sposób. Skoro nie można wpływać na ludzi logicznie uszeregowanymi faktami i skoro sprawa próbnych wybuchów (i wojny atomowej) jest jak najgroźniej istotna dla człowieka i jego przyszłości, należy w rozprawie o niebezpieczeństwie radiacji rozpatrzyć także polityczne podłoże problemu.

Oto garść uwag, które wydają się istotne.

1) Równowaga sił jest dzisiaj tak kunsztownie wybalansowana między Stanami, a Rosją, że nie ma miejsca na przysło-

wiowy ,,języczek u wagi'', rolę którą dawniej tradycyjnie odgrywała Anglia.

2) Bezpośrednia wojna między Stanami a Rosją musi być wojną atomową bo technologiczna doskonałość broni rakietowo-nuklearnej sprawia, że półśrodki grożą klęską. W pierwszych godzinach (a może nawet minutach) wojny, międzykontynentalne pociski atomowe i bombowce z ładunkiem atomowym znajdą się w drodze z jednego mocarstwa do drugiego. Każde inne rozwiązanie, każda wojna ,,półśrodkami'' daje przeciwnikowi szansę zaskoczenia i uniemożliwia — i tak prawie, że beznadziejną — obronę.

3) Coraz mniej jest na świecie miejsc i sytuacji, w których ,,lokalna wojna'' nie zahacza automatycznie o żywotny interes obu mocarstw. Każda więc ,,mała'' wojna grozi kataklizmem atomowym.

4) Skuteczna kontrola rozbrojeniowa jest niemożliwa. Na malutkiej granicy Izraela i jego sąsiadów nie umiemy skutecznie ustalić, która strona jest winna zderzeniom i infiltracjom, więc, jak potrafimy w suwerennym ogromie USA i ZSSR ustalić nadużycia i im zapobiec. A jeśli nie można zapobiec lub przeszkodzić nadużyciom nuklearnym, gdzie jest cel rozbrojenia? Zresztą, co tu gadać, ani w Stanach ani w Rosji nie ma jeszcze korzystnego klimatu politycznego na kompromis. Arogancja McCarthyzmu, gdy Stany miały przewagę siły nuklearnej przemieniła się w arogancję listów Bułganina gdy Rosja ma przewagę rakietową.

5) Anglia, trzeci posiadacz broni atomowej, powodowana jest lękiem, że Stany zostaną zmuszone siłą faktów do nowego izolacjonizmu. Skoro Stany są w zasięgu sowieckich rakiet międzykontynentalnych, jest rzeczą wątpliwą, aby ryzykowały wojnę nawet w obronie najżywotniejszych interesów... Anglii. Retaliacja jako sposób odstraszenia działać będzie odtąd tylko w obronie żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych. Anglia musi więc myśleć sama o swojej obronie. A ponieważ jej doświadczenie atomowe jest świeżej daty i jeszcze ograniczone, dalsze próbne wybuchy są prawdopodobne. A Francja przyłączy się chyba wkrótce do grupy mocarstw atomowych.

6) Polityka (a więc także dyplomacja i wojna) nie ma nic wspólnego z moralnością. Iluzja zbiorowej moralności jest podobnie niesłuszna, jak iluzja zbiorowej odpowiedzialności. Zadaniem polityka jest stworzenie takiego *modus vivendi* w społeczeństwie i między narodami, jaki jest w danej chwili osiągalny a nie takiego, jaki z takich czy innych względów wydaje się najlepszy. Cóż bowiem po idealnym rozwiązaniu jeśli jest nieosiągalne?

„SŁOWA TO SZELMY PRAWDZIWE..."

Trudno się oprzeć wrażeniu, że do tego całego kompleksu zjawisk podchodzimy, jak słoń do składu z porcelaną. Szastamy się słowami pełnymi groźnego ładunku prowokacji. Boimy się ustąpić o krok z pozycji wygranej... pyskówki. Wmawiamy sobie — po obu „prawych" stronach żelaznej kurtyny — siłę i wielkość i pierwszeństwo i jedyne znawstwo prawdy. Prawdy, która jest tylko słowna.

„Awangardziści raczej się mylili
. . . .
Więcej powagi przypisując słowom
Niż słowa unieść mogą bez śmieszności.
Czuli, że z mocno zaciśniętej szczęki
Głos im wychodzi jakimś sztucznym basem..."

(Cz. Miłosz: *Traktat Poetycki*)

Miłosz myli się chyba tylko, jeśli przypisuje sztuczną nutę wyłącznie awangardzie. Jest to słabość każdej słabej poezji. Każdego wiersza, który chce wyrazić myśl tylko logiką słów. Każdej powieści, w której opis jest głośniejszy niż wydarzenia. Jest to także słabością polityków, którym się wydaje, że tromtadracja krasomówcza musi towarzyszyć akcji.

Ogłaszamy deklaracje, wysyłamy noty, dyktujemy memoranda, wypowiadamy płomiennie natchnione mowy i wyrachowane niedyskrecje, dajemy wywiady, informujemy poufnie...! „Słowa... słowa... słowa...!" (Jak powiedział Szekspir. Nie w „Twelfth Night". W „Hamlecie"). „Brudna bomba" i „czysta bomba" są tego typowym przykładem. Jak wiele śmieszności mogą unieść słowa? Rozbrojenie i zaniechanie prób atomowych gubi się w wodospadzie słów. Wyjście z impasu nie leży więc w bezpośrednich dyskusjach, w konferencjach rozbrojeniowych, w kuluarach Narodów Zjednoczonych. Dyskusje obciążone balastem podejrzliwości i braku zaufania potrafią w najlepszym wypadku utrzymać obecny „pokój" najeżony pociskami atomowymi. Ale... na jak długo? Zresztą, czy samo zaniechanie próbnych wybuchów zapewni pokój? Pytanie jest retoryczne, bo negatywna odpowiedź jest przerażająco oczywista. A jeśli zaniechanie próbnych wybuchów nie zapewni pokoju, a tylko uśpi czujność „ludzi dobrej woli", to następna wojna, która czai się nieuchronnie za węgłem każdej słownej prowokacji Chruszczewa, każdego podejścia Dullesa „na krawędź konfliktu", każdego zderzenia Izraeli-Arabskiego, każdego brzęknięcia szabelką Czang Kai Szeka, wykończy nas gruntowniej i bardziej skutecznie niż radiacje wszelkich próbnych wybuchów.

Dlaczego jednak groźba nuklearno-rakietowa zaślepiła nas do tego stopnia, że nie myślimy nawet o tym, że droga do

POKOJU może istnieć w dziedzinie mniej spornej i mniej zaognionej podejrzliwościami. Jeśliby nie było groźby WOJNY, próbne wybuchy nie wydawałyby się na pół tak straszliwe. Innymi słowy: nie rozszczepienie atomu grozi ludzkości katastrofą, lecz rozbrat między narodami. Semantyczna wieża Babel pełna słów, które każdy inaczej rozumie! Gdyby Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka — zamiast rozwlekle beznadziejnych konferencji rozbrojeniowych — zgodziły się przeprowadzić WSPÓLNIE i naukowo studium semantycznego muru który je dzieli, może uzgodnienie tego co Chruszczew nazywa ,,brudne'', a Eisenhower nazywa ,,czyste'' doprowadziłoby szybciej do rozwiązania problemu próbnych wybuchów, rozbrojenia i pokoju.

,,Słowa to szelmy prawdziwe...'', ale nauka współczesna potrafi chyba dać sobie radę z szelmostwem słów.

Henryk SCHOENFELD

Fragmenty z dziennika

Wtorek.

Nowy Rok zbliżając się od wschodu z szybkością równą obrotowi ziemi dosięgnął mnie i ogarnął w La Cabania, u Dusia, gdym siedział na kanapie ze szklanką szampana. Duś siedział na fotelu pod lampą. Marisa przy radio. Andrea na poręczy drugiego fotela. Nikogo więcej.

Przed Dusiem rozrzucone szachy?

Dramatyczna chwila. Co się stanie? Co urodzi przyszłość, która wtargnęła? ,,Gdybym tylko złych snów nie miewał...'' Może obędzie się bez katastrofy. Nadejście nowego roku to pęd, pęd straszliwy czasu, ludzkości, świata, wszystko jak szalone prze w przyszłość i ogrom tego astronomicznego wyścigu zapiera oddech. Ja wraz ze wszystkim też gnałem, los mój z hukiem przetaczał się z jednego roku w drugi i w tej minucie, w tej sekundzie, coś się stało choć nic się nie stało. Zaczął się rok.

Wzrastająca moja wrażliwość na kalendarz. Daty. Rocznice. Okresy. Z jakąż pilnością oddaję się teraz tej buchalterii dat. Tak, tak... dlaczegóż nie zapisywałem każdego dnia mego od chwili gdy nauczyłem się pisać? Miałbym dzisiaj wiele tomów, wypełnionych tymi zapiskami, i wiedziałbym co robiłem dwadzieścia siedem lat temu, o tej samej godzinie. Po co? Życie przecieka przez daty, jak woda przez palce. Ale przynajmniej pozostałoby coś... ślad jakiś...

Moja kończąca się historia zaczyna mi sprawiać rozkosz wprost zmysłową. Zanurzam się w niej, jak w rzece niesamowitej, która dąży do *wyjaśnienia*. Powoli wszystko się uzupełnia. Wszystko się zamyka. Zaczynam już odczytywać siebie, choć z trudem i jakby przez mętne okulary. Jakże dziwne: na koniec, na koniec zaczynam widzieć własną twarz wyłaniającą się z Czasu. Towarzyszy temu przedsmak nieodwołalnej ostateczności. Patos.

Środa.

Spacerowałem po alei eukaliptusowej gdy wtem zza drzew
wylazła krowa.

Przystanąłem i spojrzeliśmy sobie oko w oko.

Jej krowiość zaskoczyła do tego stopnia mą ludzkość —
ten moment, w którym spojrzenia nasze się spotkały, był tal
napięty — że stropiłem się *jako człowiek,* to jest w moim
ludzkim, gatunku. Uczucie dziwne i bodaj po raz pierwsz
przeze mnie doznane — ten wstyd człowieczy wobec zwierzęcia
Pozwoliłem żeby ona spojrzała na mnie i zobaczyła mnie — t
nas zrównało — wskutek tego stałem się także zwierzęciem —
ale dziwnym, powiedziałbym nawet, niedozwolonym. Poszedłen
dalej podejmując przerwany spacer, ale poczułem się nieswojo..
w naturze która osaczała mnie zewsząd i jakby... oglądał
mnie.

Czwartek.

Dziś po śniadaniu dyskusja — pani Verena, Duś, Jace
i ja — wywołana moją tezą, że człowiek na koniu jest dziwac
twem, śmiesznością i obrazą estetyki. W tym końskim Akro
polu teza rozległa się jak grom bluźnierczy.

Tłumaczyłem, że zwierzę nie rodzi się po to aby dźwiga
na sobie inne zwierzę. Człowiek na koniu jest równie dziwacz
ny, jak szczur na kogucie, kura na wielbłądzie, małpa na kro
wie, pies na bawole. Człowiek na koniu to skandal, zakłóceni
naturalnego porządku, gwałcąca sztuczność, dysonans, brzydota
Powoływali się na dzieła rzeźbiarzy, wielbiące człowieka kon
nego. Ja roześmiałem się im w nos. Posągi! Sztuka zawsz
hołdowała konwenansowi — prawie jak moda! O wszystkim de
cyduje przyzwyczajenie. Oglądamy od wieków konne posąg
podobnie jak ludzi na koniu, ale gdybyśmy przemyli sobie ocz
i spojrzeli na świeżo, „po raz pierwszy", skrzywilibyśmy si
z niesmakiem — bo grzbiet koński nie jest miejscem dla czło
wieka, podobnie jak grzbiet krowi.

Dyskutowaliśmy na przechadzce porannej a sześćdziesi
klaczy pełnej krwi i pół krwi na pastwisku zwracało ku nan
swoje miękkie, ciepłe oczy. I zaatakowałem jazdę konną. Ro
kosz? Zabawa przyjemna i piękna? Ha, ha, ha! Podskakiwa
na bydlęciu, wznosić się i opadać z nogami rozkraczonymi, ob
jając się tyłkiem o ten grzbiet nieunikniony, mieć pod sob
bydlę toporne i głupie, na które tak trudno wleźć, z któreg
zleźć nie łatwo, którym prawie nie można kierować? „P
dzić" na nim z szybkością roweru? Albo w kółko powtarza
jeden i ten sam stutysięczny skok przez przeszkodę — n
zwierzęciu, które przecież zupełnie nie nadaje się do skoku
Walczyć z tą rozpaczliwą niezdarnością końską, której nig

nie można naprawdę przezwyciężyć? Ależ te rzekome rozkosze to czysty atawizm! Kiedyś koń rzeczywiście był pożyteczny, stanowił o wywyższeniu człowieka, człowiek z konia panował nad innymi, koń był bogactwem, siłą, dumą jeźdźca. Z tamtych czasów przedpotopowych pozostał wam kult jazdy konnej i uwielbienie czworonoga, który już się przeżył. Automatycznie powtarzacie zachwyt dziadków waszych i obijacie sobie siedzenie ku uczczeniu mitu!

Potworność mego świętokradztwa rozlegała się dziko od krańca po kraniec horyzontu. Blado spoglądał na mnie pan i sługa sześćdziesięciu rasowych klaczy.

Czwartek.

Krowy.

Gdy mijam stado krów, zwracają ku mnie łby i nie spuszczają ze mnie oka póki nie przejdę. Tak samo jak u Russovichów, w Corrientes. Ale wtedy nie przejmowałem się tym, podczas gdy teraz, za sprawą „krowy która mnie zobaczyła", te spojrzenia wydają mi się widzące. Trawy i zioła! Drzewa i pola! Zielona naturo świata! Pogrążam się w ten przestwór jakbym odbijał od brzegu i ogarnia mnie obecność złożona z miliardów istnień. Żywa materio pulsująca! Zachody słońca pyszne, dziś rozpostarły się dwie wyspy biało-kawowo-brunatne z górami i wieżami ze świetlistych stalaktytów a wszystko w koronie z rubinów. Potem wyspy zlały się tworząc zatokę mistycznego lazuru tak przeczystego iż prawie uwierzyłem w Boga — a potem nad samym horyzontem nastąpiło zagęszczenie ciemne i wypełzające — i pośród brunatnych wybrzuszeń rozpanoszonych na nieboskłonie pozostał tylko jeden punkt świetlisty, bijące serce blasku. Hosanna! Nie bardzo chce mi się o tym pisać, tyle już tych zachodów namalowano w literaturze, zwłaszcza naszej.

O co innego mi chodzi. Krowa. Jak mam zachować się wobec krowy?

Natura. Jak zachować się wobec natury?

Idę tak drogą, ogarnięty pampą — i czuję że jestem w tej całej naturze cudzoziemcem, ja, w mojej skórze ludzkiej... obcy. Niepokojąco inny. Twór odmienny. I widzę że polskie opisy natury, zarówno jak wszystkie inne, nie mogą mi się przydać na nic w tej nagłej opozycji pomiędzy moim człowieczeństwem a naturą. Opozycji domagającej się rozwiązania.

Polskie opisy natury. Ileż kunsztu w to włożono a jak beznadziejny rezultat. Od jak dawna wąchamy te kwiaty, pławimy się w zachodach, zanurzamy twarz w świeżym listowiu, wdychamy poranki i hymn wyśpiewujemy na cześć Stwórcy, który te cuda wymyślił? Ale to płaszczenie się, klękanie, wąchanie pokorne i wzniosłe tylko oddaliło nas od najostrzejszej

prawdy ludzkie — tej mianowicie, że człowiek jest niena-turalny, antynaturalny.

Jeśli naród, do którego należę, poczuł kiedyś że jedna w esencji swojej różni się od konia, to tylko dlatego, że nauk Kościoła prawiła mu o ludzkiej duszy nieśmiertelnej. Ale któ stworzył tę duszę? Bóg. A konia któż stworzył? Bóg. Tak ted koń z człowiekiem zlewają się w harmonii tego prapoczątku Kontrast między nimi jest uleczalny.

Dochodzę już do końca drogi eukaliptusowej. Ściemnia się Pytanie: czy ja, będąc pozbawiony Boga, jestem wskutek teg bliższy, czy dalszy natury? Odpowiedź: jestem dalszy. A na wet ta opozycja pomiędzy mną a naturą staje się, bez Niego nie do załatania — tu nie ma apelacji do żadnego wyższeg trybunału.

Lecz nawet gdybym uwierzył w Boga to i tak katolick postawa wobec natury byłaby dla mnie niemożliwa, sprzeczn z całą moją świadomością, z moim odczuwaniem — a to z względu na sprawę bólu. Katolicyzm zlekceważył wszelki stworzenie, poza człowieikem. Trudno wyobrazić sobie bardzi olimpijską obojętność na „ich" ból — „ich", zwierząt cz roślin. Ból człowieczy ma dla katolika sens — podlega zbawie niu — wszak człowiek ma wolną wolę, więc to kara za grzech — wszak życie przyszłe wynagrodzi najściślej krzywdy teg życia. Ale koń? Robak? O nich zapomniano. To cierpieni jest pozbawione sprawiedliwości — nagi fakt ziejący absoluten rozpaczy. Pomijam dialektykę skomplikowaną świętych dokto rów. Mówię o przeciętnym katoliku, który, chodząc w blask sprawiedliwości wydzielającej mu wszystko co mu się należy jest głuchy na otchłań bezmierną tamtego bólu — nieuspraw dliwionego. Niech cierpią! To go nic nie obchodzi. Przecie nie mają duszy. Niech cierpią zatem — bez sensu. Tak, trudn o naukę, która by mniej przejmowała się światem pozaczłowie czym, to doktryna dumnie ludzka, okrutnie arystokratyczna — i jak tu się dziwić, że wprowadziła nas w stan błogiej nie świadomości i świętej niewinności wobec natury, który przejawi się w naszych idyllicznych opisach poranków, tudzież zacho dów.

Piątek.

Mnie ku tym dołom, ku konfrontacji z koniem, żukiem roślinią pcha moja dążność do „nawiązania z niższością". Jeś usiłuję uzależnić wyższą świadomość od niższej w świecie lud kim — jeśli chciałbym związać dojrzałość z niedojrzałością — czyż nie powinienem zstąpić niżej jeszcze po drabinie gatunków Objąć całą skalę wiodącą w dół?

Ale — jakaś niechęć... Przyznam się — to mnie nudzi. N chce mi się o tym myśleć. I nie lubię, prawie nie znoszę — w bierać się myślą poza królestwo ludzkie. Czy dlatego że zb

olbrzymie są tamte królestwa, okrążające nas? Niechęć do wydalania się z własnego domu?

Rozumieć naturę, oglądać ją, badać — to jedna sprawa. Ale gdy usiłuję podejść do niej, jak do czegoś zrównanego ze mną wspólnością życia, które nas obejmuje, gdy chcę być ze zwierzętami, z roślinami „na ty" — ogarnia mnie niechętna ospałość, tracę animusz, co prędzej wracam do mego ludzkiego domu i zamykam drzwi na klucz.

Zapiszmy to, ponieważ kto wie czy to nie jedna z najistotniejszych właściwości mego człowieczeństwa: pojawia się we mnie jakiś opór, przybierający postać znudzenia, znużenia, gdy chcę ogarnąć i uznać tamto niższe życie.

Piątek.

Dziś „byłem zabijającym muchy" to znaczy po prostu zabijałem muchy drucianą packą.

W moim pokoju, nie wiadomo skąd (bo okna mają siatki) biorą się muchy. Co dzień prawie likwiduję je w ten sposób. Dziś zabiłem około 40. Naturalnie nie wszystkie uśmiercam od razu — niektóre silnie pokiereszowane, upadają na podłogę i co pewien czas odkrywam taką muchę, pozostawioną sam na sam z konaniem. Natychmiast ją dobijam. Ale zdarza się, że ucieknie w szparę podłogi, wtedy staje mi się, ze swoim bólem niedostępna.

W młodości dręczyłem zwierzęta. Przypominam sobie jak w Małoszycach zabawiałem się z chłopakami wiejskimi. Siekliśmy batami żaby. Dziś boję się — oto właściwe słowo — cierpienia muchy. I ten strach z kolei mnie przeraża, jakby w tym zawierało się jakieś okropne osłabienie wobec życia, ja rzeczywiście lękam się tego, że nie mogę znieść bólu muchy. W ogóle z wiekiem dokonała się we mnie ewolucja, której tragicznego i groźnego charakteru nie chcę ukrywać, owszem, chciałbym jak najsilniej uwydatnić. I twierdzę, że jest właściwa nie tylko mnie, ale całemu memu pokoleniu.

Zanotuję jej poszczególne punkty:

1. *Dewaloryzacja śmierci.* — Śmierć staje się dla mnie coraz mniej ważna — ludzka czy zwierzęca. Coraz trudniej mi zrozumieć osoby, dla których pozbawienie życia jest największą karą. Nie rozumiem zemsty, która zabijając znienacka wystrzałem w tył czaszki cieszy się — jakby tamten coś uczuł. Na śmierć prawie zupełnie zobojętniałem (nie mówię o własnej).

2. *Intronizacja bólu.* — Ból staje się dla mnie punktem wyjściowym egzystencji, doznaniem zasadniczym od którego wszystko się zaczyna, do którego wszystko się sprowadza. Egzystencjaliści ze swoim „życiem dla śmierci" nie zadawalają mnie, ja życie ustawiłbym tylko wobec bólu.

3. *Ból jako ból, ból sam w sobie.* — To jest najważniejsze. To jest dopiero zmiana odczuwania naprawdę groźna i okropna i olbrzymia. Polega na tym, iż coraz mniej mnie obchodzi *kto* cierpi... Myślę, że współcześnie istnieją w tym względzie dwie szkoły. Dla ludzi dawniejszej szkoły ból kogoś z rodziny jest najokropniejszym po własnym; ból dygnitarza ważniejszy od bólu chłopa; ból chłopa ważniejszy od bólu chłopca; ból chłopca ważniejszy od bólu psa. Przebywają w ograniczonym kręgu bólu. Ale dla ludzi nowszej szkoły ból jest bólem, gdziekolwiek by się pojawił, równie straszliwy w człowieku, jak w musze, wykształciło się w nas doznanie czystego cierpienia, piekło nasze stało się uniwersalne. Mnie, na przykład, niektórzy uważają za nieczułego, ponieważ trudno mi ukryć, że ból najbliższych nie jest bynajmniej najbliższym mi bólem. I cała moja natura jest nastawiona na odkrywanie cierpienia tamtego — niższego.

Te bogobojne rodziny — przypominam sobie z dawnych czasów — we dworze wiejskim przy podwieczorku, gwarzące poczciwie niewinnie... a na stole był lep, na lepie muchy w sytuacjach okropniejszych niż potępieńcy na obrazach średniowiecznych. To nikomu nie przeszkadzało ponieważ w zdaniu ,,ból muchy'' akcent padał na ,,mucha'' nie na ,,ból''. A i dzisiaj — wystarczy naflitować pokój żeby chmary drobnych istnień zaczęły się wić — i nikt się nie przejmuje.

Tak. Ale jak pogodzić to moje odkrywanie powszechnego cierpienia z tym, co zanotowałem wczoraj — z niechęcią ową do uznania świata pozaludzkiego, niższego? To jedno z najdziwniejszych rozdarć we mnie. Wprawdzie przeraża mnie niższa męczarnia i cała moje jestestwo jest nastawione na odkrywanie jej. A jednak lodowata nuda, senność nieomal mnie zdejmuje, gdy chcę zrównać się z tymi stworzeniami w egzystencji i próbuję przyznać im pełne prawo do istnienia. To myśl nużąca i ospała — czy dlatego że przekracza moje siły? Do czegóż więc doprowadziła mnie ewolucja, którą zawarłem w powyższych trzech punktach — mnie i wielu jak ja? Jesteśmy bardziej mętni — i bardziej niepewni wobec natury niż ludzie dawniejsi, którzy, trzeba przyznać, mieli w tym więcej od nas stylu.

Poniedziałek.

Nowy wiersz Dusia, który nawiedził go dzisiejszego ranka — we śnie, czy też w półśnie:

Kryształowym słowem wykrzywiając usta
Rzekł mędrzec do głupca: twoja głowa pusta.
A na to mu głupiec z uśmiechem prosiaka:
Jaka tam racja moja, a taka jak jaka!

Poemat z tych półsennych i niewydarzonych. Zaczyna się, jak fraszka, ale w ostatnim wierszu następuje rozprzężenie, wlewa się bełkot byle tylko uratować rym i byle ostał się pozór sensu. Ten wierszyk jest jak uroczysty pijak, który zaczyna do rzeczy, ale kończy bzdurą, udając chytrze przed sobą i innymi że pointa naprawdę jest niezrównana! To jednak, że głupiec odpowiada ,,z uśmiechem prosiaka'', rzeczywiście głupio, z prosięcą niezdarnością, ze sprośnym niechlujstwem, z wielkopańską bylejakością idioty — czyż nie jest istotnie godną uwagi pointą? Ten prosiak rozkoszuje się głupotą — oto jego racja i racja wszelkiej w ogóle głupoty ludzkiej.

Jest to poezja tandety, rozkosz partactwa. Zawsze miałem pociąg do takiego tarzania się i kto wie czy nie minąłem się z powołaniem zbaczając z tej świńskiej drogi. (W ,,Ślubie' a także w moim opowiadaniu ,,Żegluga na brygu Banbury'' nie brak tego pijaństwa, ale trzeba by jeszcze zwiększyć dawkę).

Wszystko, co senne, zachwyca mnie i podnieca.

Środa.

Poczta. Wycinek z prasy krajowej — dowiaduję się o audycji ,,Nad książkami Witolda Gombrowicza'' w radio warszawskim. I o przemówieniu Artura Sandauera, który powiedział między innymi: ,,Trudno już dzisiaj pojąć jakim sposobem pisarz, który stanowi dumę narodu polskiego, którego ,,nierealistyczne'' książki biją swoją prawdą wszystkie realistyczne — żal się Boże — arcydzieła, został skazany przez naszych urzędników od kultury na wieloletnie wygnanie''.

Moja suwerenność, samoistność czy nawet lekkomyślna bezczelność, bimbanie na wszystkich, wszechstronna prowokacja i wyłączne opieranie się na sobie — to wszystko wynikło z mojej sytuacji społecznej i geograficznej. Byłem zmuszony nie liczyć się z nikim gdyż ze mną się nie liczono — urobiłem się w odosobnieniu prawie zupełnym — myślę że chyba niewielu literatów zaznało aż takiego odludzia. W przedwojennej Polsce lekceważony, zaledwie dostrzeżony — potem przywalony wojną — potem wsadzony na indeks przez reżim komunistyczny — a tu, w Argentynie, pozbawiony nawet kawiarni literackiej, nawet tej grupki przyjaciół-artystów, na której łonie może przycupnąć, w miastach Europy, każdy cygan, nowator, awangardzista. Stałem się śmiały ponieważ nic absolutnie nie miałem do stracenia: ani honorów, ani zarobków, ani przyjaciół. Musiałem odszukać siebie i oprzeć się na sobie, ponieważ na nikim innym nie mogłem się oprzeć. Moja forma to moja samotność.

No tak... aż tu nagle... ,,duma narodu''. Czyżby? Czy nie przesadził trochę — z rozpędu? Wiem jednak, że renesans mój w Polsce może być gwałtowny. Wydawnictwa krajowe rzuciły się na moje książki. I coś zmieniło się w tonie listów prywatnych i artykułów z prasy tamtejszej, wyczuwam natę-

żenie tworzące się wokół mnie, ta fala rosnąca może mn
wyrzucić w górę. Czyżby?

Ależ to zmieniłoby zupełnie adres na tym długim liści
którym jest moje pisanie. Pisałem dla wrogów — będę pis
dla...

Narodu?

(Idę aleją eukaliptusową i jak się okazuje — jestem wzbu
rzony! „Chimangos" — małe jastrzębie — skrzeczą i lata
mi tuż nad głową).

Jeśli te ramiona wyniosą mnie wysoko?

Gwałtowny wiraż. Oby mnie nie wysadził z siodła...

Co pocznę tam, w górze, z tym wszystkim co urobiło r
się w poniżeniu? Jak przewekslować stylistycznie z poniż
nia na wywyższenie?

Sandauer...

Na szczęście (niestety!) jest więcej niż wątpliwe aby n
ród zgodził się tak potulnie z opinią Sandauera. Wiem
jeszcze długo będę musiał zdobywać sobie w Polsce ludzi
jednego po drugim...

Gdybym jednak stał się w końcu „dumą narodu"?

Ta dręcząca zagadka...

Gdy spadają na ciebie takie podniecające „piropos", nie
twoje niewyżycie w tym względzie pomyśli, dla zdrowia, o gó
nych przymiotnikach, jakimi obdarzono twoich kolegów p
piórze. Nie trzeba się przejmować. A przecież... nie mogę w
zbyć się pewności, że zwycięstwa moje są prawdziwsze niż zw
cięstwa Tuwimów — powiedzmy — czy Lechoniów. O tyle, o i
moja sztuka jest mniej konwencjonalna... i trudniejsza... i ba
dziej oryginalna, i pisana pod prąd. „Ferdydurke" jeśli zw
cięża, zwycięża bardziej...

...To mnie ośmiesza. Rozkoszowanie się tym, to podniec
nie — ośmiesza mnie i obraża. Jestem obrażony. Duma. Ni
ustępliwość. Chłód. Nieufność. Przekora. „Nie dać się wcią
nąć w naród".

Literatura moja musi pozostać tym czym jest. Tym zwłas
cza, co nie mieści się w polityce i nie chce jej służyć. Ja upr
wiam jedną jedyną politykę: własną. Jestem osobnym państwe
Teraz, być może, kiedy oni podchodzą do mnie z wyciągnięt
mi ramionami, nadeszła chwila walki. To jest atak z ich stro
strony — to próba podboju — i ja muszę się bronić!

[Jestem wzburzony. Wiem, że jestem wzburzony. Wiem,
wiem, że jestem wzburzony. Ponieważ wiem, że jestem wzb
rzony, macham rękami (nikt nie widzi) — ja, „duma narodu
Jakąż siłą bywa w takich razach moje dzieciństwo!]

Piątek.

Aleją eukaliptusową aż do końca, już o zmroku, pod zn
kiem dwóch myśli niepokojących. 1. Że natura przestaje być

nas naturą w dawniejszym słowa znaczeniu (kiedy była harmonią i spokojem). 2. Że człowiek przestaje być człowiekiem w dawniejszym słowa znaczeniu (kiedy czuł się harmonijną cząstką natury).

Godzina zmierzchu jest nieprawdopodobna... to tak nieznaczne a nieuchronne ulatnianie się kształtu... Poprzedza je moment ogromnej wyrazistości, jakby kształt upierał się, nie chciał ustąpić — i ta wyrazistość wszystkiego jest tragiczna, zawzięta, nawet zapamiętała. Po tej chwili, w której przedmiot staje się najbardziej sobą, konkretny, samotny i skazany na siebie tylko, w pozbawieniu gry światłocienia, w którą dotąd opływał, następuje rosnące nieuchwytnie osłabienie, wyparowywanie materii, łączą się linie i plamy powodując męczące zamazanie, kontur nie stawia oporu, zarysy, umierając, stają się trudne, niepojęte — powszechne wycofywanie się, odwrót, zapadanie we wzbierającą zawiłość... Przed samym nadejściem ciemności jeszcze raz kształt staje się silniejszy, ale już nie mocą tego, co widzimy a tylko, co o nim wiemy — ten krzyk jego, proklamujący obecność, jest już teoretyczny... Po czym pomieszanie wszystkiego, czerń wylewa się z dziur, zagęszcza się w samej przestrzeni i materia staje się ciemnością. Nic. Noc.

Wracałem do domu po omacku. Szedłem mocno i sztywno przed siebie, utopiony w niewidzeniu, z całkowitą pewnością, że jestem demonem, anty-koniem, anty-drzewem, anty-naturą, istotą skądinąd, przybyszem, cudzoziemcem, obcym. Zjawiskiem nie z tego świata. Z innego. Z ludzkiego.

Wracałem nie mając pojęcia, że już czai się gdzieś, w moim pobliżu, pies okropny, chwytający za gardło, przypierający do muru... Na razie — dość.

Witold GOMBROWICZ

Parawan

Piszę do Ciebie, ponieważ rozmawiać nigdyśmy nie umie
Nie wiem, co gorsze, te słówka i półsłówka, rzucane mim
chodem, które stwarzają pozór porozumienia, czy też, gdy s
i na to zdobyć nie umiemy, te długie połacie milczenia, prz
strzenie bez końca, bezludne, przez które, mnie przynajmnie
przebrnąć tak trudno. Kiedy leżymy obok siebie, zmęczeni, u
kamy już nawet patrzenia sobie w oczy. Z przyzwyczajenia kł
dę Ci głowę na ramieniu, tak mi wygodniej, to wszystko.
jestem bardziej sama z Tobą, niż bez Ciebie. Bardziej sam
gdy jesteś, niż gdy myślę o Tobie.

To jest pewno moja wina. To ja dopuściłam do nagromadz
na się pomiędzy nami tylu izolujących warstw.

Ty jesteś z nas dwojga znacznie uczciwszy, jeśli chod
o te sprawy. Uważasz, że wszystko jest w porządku, od daw
załatwione, ustalone zwyczajem, a komplikacji niecierpisz.
swój sposób jesteś zadowolony. Może nawet szczęśliwy?

Za to moje milczenie jest przemilczaniem.

Przed chwilą znowu winda jechała do góry. Pomyślała
że to Ty. Przestałam pisać, z palcami na klawiszach maszyn
tłumiąc ich stukanie, mój oddech. W tych starych domach ak
styka jest fatalnie czuła, słowo czy kaszlnięcie na klatce sch
dowej dudni zwielokrotnione, jak w sztolni. Ale przyzwyczaiła
się już nie reagować na inne odgłosy, nie słyszę ich. Za
winda, gdy się odrywa gdzieś z głębi i sunie ku górze ze zgrz
tem, potrafi mnie czasem obudzić pośrodku nocy. Klaśnię
drzwiczek na parterze to sygnał, na który zamieniam się
słuch, nieruchomieję i niezależnie ode mnie, to coś co jest
mnie, wewnątrz, i mogłoby służyć za dowód istnienia dusz
tak dalece odrębne i buntownicze prowadzi życie, to coś zacz
na liczyć: raz, dwa, trzy — ile razy trzaśnie ten jakiś bezpiec
nik windowej dźwigni, który zaskakuje na każdym piętrze.
moje poddasze winda nie dochodzi. Trzeba na szóstym piętr
wysiąść, pójść w głąb korytarza i ostatni odcinek drogi odb
kuchennymi schodami zwiniętymi w spiralę.

Więc, kiedy po szóstym zgrzycie drzwiczki klasną, a potem ktoś idzie jeszcze po schodach, wiecznie się temu czemuś co jest we mnie wydaje, wbrew rozsądkowi, że to Ty.

Dawniej wybiegałam z dzbankiem na korytarz, niby to po wodę. Dziwiliśmy się oboje głośno, ja głośniej, na nasz widok. Już wtedy, od samego początku, czułam potrzebę ukrywania przed Tobą do jakiego stopnia jestem słaba.

Przed chwilą więc ktoś dojechał do szóstego piętra, wspiął się po schodach i przeszedł korytarzem, ale tak jakoś dziwnie, z ostrożnościami, jak gdyby na palcach, że nic nie mogłam poznać po krokach. Czy mi się wydawało, czy naprawdę zawahały się, przystanęły pod drzwiami mego pokoju? Przeciąg, który zawsze wieje u mnie od okna do drzwi, szparami, nawet kiedy na dworze nie ma wiatru, szeleścił papierową chorągiewką, którą zatknęłam nad półką z książkami. Pamiętasz, jak ją nam dali w któreś tam święto „wyzwolenia"?

Chorągiewka szeleściła, wyrywała się jak żywa, we mnie serce biło, a ten ktoś ani nie pukał, ani nie mijał moich drzwi, ani nie stuknęły żadne inne drzwi na korytarzu. Może mi się zdawało? Ale nie, słyszałam dobrze. To Ty, na pewno Ty, ale co się stało? Skoro byś już przyszedł, czemu miałbyś wahać się przed progiem? To do mnie podobne, nie do Ciebie. Siedziałam nad maszyną, tłumiąc jej stukanie i myślałam: to on. Udam, że mnie nie ma. Nie otworzę. Ale, gdy sekundy mijały, a nikt nie pukał, nikt, kogo bym mogła odprawić, od kogo bym się mogła odgrodzić, wszystko się zmieniło. Mogę Ci się przyznać bo teraz to i tak nie ma już znaczenia, że tej niepewności wytrzymałam wszystkiego najwyżej minutę, a potem rzuciłam się do drzwi. Z dzbankiem na wodę, jakbyś zgadł.

Za drzwiami nie było nikogo.

Mało tego. Przyznam Ci się jeszcze, że z równym pośpiechem, który by Cię pewno ubawił, rzuciłam się następnie do okna. Jest to maleńkie, mansardowe okienko, jakby z okapem. Aby się do niego dostać, trzeba albo odsunąć stół, przy którym pracuję, albo wejść na stół. Weszłam na stół. Tak, z pewnością, ten widok każdego mógłby ubawić, stenogramy ostatniej konferencji profesora rozsypane po podłodze, fruwające wszędzie. Niektóre kartki wślizgnęły się aż pod łóżko i musiałam je stamtąd wydobywać na czworakach.

Kiedy się stoi na stole i w dość ryzykowny sposób wychyla, widać z mojego okna, pod pewnym kątem, stromo w dole, zakręt ulicy. Wcale nie wiesz, że ja tak zawsze urzędowałam, ile razy wychodziłeś ode mnie. To jest bardzo mały skrawek ulicy, który widzę, tyle tylko miejsca, byś postawił dwa kroki, nie więcej, ale te dwa kroki, bez Twojej wiedzy, prowadzą Cię znowu ku mnie, oddają mi Ciebie. Z wysoka, w śmiesznym skrócie, który się nazywa lotem ptaka, widzę wtedy Twoją głowę, czubki butów, jeden krok, drugi. Za pierwszym witam Cię, za drugim żegnam. Kiedyś się zdarzyło, że akurat w tym momencie przegarnąłeś włosy. Ten gest, dobrze

mi znajomy, poruszył mnie, jakby stanowił jakiś umówiony znak. Zawsze od tej pory miałam nadzieję, że idąc, przegarniesz ręką włosy.

I to wszystko. Zawsze tak. Ulica w dole robi się pusta. Złażę ze stołu, zamykam okno, zbieram papierki i już.

Nigdy nie podniosłeś głowy, nie popatrzyłeś ku mnie. Zresztą mojego okna pewno i nie bardzo widać z ulicy, zasłonięte gzymsami i balkonami niższych pięter. Nigdy też, aż do dziś, nie przyznałam Ci się, że Cię w ten sposób wypatruję.

Ulica ciągnie, pojęcia nie masz. Trzymam się mocno parapetu i bronię, bo mi podsuwa równię pochyłą, tor, po którym, wydaje mi się, mogłabym ześlignąć się ku Tobie z równą umiejętnością jak to robią gołębie, które gnieżdżą się po sąsiedzku w rulonach gzymsowej sztukaterii. Otwierają skrzydła i rzucają się w dół. To dziecinnie łatwe. W pokoju za mną papierki szeleszczą, kartki tańczą, chorągiewka wyrywa się, jakby nie była zatknięta za półką z książkami, tylko na dziobie okrętu, który wysoko, na samym grzbiecie fali, przechyla się i rozważa kąt, pod jakim wypadnie mu zsunąć się w głąb całym ciężarem.

I nic. Trzymam się mocno parapetu. Jestem bezpieczna...

Nie, jestem bezsilna. Jak wtedy, kiedy moje okno było za kratami.

Bo to wszystko już przecież kiedyś było. Było takie wyczekiwanie, wyglądanie, z zimnym prętem uwierającym w policzek, z rękami zgrabiałymi w uchwycie krat. Daleko, w skos, na samym skraju pola widzenia widać było skrawek chodnika wiodącego do wartowni przy bramię i narożnik bramy. Wchodzili nią i wychodzili ludzie w mundurach zielonych, albo szarych, albo w cywilu, albo w okrągłych myckach więźniarskich. Nieśli paczki na oddział, albo toboły z odparowaną bielizną, albo papiery, klucze, księgę z wypisanymi w niej losami. Tyle się działo na przestrzeni liczącej dwa kroki, nie więcej, między węgłem więziennego bloku a budką strażniczą, malowaną na kolor ochronny, przyklejoną do muru. Ale ja wolałam patrzeć dalej, poza mur. Był ponad murem widok aż po horyzont, obrzeżony lasem, wyrobiony we wzgórze i w dolinę, z wielką rzeką rozlaną pomiędzy łąkami, po których kolorze poznać było jak mijają pory roku.

Nie gniewaj się, że porównuję. Pośród tego lasu, za rzeką, za murem, była droga. Pamiętam kształt, w który się układała osuwając po wzgórzu. Tą drogą szedł kiedyś człowiek i patrzył w stronę więzienia. Wieloskrzydłowe, potężne, leżało mu jak na dłoni. Szedł powoli, przystawał, przyglądał się, przygnieciony. A mnie wydało się wbrew rozsądkowi, że on na mnie patrzy, że mnie widzi.

Nie potrafię Ci opisać jaki poryw miłości i tęsknoty wytrysnął ze mnie ku temu, który na skraju lasu, na zakręcie, przystanął dla mnie, obejrzał się na mnie jeszcze raz. Moja twarz była nikłą plamką na czarnym tle celi, anonimową, bez oczu i ust, może nie mógł widzieć mnie wcale. Tyle okien za-

kratowanych patrzyło nań w potrójnym szeregu. Ja byłam jednak pewna w tamtej chwili, że on mnie widzi, że mnie wybrał i że rozróżnił spośród wszystkich okien to, w którym nikła plamka mojej twarzy, bardziej jeszcze nikłe plamki moich rąk, poruszały się, dawały mu znaki, wyrywały się ku niemu, wzywały go.

Cóż on mógł mi pomóc? A jednak czekałam na niego, uwieszona krat, tygodniami, do końca. Może nie wolno było chodzić drogą, z której widać więzienie? Nigdy się już nie pokazał więcej. Ale widzisz, znam dobrze to uczucie zdrętwienia w karku, zesztywnienia zaciśniętych palców, zawrotu głowy i daremnego wyczekiwania ratunku od kogoś, kto jest poza obrębem, wolny.

Nie inaczej wyczekuję Ciebie.

Przed chwilą więc znowu kartki rozfrunęły się po pokoju. Ode drzwi rzuciłam się do okna, by sprawdzić, czy to byłeś Ty, te kroki, które się rozpłynęły pod moimi drzwiami.

Oślepiło mnie światło.

Nie wiem, co ma znaczyć ta wiosenna pogoda w środku zimy. Z mojego okna widać całe miasto, aż po wzgórza, w których jest zawarte. Rozpływa się w niebieskościach, jakby to był przynajmniej maj. Niebo bez jednej chmurki, mgły tylko jak zwykle zgarniają się na horyzont, na te wzgórza, dachy przełamane wzdłuż krawędzi cienia z południową ostrością. Kopuła muzeum, którą mam pod samym bokiem i która mi wiecznie przyśpiesza zachody słońca, znowu porosła z jednej strony rusztowaniami. Jak długo ją można remontować? Wygląda tak potężnie, a wiecznie jej coś dolega i nie zdziwiłabym się, gdyby mi się któregoś ranka zmarszczyła i zapadła, jak wielka, zwiędła purchawka. Dalej zielona kopułka uniwersytecka na brzegu prostego wąwozu, po którego dnie, wiem, idziesz dalej, to Twoja ulica. A jeszcze bardziej w głębi, na samym brzegu nieba, wyżej niż wzgórza, na podściółce z mgły, w apoteozie, białe i nierealne, cebulaste kopuły bazyliki.

To jest jednak bardzo piękne miasto, widziane tak, jak ja je widzę.

Przytrzymałam się mocno framugi i wychyliłam najdalej jak mi na to pozwalały niewidzialne kraty. W prawo w skos, ponad zrębem sąsiedniej, na szczęście niższej kamienicy, zobaczyłam ten zakręt, kawałek muru, pstry plakat na murze. Wysilając wzrok mogłabym prawie odczytać, co na tym plakacie napisane. Patrzyłam, póki mi nie zdrętwiały ręce i oczy nie zaszły łzami.

To jednak chyba nie byłeś Ty. Nie ma innej drogi, musiałbyś przejść tamtędy. Zresztą, powtarzam to sobie, skoro byś już przyszedł, czemu miałbyś zawrócić ode drzwi?

Pozbierawszy papierki, zasiadłszy z powrotem do maszyny, przypomniałam sobie, że przecież umówiliśmy się, że zadzwonię. Albo napiszę. Nie pisałam i nie dzwoniłam. Więc skąd? Sama

się teraz śmieję z mojego braku poczucia rzeczywistości, któr
gdy o Ciebie chodzi, przybiera zastraszające wręcz rozmiary.

Dlatego raz wreszcie trzeba sobie wszystko powiedzieć. T
znaczy ja Tobie. Bo nie wydaje mi się, abyś i Ty miał wob
mnie jakieś zaległości czy niedopowiedzenia. Nie liczę przeci
tych paru marnych ,,wiarołomstw'', z którymi trochę się kr
jesz, a trochę nimi chwalisz, jakbyś chciał sprawdzić za każdy
razem, jak daleko możesz się za następnym posunąć. Ach,
Twoje odejścia i powroty! Czy istnieje w ogóle taka rzec
odejść, a potem powrócić?

Nie istnieje wracanie. Wierz mi na słowo. Ja wiem.

Jest ciepło, a jednak tam w oknie, przed chwilą, trzęsła
się po prostu. Może nawet i mam trochę gorączki i ta skłama
grypa, która mi posłużyła za pretekst do zwolnienia się z prac
jest niechcący grypą prawdziwą? Nie znam się na chorobac
mniejszego kalibru, nigdy nie umiałam chorować trochę, jeże
już to bardzo i nie tak jak wszyscy. Grypy czy przeziębien
przechodzą u mnie prawie bez gorączki i nie wiele się różn
od niedomagań duchowych. Głowa mnie boli, mam czarne myś
i jest mi źle.

Profesor zresztą wcale się nie zdziwił, gdy mu wyraziła
chęć pozostania przez parę dni w domu. Podobno grypa istotn
szaleje na mieście. Winna jest niewątpliwie pogoda, zbyt piękn
cały fałsz tej zimy, która przecież w żaden sposób wiosną by
nie może. Jest ona jak stara kobieta po wyjściu od kosmetyczk
mizdrzy się i uśmiecha i nie wie, że w ten sposób psuje ca
swój makilaż. Nic do niczego nie pasuje, czarne, gołe drzew
nastroszone są nieporządnie zeszłorocznymi rózgami, nie bio
w niczym udziału. Idąc parkiem, dziwiłam się zieleni trawnikó
gęstej jak pilśń, ale też przecież oszukiwanej, zeszłoroczne
Przysiadłam na chwilę koło basenu popatrzeć jak się baw
dzieci. Żagielki małych okręcików wzdymały się, fontanna p
środku rozpryskiwała majowy deszcz kropelek, dzieci by
szczęśliwe, okręty pruły wodę, krzyżowały się, zderzały, pełn
ożywienia, jak w rojnej zatoce. Rozpięłam płaszcz, wystawiła
twarz do słońca, wydawało mi się, że się opalam, było mi ba
dzo dobrze. A tymczasem zawionął wiatr, jakby świeżo wyt
piony ze śniegu i, pewno, zaziębiłam się. Jakby komuś siedz
cemu w nasłonecznionym pokoju otworzyć za plecami drzwi
piwnicy, skąd ciągnie śmiertelny chód.

Taka to i wiosna. I tylko litość bierze nad pąkami, któ
tu i ówdzie na gwałt nabrzmiewają, a przecież wiadomo, że
jeszcze nie pora.

W moim pokoju to w ogóle nie maj, a chyba czerwie
Mansardowe okienko, wprawione w okap dachu jak soczewk
jeszcze tę pogodę potęguje, chwyta wszystkie promienie, któ
mu odbijają ekrany naprzeciwległych murów. To się nazyw
rewerberacja. Jestem jak w cieplarni. A jednak szczękam z
bami, drżę i rozmyślam, czy by nie zapalić ognia. Moja chor

giewka szeleści i wyrywa się znad półki, jak ostatni liść na gałęzi.

Nie chce mi się rozpalić ognia. Robię to tylko wtedy z jakim takim zapałem, gdy wiem, że przyjdziesz. Więc widzisz, wcale na Ciebie dziś nie czekam. Ani nawet nie chcę, żebyś przyszedł. Najlepszy dowód, że nie otworzyłam od razu, gdy te kroki zatrzymały się na korytarzu, naprzeciw moich drzwi. Przestałam pisać, udawałam, że mnie nie ma w domu. Muszę mieć chyba jednak lekko podniesioną temperaturę i to mnie tak rozkleja. Poza tym z nogą coś niedobrze. Blizna zaogniła się, widać ją przez pończochę, nie potrafię o niej nie pamiętać. Może się znowu otworzy?

Z tą moją nogą jest trochę tak, jak z żytem mojej gospodyni, od której wynajmuję pokój. Pewnego razu, dość już dawno temu, nie za Twoich jeszcze czasów, wpadłszy do mnie na pół z inspekcją, a na pół z wizytą, zauważyła bardzo dziwnego robaczka na tapecie. To nie była pluskwa, wyglądało to raczej niewinnie, ale, gdy było się temu przypatrywać ze zgrozą, tak jak ona, z każdą chwilą bardziej przypominało pluskwę, czarne, płaskie, wstrętne.

Cóż to była za zgroza, cóż za wstręt dystyngowany! Gospodyni popatrzyła na moje koce na łóżku, na ich podejrzane, niemieckie jeszcze stemple, na mnie i zapytała bardzo uprzejmym tonem:

— Jest pani pewna, że to nie jakiś... pasożyt?

— U nas w obozie były tylko wszy, proszę pani — odpowiedziałam z miażdżącą godnością.

Odpowiedziałam, ale później, oczywiście, gdy jej już nie było. Odpowiedzi, które mi przychodzą do głowy po wszystkim, są z reguły pełne godności i miażdżą.

W rzeczywistości zaczerwieniłam się i zaczęłam tak jąkać, że moją gospodynię musiało to utwierdzić w najgorszych przypuszczeniach. Wyszło mi to zresztą na korzyść, bo do dziś dnia nie zażądała ode mnie zwrotu kołdry, którą mi pożyczyła.

Tymczasem tajemnicze pasożyty, których przedtem wcale nie dostrzegałam, rozzuchwalone, nic już nie mając do stracenia, przystąpiły do istnej inwazji. Sadowiły się wszędzie, na ścianach, na suficie, nieruchome. Nie zdradzały właściwie żadnych złych zamiarów. Mimo to czułam się jak Popiel w swojej wieży, skazany na pożarcie żywcem. Rujnowałam się na proszki, przeglądałam kąty i szpary.

W końcu okazało się, że się wylęgły z wojennego zboża.

W schowku pod oknem leżał worek. Kto by pomyślał, że tam zboże! Gospodyni w czasie wojny trzymała pewno w moim pokoju zapasy na czarną godzinę. Nigdy taka czarna nie nadeszła dla niej, żeby musiała zboże to uprażyć na kawę, albo zemleć ręcznym młynkiem na mąkę, jak to się praktykowało. Po tylu latach wojenne zboże, zapomniane w swoim schowku, przygrzane, zamiast wykiełkować, wylęgło się robakami.

To byłby triumf, przyprowadzić gospodynię, pokazać jej. Wyrzekłam go się, drogo by mnie kosztował. Ty ją znasz. Zaciskając zęby zebrałam wszystko w papier, rojące się i żywe, była tego wielka paczka.

Tak i ze mną. Są dni, tygodnie, miesiące, że zapominam. A tymczasem wór wojennego zboża leży w najciemniejszym schowku i nie wiadomo, co się tam w nim zawiązuje, kluje, kiedy mnie obsiądą, jakie się zeń wyroją stwory.

Doczekałam wieczoru nim zeszłam z moim brzemieniem, czając się koło drzwi stróżki, pełna wstydu i lęku, jak złoczyńca. Nie chciałam, by ktoś widział, nie chciałam wyrzucić po prostu do śmieci, nie przeszłyby mi przez gardło tłumaczenia, nie zniosłabym komentarzy. Wiązało mnie z tym workiem sekretne poczucie winy, wspólnota w odrazie.

Ulice były puste, ale mnie wydawało się, że wszyscy patrzą na mnie zza uchylonych okiennic, z wnętrza czarnych, nieoświetlonych mieszkań, zza węgła. Jakże trudno jest pozbyć się niepożądanego ciężaru! Klucząc i kołując, zlana potem, podrzuciłam wreszcie tobół w małym zaułku, zupełnie pustym, pod bramą jakiegoś bodaj zgromadzenia zakonnego i uciekłam taka zziajana, jakby to był trup zamordowanego przeze mnie człowieka i jakby cała policja miasta deptała mi po piętach. Ty byś się śmiał z tych niepotrzebnych komplikacji. Ja się nie śmieję nawet dziś, i nigdy nie chodzę tamtędy, choć wiem, że ten wór już tam nie leży i że nikt nie pokaże palcem: to ona, to jej.

Ja rozumiem tych, co mówią: zapomnijmy, sama tego pragnę. Nie mam namiętności retrospektyzowania i gdybym mogła przypominałabym raczej Sarę, tę śliczną Żydóweczkę, z którą na samym początku siedziałam w jednej celi. Nic się nie martwiła co będzie, śpiewała przeboje i kręciła sobie na noc papiloty. To było na samym początku, zaznaczam, i nikt nie miał pojęcia jakie nam rzeczy gotują. Ale wesołość Sary i tak drażniła inne kobiety.

— Cicho — mówiły. — Myśl lepiej o tym, coś zrobiła.

— Co zrobiłam? — dziwiła się Sara. — Mam tu siedzieć i myśleć cały czas: wyszłam z ghetta. Podepczałam trochę śniegu! Wyszłam z ghetta! Podepczałam trochę śniegu...

Bo rzeczywiście, takby można ująć w skrócie jej przestępstwo.

Mój punkt ambicji: być jak ona. Póki co, śpiewać przeboje i kręcić papiloty. Potem już okaże się, co się zrobiło i jaka za to cena.

Gdy mnie noga nie boli, gdy pracuję, chodzę, wtedy nie pamiętam, nie staram się na umyślnie, dla jakiejś głupiej zasady, pamiętać, że byłam w więzieniu, obozie, że byłam operowana. Tyle, że przykro mi czasem kłaść cienką pończochę przez którą blizna przebija, zwłaszcza gdy wychodzimy razem Ale kiedy blizna czerwieni się i jątrzy, kiedy się rana otwiera trudno nie pamiętać, że jednak, jakby nie było, zostałam kie

dyś tam podana operacji doświadczalnej i że to doświadczenie nadal we mnie przebiega, przechodzi kolejne fazy.

Pisanie ma swoje dobre strony — pomaga mi opanować się, by nie drapać, nie wyszarpać do kości tego czerwonego, śliskiego wężyka, który biegnie od kostki do kolana, żłobi mięsień łydki i wżera się weń, nabrzmiały jadem, z każdym rokiem głębiej. Ja już przecież kuleję. Udajesz, że tego nie widzisz, ale ja utykam na tę nogę, powija mi się czasami i drętwieje, jakby ją wyżarł od środka i była pusta. Dzisiaj wydaje mi się, że to jest wąż ognisty, on pali. Nie potrafię oderwać go od siebie.

Gdybym była wierząca, jak kiedyś, widziałabym jakiś mistyczny sens w tym co pewien czas manifestowaniu się przeze mnie zła, które panowało nad światem.

Przypomnij sobie, przytwierdź mi, że póki mogę jestem jak Sara. Ta chorągiewka — pamiętasz, jak mi ją wcisnął do ręki ktoś, gdyśmy tańczyli na placu, razem z innymi? Miałam taką ładną sukienkę i byłam w pończochach mimo upału, nic nie było widać przez pończochy. Ale nawet gdyby było widać, nie popsułoby mi to chyba radości. Orkiestra grała pod gołym niebem, zewsząd biła muzyka, można by przysiąc, że na całym świecie gra muzyka, że wszędzie, na wszystkich placach i ulicach, tańczą ludzie upojeni, szczęśliwi, ludzie, którzy przeżyli, którzy się odnaleźli, spotkali, którzy się kochają. Jesteś wyższy ode mnie i musiałam zadzierać głowę ku Tobie, więc jednocześnie widziałam niebo, jak się kołysze do taktu za Twymi plecami, a chorągiewka, którą trzymałam w ręku, furkała i muskała nam twarze, raz Tobie, a raz mnie, jakby nas chciała kojarzyć i ona. Przestraszyłeś się i aż przystanąłeś, gdy zobaczyłeś, że płaczę.

— Co się stało?

— To tylko sen — powiedziałam.

Spoważniałeś i przycisnąłeś mnie mocniej.

— To nie sen, to jawa — powiedziałeś.

I ja Cię zrozumiałam. Chciałeś przez to powiedzieć, że to nie sen, tylko jawa, że jesteśmy razem, że tańczymy, uczuleni nawzajem na siebie, na każde słowo, spojrzenie, dotknięcie, bo się miłość zaczyna. Ale Ty za to nie zrozumiałeś mnie. Powiedziałam: to tylko sen, pełna ulgi, bo mi było jakbym nagle obudziła się w biały dzień, w śliczną pogodę, z najzimniejszego grobu, z najczarniejszej śmierci i, zalana łzami, przekonywała sama siebie: to nie była jawa, to był tylko sen.

Może Ci wtedy powinnam była od razu powiedzieć? Sprostować? O ileż łatwiej było poddać się bez słowa temu prądowi ciepła, życia, pragnienia, przez który, wydawało mi się, tamta jawa na zawsze w sen się zapada.

Nie tylko pierwszego dnia tak było. Jestem na ogół wesoła, nie ciężka, sam powiedz. Opowiadam zabawne historie i chętnie się śmieję, nawet ze siebie. Ale przychodzi taki czas, kiedy noga zaczyna się jątrzyć, a ja jeszcze nie wymyśliłam pretekstu,

jakby Cię oddalić na okres kiedy pójdę do szpitala. To są najgorsze chwile. Wtedy przeżywam wstyd i trwogę, kluczę, mylę ślady, uciekam, jak wtedy, kiedy nie wiedziałam jak, gdzie podrzucić worek wojennego zboża. Ty nawet nie wiesz, że odkąd nastały ,,Twoje czasy'', wróciłam do szpitala coś trzy razy. Udało mi się to ukryć przed Tobą. Co za triumf i co za smutek, że mi tak łatwo poszło! W każdej mojej nieobecności domyślałeś się sentymentalnej jakiejś eskapady, albo droczenia się z Tobą i za każdym razem, wróciwszy, nowy w Twoich oczach widziałam błysk zainteresowania. Nie pytałeś o nic. To dlatego, że nie chcesz, abym i ja Ciebie o cokolwiek pytała.

Przyznaj się, nie sądziłeś, że aż tyle mam przed Tobą do ukrycia?

— Ja zawsze do Ciebie powrócę — powiedziałeś mi kiedyś ze szczerym zresztą jak na Ciebie wzruszeniem oraz przekonaniem. Na pewno podziwiasz swoją stałość, swoje do mnie przywiązanie, tyle lat, tyle powrotów. Mój Boże! Ja tam nigdy nie mogę powiedzieć czy wrócę, gdy tak od Ciebie odchodzę.

Profesor będzie rad. Zjawi się tu i powie: — Nic ci nie potrzeba, moje dziecko?

I zaraz odchyli kołdrę i obnaży moją nogę. Może przyssany do niej wąż wyjawi mu nareszcie swoją tajemnicę? — Nic ci nie potrzeba, moje dziecko? — a jego palce będą przebiegać wzdłuż szwu, który pęka, obmacywać mięsień nabrzmiały, zatruty, pełne zawodowej ciekawości. Oczy mu będą błyszczały zza okularów, a mnie się wyda, że leżę w rewirze i że to doktór Schidlausky, w białym fartuchu niedbale zarzuconym na mundur esesmański, przyszedł obejrzeć swojego królika.

Wiem, krzywdzę profesora, to przyjaciel. Okazał mi wiele dobroci. Ofiarował mi pracę u siebie, najlżejszą jak można, synekurę. Wynalazł dla mnie ten pokoik przez swoje znajomości, czuwa nade mną. Nie daje mi zginąć, jednym słowem. Nie mogę jednak oprzeć się brzydkiej myśli, że nie daje mi zginąć, bo mu jestem potrzebna. Wie, że wcześniej czy później rana mi się znowu otworzy, a on będzie mógł mnie zabrać do swego szpitala. Wtedy mu się wypłacam z naddatkiem za dobrodziejstwa. Robi notatki, obserwuje, zbiera dane. Kiedyś, kiedy umrę, jeżeli mu się uda mnie przeżyć oczywiście, bo staruszek dość się posunął ostatnio, będzie nareszcie mógł zakończyć swoją pracę i ogłosić drukiem, jakie we mnie wsączono jady i jak się broniło moje wewnątrz życie. W ten sposób doświadczenie doktora Schidlausky'ego nie pójdzie na marne.

Właściwie to nawet lubię w pewien sposób te moje szpitalne rekolekcje. Nie ja jedna leżę na wielkiej, długiej sali, gdzie czterdzieści kilka kobiet jęczy i majaczy, zdrowieje i umiera. Nie dałyby sobie umrzeć nawzajem przez wścibskość, przez ciekawość, ale siostra zjawia się w drzwiach, w głębi sali, i dźwiga oburącz parawan. Wtedy zapada cisza. Ona idzie wąskim przejściem pomiędzy łóżkami, zbliża się, słyszę jej kroki, liczę je. Mija łóżka, przystaje, bo parawan uwiera ją w ramię,

idzie dalej, zapalają się i gasną na jej widok oczy. Tam, gdzie zmierza, czyjeś ręce nasuwają prześcieradło monotonnym ruchem. Łóżko otoczone parawanem zamyka się nad dalszym ciągiem tej sprawy, wyłączone z ogólnej sali, wyłączone ze świata.

Gdybym miała dosyć odwagi, poprosiłabym, aby moje łóżko stale było otoczone parawanem.

Teraz myślę, że ta winda, te kroki, które się rozwiały, to pewno nie byłeś Ty, ale profesor. Z początku uwierzył w moją grypę, gdy nagle nadzieja w nim powstała: a nuż? Wziął teczkę, nałożył czarny kapelusz na swoje siwe włosy, na wysokie, godne czoło uczonego i przyszedł zobaczyć, zaobserwować. W ostatniej chwili pomyślał, że lepiej jednak zasięgnąć najpierw języka u gospodyni.

On czuje. A przecież nigdy mu nic nie mówiłam, nigdy nie robiłam żadnych trudności. Kiedy odrzuca kołdrę, nagniata palcami obrzmienie, patrzę na niego, jak każdy chory, oczami pełnymi ufności i nadziei. Takie same oczy podnoszą się z czterdziestu pozostałych łóżek, nad którymi nachyla się po kolei. — Nic ci nie potrzeba, moje dziecko? — pyta z uśmiechem, dobry dziadunio. Zaciskam ręce na prześcieradle i on wtedy chyba coś czuje. Czuje, że mam ochotę bronić się, kopać i gryźć, jednym susem roztrącić asystę, tych głupich, gołowąsych studentów, którzy marszczą przypodchlebnie czoła, kiedy półgłosem, makaronizując, wyjaśnia im mój ,,wypadek''. I wyskoczyć przez okno.

I nic, leżę, pozwalam.

Wtedy broniłam się, i co z tego? Uciekłam z rewiru, przez okno, raz. Uciekłam drugi raz z bloku i cały obóz stał na karnym apelu gdy się odbywało na mnie polowanie. Schwytana, poczułam ulgę, kiedy zobaczyłam że mnie prowadzą nie do rewiru, tylko do bunkra, skąd brali na śmierć. Szłam posłusznie wtedy. Nie byłabym się broniła wcale, gdyby podjechała czarna ,,mina'', gdyby zawieźli mnie na piaszczyste wydmy pod murem i kazali odwrócić się plecami. Piaszczyste wydmy pod murem w euforii moich lat siedemnastu to były areny chrześcijańskich dziewic. Jedyną moją troską byłoby może, czy zdołam krzyknąć dość głośno, dość wyraźnie: Niech żyje Polska! Naprawdę. I krzyknęłabym to pewno, tak jak, wiem, inne krzyczały, szczęśliwsze ode mnie. Mój Boże! Niech żyje Polska, pomyśl... Jest tam pewno jeszcze gdzieś ten napis, wydrapany na murze, na mokrej ścianie bunkra, inicjały i data. Ale to nie miała być data właściwa.

Korytarze lagrowego bunkra powtarzały, przedłużały echa. Brzęczały klucze, daleko, blisko. Trzaskały drzwi, waliły buty o kamień. Czekałam przy samych drzwiach gniewna, że serce mnie dławi, że mi się ziemia ugina, gotowa na zejście między lwy.

Ale oni nie tego chcieli ode mnie.

Broniłam się więc, powiadam Ci, tak jak się może bronić kobieta, zębami, pazurami. Wydmy piaszczyste pod murem,

okrzyk i salwa zapadły się w nicość, kiedy narzucili mi mask z chloroformem. Ale dość długo byłam przytomna, by zdać sob sprawę, by zasmakować upokorzenia: moje było to ciało, p kryte sińcami, sztywne ciało schwytanego zwierzęcia, rozkrz żowane na stole.

Nie wiem dlaczego piszę Ci o tym akurat dziś. Mogła była opowiedzieć Ci te i inne dzieje dawno temu, na samy początku, zobaczylibyśmy co by się stało. Tego wieczoru przykład, gdyśmy siedzieli nad rzeką, latem i wieczór zastał n kochających się, ociężałych. Zapalono latarnie na moście. N czarnej wodzie ich światła zaczęły się zwijać w wężyki i wte widać było, że woda płynie. Otoczyłeś mnie ramieniem, wtu łam głowę w ciepłe wgłębienie Twej szyi. Drzewo, pod który stała nasza ławka, poruszyło gałęziami i wcale nie było słych aut, zgiełku miasta. Ten zmierzch nastrajał do zwierzeń, miał pewno ochotę posłuchać jakiejś strasznej bajki, która by prz jęła Cię dreszczem, bajki, której na pół tylko się wierzy. Miał ochotę pogładzić mnie po głowie i powiedzieć: — Biedactw moje, ile przeżyło... No, nie płacz już, było, minęło, już nic

Jakże mogłam, wtedy, takie rzeczy? Toż jakbym rozwiąza przed Tobą, wysypała Ci pod nogi ten wór spod mojego okn ze zbożem...

Zwyczajnie, bałam się przestraszyć Ciebie, bałam się, powiesz.

Jesteś taki nietknięty, gdzieś Ty się uchował, szczęśliwcz To tylko bajki dla Ciebie, opowiadania, które przejmują dres czem na chwilę i które się zaraz zapomina. Żadna z tych rzec Tobie przytrafić by się nie mogła. Chodzisz po świecie we wsp niałym poczuciu pewności, nigdy Ci się ziemia nie ugięła p nogami i nigdy nie schylasz się po kawałek chleba, który upa na ziemię. To zabobony głodomorów.

Jak Ty sobie wyobrażasz w ogóle, że tam było? Kied ku mojej szalonej uciesze wyraziłeś męską obawę, czy, mło dziewczę, nie byłam narażona na przemoc, na gwałty? Dob dawne czasy, gdy zwycięzcy gwałcili kobiety pokonanych, m na powiedzieć sielanka.

Kiedy nam się kazano rozebrać, kiedy to zrozumiała miałam na sobie cały mój dobytek, nagromadzony przez m siące więzienia. Chodziły pogłoski, że wszelkie pakunki bę odbierać, ale to, co się ma na sobie, pozostawią. Cóż gorszeg niż rozbierać się roztrzęsionymi rękami, rozpinać sprząc i guziki, wyłuskiwać się z palt, szlafroków, sukien, swetró halek, tylu skór ochronnych, które się piętrzą w żałosny s na podłodze i końca temu nie ma? — Los, los! — pogani rozgniewane głosy. Poczułam ulgę, kiedy wreszcie zrzucił ostatnią sztukę bielizny i stanęłam naga.

— A to?

Zdarli mi z palca obrączkę. To nie była moja obrącz obiecałam komuś, kto poszedł na śmierć, że ją oddam, je przeżyję. Długo nie chciała zejść z palca.

Pamiętam pomost z czarnych deszczułek ułożony na cemencie, po którym, poganiana, pobiegłam śmiesznym kłusem, klaszcząc stopami. W łaźni było ciemno od pary, gęsto od ciał. Te kobiety, które ze mną jechały jednym transportem, stare i młode, piękne i brzydkie, każda inna, jedyna, niepowtarzalna, te same, które widząc że pociąg zwalnia szukały gorączkowo w torbach ostatniego zucheleczka szminki, stały teraz zbite ciasno pod prysznicami, z których tryskał na zmianę wrzątek i lód. Było to kłębowisko wzdętych i obwisłych piersi, brzuchów twardych i sfałdowanych porodami, pośladków czarnych jeszcze od ostatniego przesłuchania, ramion zasłaniających wstydliwie kępki włosów, chwytających równowagę, broniących się przed ciosem. Wszystko to drgało, wykonując żabie susy i przysiady, piszcząc, jęcząc, stękając, wzywając Imienia Bożego na daremno. Kleiły się do mnie ciała mokre i ciepłe do obrzydliwości. Roztopiona byłam, zwielokrotniona w anonimowej masie.

Oni siedzieli w sali obok. Trzeba było po kolei podejść, zrobić półobrót, pokazać gardło, zęby. Cóż chcesz, między nimi siedział jeden w roli lekarza.

Śliski był i czarny pomost z deszczułek, po którym szłam bez drżenia, skamieniała. — Bliżej! — zrozumiałam, że na mnie wrzeszczą — bliżej! Podniosłam oczy i zobaczyłam białe, lśniące zęby w ogorzałej twarzy, oczy do przenikliwości niebieskie, roześmiane. Ręce o smukłych palcach porośnięte były delikatnym, złotym meszkiem. Nie wiem, jak się obróciłam gdy kazali, jak pokazałam zęby, gardło. Byłam pewna, że zaraz umrę, że takich rzeczy się nie przeżywa.

Ocknęłam się w innej hali śmierdzącej fenolem, z piekącym sińcem na piersi i zmiażdżonym przez but oficerski wielkim palcem u nogi. Do ręki wtykali mi suknię w pasy, sztywną jak włosiennica, i mój numer, dziesięć tysięcy.

Więc sam powiedz, jak zdobyć się od tej pory na ów słodki wstyd i słodki po nim bezwstyd nagości? Nie powinnam w ogóle zaczynać, powinnam była uciec od razu, pierwszego dnia, wmięszać się w tłum tańczący, żebyś mnie stracił z oczu póki czas. Albo też powinnam była od razu zażądać od Ciebie pomocy, powiedzieć Ci. Wtedy byś wiedział, co znaczą moje bunty, kaprysy moje i tchórzostwa. Może byś potrafił być ze mną. Mogłeś. To było możliwe.

Naga jestem napiętnowana. Nie przejdę dwu kroków, żeby nie czuć pod stopami śliskich deszczułek, a na sobie spojrzenia kpiących oczu, niebieskich jak Twoje.

Widzisz ile nas dzieli, kiedy myślisz, żeśmy najbliżej. Ale ja jedna cierpię z powodu tego oddalenia.

Słuchaj, nie myśl, widziałam raz i tam nagość triumfującą, alegorię miłości. Wszyscy patrzyli ze zgrozą, ja byłam bliska łez. Nigdy bym nie potrafiła, tak jak ona, przejść szpalerem dziesięciu tysięcy nie potknąwszy się, nie spuściwszy głowy. Jej nagie stopy zdawały się nie tykać czarnych żużli, którymi wysypana była aleja lagrowa. Szła na palcach. Piersi miała

okrągłe i mocne, kołysanie w biodrach nie psuło harmonii chodu, który wyglądał na lot. Dozorczynie w czarnych pelernach, w kapuzach nasuniętych na twarze, trzymające na sm czach wyrywającą się sforę, zdawały się stanowić symbolicz jakąś jej świtę. To był apel poranny i na dachach, na drutac bielał jeszcze szron. Niebo jaśniało zaledwie. Na czerni żużl na oliwkowej zieleni bloków, na szarzyźnie żywych czworob ków, w które byłyśmy ustawione, jej ciało skupiało w sob całą różowość mającego się narodzić dnia. To była Jutrzenka

Na plecach miała tablicę z hańbiącym napisem. To by któraś z blokowych, przyłapana na lesbijskich praktykach.

Kiedy mijała mnie, w tupocie butów, w furkocie peler swej eskorty, wydawało mi się, że się jakaś miara przepełn nieznośnie, że zaraz ktoś wyrwie się z szeregów i narzuci na ramiona więźniarską jakę. Ale minęła nasz front i posz dalej, nierzeczywista, prześwitując z daleka, aż pod bar Komendantury, skąd długo potem, gdyśmy wciąż stały i ap trwał, rozległ się wysoki krzyk.

Dobrze, że piszę to, a nie opowiadam. Bo gdybyś zro jakąś minę teraz, albo powiedział coś... Lubisz być frywoln Scena, którą przeżyłam wtedy, nie miała nic wspólne z tym, co nie frywolne było, tylko bardzo smutne. Z parkan które się czaiły po wieczornym apelu, w przejściach międ blokami, obnosząc na szyi chusteczki wiązane w kunsztow węzły na kształt męskich kołnierzyków, ze scenami zazdro i histerii i z prawdziwą nieraz, bezsilną miłością. Nie miała wspólnego z tym, kim ona była naprawdę, ta blokowa. Nig już jej nie widziałam, nie wiem, co się z nią stało. Dla mn w tamtej chwili, była przestrogą. W zgrzebnej sukni, w ch dakach, ostrzyżona do gołej skóry, wynędzniała, patrzyłam nią jak na zjawę, wyłonioną na chwilę z piany i zaraz wyszczu psami.

Opowiadam Ci o tych sprawach, jąkając się i kołują jak inne kobiety pewno jąkają się, mówiąc o pierwszy swoich miłościach. Bo ja tak, właśnie tak, pierwszy raz w ciu oglądałam miłość.

Znowu na chwilę uciszyłam palcami klawisze. Winda Lecz zatrzymała się na piątym piętrze, tam mieszka moja go podyni. Może to profesor... Wypije u niej herbatę, jak zwyk a potem wejdzie na górę, dowiedzieć się o mnie.

— Nic ci nie trzeba, moje dziecko?

Słuchaj, ja nie otworzę. Ktokolwiek by nie pukał, otworzę dzisiaj moich drzwi. Jeżeli to Ty, wystarczy mi, Cię zobaczę przez okno. Kiedy tak mijasz nie widząc mn jest między nami najprawdziwiej. Bo i cóż, mnie i Tob I zresztą — nie tęsknię właściwie do Ciebie. Ty nawet nie j teś życie.

Cicho. Winda...

Kłamię. Ty jesteś życie. Życie jest takie. Odchodzi, wra

Staje pod drzwiami. Nie daje się przywołać, przechodzi mimo. Prześwituje różowo, a potem zasnuwa je czerń.

Wstydzę się na myśl, że to przeczytasz, wstydzę się jak ostatnim razem, kiedy krzyknęłam i rozpłakałam się. Byłeś taki przerażony. — Boli cię? — pytałeś.

Bolało mnie i teraz boli. Ten ból się rozprzestrzenia, porusza się, gospodaruje we mnie. Boję się go i brzydzę.

Winda ucichła, nikt nie pukał i na ulicy także pusto. Bo skoro Ci już tak ze wszystkiego się dzisiaj spowiadam, wyznam i to, że znowu wyglądałam przez okno. Gołębie fruwają stadkami i kiedy tuż pod moim oknem robią gwałtowny manewr, hamują w powietrzu i odpychając się odeń skrzydłami zawracają w miejscu, widzę ich różowe łapki, po parze, przyciśnięte do brzuszków jak podwozia u samolotów i jasne, delikatne pachy ich skrzydeł.

Jak ślicznie! A może to naprawdę już wiosna i tylko ja, spóźniona, szczękam zębami i trzęsę się od wewnętrznego chłodu? Może białe kopuły bazyliki zaraz fruną, uniosą się do góry jak pęk dziecinnych baloników. Wdycham wiatr. Czym smakuje? Smakuje rzeką i lasem i ziemią świeżo rozmiękłą, chociaż w dole dachy i dachy. Chciałabym pójść...

Jaka pogoda i jak ślicznie! Trzymam się oburącz mych niewidzialnych krat i wychylam nad doliną kominów i dachów, porżniętą w wąwozy ulic, którymi może idziesz do mnie w tej chwili. Śpiesz się — albo nie przychodź już nigdy. Pokój się za mną kołysze, notatki profesora tańczą po podłodze, papierowa chorągiewka znad półki z książkami klaszcze głośno, wyrywa się. Noga drętwieje mi, przyciśnięta do framugi i czuję mrowie, które od niej rozchodzi się po moim ciele i wypełnia je odrębnym, wstrętnym życiem.

Więc schodzę z okna i stukam i piszę, aby nie myśleć o niej, aby jej nie orać paznokciami. Tylko już nie wiem co pisać.

Ratuj, przyjdź!

Ale te słowa już nic nie znaczą. To już nie jest wołanie. Myśmy się już przecież pożegnali. Ostatnim razem to był ostatni raz.

Wiesz już teraz, dlaczego bolało?

Zofia ROMANOWICZOWA

Pogrzeb środy

Wyrąbali wszystkie drzewa świateł i jest ciemno
została rozległa poręba gwiazd
A jedno drzewo było olbrzymie
jedno drzewo było ogromne
sądząc po słojach miało
kilka milionów lat
jego pień zwą ludzie księżycem
zakochani się modlą do niego
poeci wskazują go piórem.

Wieczór, mówicie, — to wieczór!
Nie, to umiera
tysiącpięćsetna
środa mojego życia.

Tadeusz ŚLIWIAK

Homo atomicus 57

Wybudujemy wielki dom
ściany z pocisków
sufit z bomb
z granatów piec
a z min podłogę
pod próg podprowadzimy drogę
wybrukowaną czerepami
krótką
jak o umarłych pamięć.
W ogródku posiejemy ogień

a potem syci kłamstw i zdrad
będziemy pytać pełni trwogi
jak długo jeszcze potrwa świat.

Kraków, lato 57

Tadeusz ŚLIWIAK

Sienkiewicz podwójny

JAN LECHOŃ I SIENKIEWICZ

Żywioły — zamarzłe w beton,
Żywioły — ułożone w pryzmy,
Złe żywioły. Letejskiej wody — ustom poety,
Trunku ciała biednego — polszczyzny!

Jest archipelag palm i skał niebieskich,
Ryb śpiewających, szałasów pasterskich,
Które przenika deszcz jak pierwsza miłość.
Za ruchami firanki, w którą obcy wiatr wieje,
Płyną okręty. Szukają południka
Zagubionego. W portach prócz piosenki
Wtórującej gitarom nie przyjmują nic.

Dalej, dalej! Włochate gwiazdy lęgnie ciemność.
Wyspy się obnażają w blasku przerażenia.
Ciało pęka.

Lecz cóż zostaje
Z koszmaru, gdy różowa kukułka oznajmia
Dymy zatopionej w sercu Itaki?
Czekasz jak gałąź drzewa czeka, by wziąć ptaki
Z powietrza i uczynić swoją zieleń — śpiewem.

CHÓR

Już ciebie, miły, stroskany Charon przewozi.
Od brzegu chłodny wiatr wieje, włosy rozwiewa:
To pożegnanie łagodnych wąwozów, jagód na krzewach.
Świat tylko czasem zdejmuje maskę i wtedy nas mrozi.

EPILOG

Świat stacza się kulistym owocem. W podróży
Można dłonią go zakryć i trwać.
Po cóż dłużej?

CHŁOPIEC Z PODDASZA I SIENKIEWICZ

Kot linoskok przesuwa księżyc
W pochyły wylot zaułka,
Fosforyzują oczy,
Miękkie łapy lepią się zmierzchem.

Chłopcze, w czarnym kwadracie
Okna, do rąk twoich obu
Świecących łagodną muzyką
Zlatują ptaki i chmury.

Jest smukłe niebo, bruk niski
Ciepły stąpaniem zwierząt.
I kroków, które odeszły,
Szkliste w powietrzu spirale.

Bywały dymy z kartoflisk.
Pod świecznikami jarzębin
Na pustej ziemi — ślinionym
Palcem znaczyłeś kartki.

Bosego w kusej parciance
Przez palisadę wrzasku
Strwożonych gęsi — Zagłoba
Porwał w czerwonym kontuszu.

Zygmunt FALKOWSKI

Wiersz o wanilii

To nie żonkile
pachną wanilią.
To wanilia pachnie jak żonkile.

Gdzieś, na swojskim atolu egzotycznych bajań
swojsko zamorska cud —
kraina
zakwita hebanowym żonkilem
wanilii.
A tutaj jest Argentyna.
Nad Argentyną — jak na rozstajach —
krzyż
(Cóż z tego że — Południa?)

I Argentyna się przechyla
w Chile.
A Chile jest jak Huculszczyzna.

Jesień.
Kurz.
W kurzu mięta zieleni się jak mięta
i tamaryszek się puszy
jak wrzos.

Wiosna.
A jej wykładnik (w logice lila-róż)
co ucieleśnia
sens dziwacznego wyrazu: liliodendron.
toż to przecie magnolia z Alei Ujazdowskich!

Eukaliptus, plagiator wierzb.
wciąż nam wyrasta z pastylki
zielonej,
a ceibo *co TAM pełga maleńkim płomykiem*
po tyczce od fasoli.
tu przez omyłkę tylko
mierzwi się
nad głownią pnia ogromnym pożarem korony.

Dość!
Zedrzeć z siebie śmieszny, absurdalny trykot
tkany w fałszywy dwugłos miłości
i blagi.
Zanurzyć się w Atlantyku,
zanurzyć się w Pacyfiku,
zanurzyć w oceanie,
i w doznaniu,
nago!

Ceibo *miechem legendy rozżagwił indianin,*
eukaliptus
zachłysnął się
słońcem
i muskularną spiralą pnia
tłoczy ku niebu gęsty aromat,
aby się sączył
przez moskiterę sjest
upałem oleistym.
Żonkile? Nie. Nie pachną. Są samym kolorem.

Argentyna jest jak Argentyna,
i Chile jest jak Chile,
i sobą jest,

i sobą jest
jedynie
kraj, w którym orchideą zakwita wanilia.

I wanilia pachnie jak wanilia.
I wanilia pachnie jak wanilia!
(I wanilia pachnie żonkilami)
I wanilia pachnie jak wanilia!
(I Warszawą pachnie liliodendron)
I wanilia pachnie jak wanilia!!!
I jak polskie, bo „włoskie", topole,
i chilijskie? — nie! — huculskie, płoty,
patagoński kurz? — nie! — mazowiecki.
I tęsknota, ckliwota
i — — — — —
Co to?

Wierność?
Niewola?
Kalectwo?

Buenos Aires, marzec 1957

Maria ORZESZKOWSKA

Wielki cień

25 kwietnia 1945 r. w Torgau w samym środku Niemiec i w środku Europy spotkały się armie dwóch poza-europejskich potęg: Rosji i Stanów Zjednoczonych. Był to koniec zarówno Niemiec jak i Europy. Od roku 1795 po rok 1945 — problem ekspansji rosyjskiej wraz z ,,kwestią polską'' — uległ stopniowo swoistej europeizacji. Dziś nie tylko my nie mamy odpowiedzi na problem rosyjski i nie tylko my nie umiemy odnaleźć kursu historycznego. W poszukiwaniu kursu jest cała Europa.

Największą przeszkodą w uporządkowaniu sceny europejskiej jest historia i tradycja. Pragniemy odbudować rzeczy, które są nie do odbudowania. Europa jest nie do odbudowania jako koncert potęg, które byłyby zdolne samodzielnie przeciwstawić się Rosji.

Historyczna restauracja Europy musiałaby się zacząć od całkowitej odbudowy światowej potęgi Niemiec. Nie ulega wątpliwości, że ,,wielki plan'' kanclerza Adenauera szedł po tych liniach. W oparciu o siły sojuszu atlantyckiego i przytłaczającą przewagę Ameryki — Kanclerz spodziewał się wymusić na Rosji zgodę na zjednoczenie Niemiec. Zapoczątkowany na zachodzie Europy proces scalania gospodarczego — w którym Niemcy wraz z Francją odgrywają czołową rolę — miał z czasem objąć również i europejski Wschód. Pisano o kondominium polsko-niemieckim na ziemiach zachodnich — o nowym porządku, który by zastąpił ,,przedmurze habsburskie'' — o nowej ,,Ostpolitik''. Z tych wszystkich planów — poza serią artykułów w czasopismach i periodykach nic nie zostało nic.

Restauracja Europy musiałaby oznaczać wydobycie kontynentu spod dominującego cienia wielkiej Rosji. To jest nieosiągalne bez zwycięskiej wojny. Rosja musiałaby być nie tylko odepchnięta na granice z 1939 roku (lub dalej) — lecz pobita, podzielona i bardzo wydatnie osłabiona.

Plan ten jest w tej chwili nierealny.

Rozważania na temat przyszłości Europy trzeba więc rozpocząć od stwierdzenia, że wielka Rosja jest w obecnym etapie

czynnikiem stałym. Ów czynnik rewolucjonizuje sytuację europejską, gdyż nawet koalicja wszystkich mocarstw europejskich z Wielką Brytanią włącznie — nie mogłaby bez pomocy amerykańskiej stawić czoła Rosji.

Dla Rosjanina, który patrzy na mapę naszego kontynentu z Moskwy — Europa musi się wydawać... rosyjską Kanadą. Związek Sowiecki jest bowiem dziś najpotężniejszym państwem europejskim, które geopolitycznie i militarnie dominuje nad całym kontynentem. Gdyby Amerykanie bez słowa wycofali się z Europy, nasz kontynent stałby się sowiecką Kanadą w przeciągu bardzo krótkiego czasu. Rzut oka na mapę musi każdego całkowicie upewnić w tej materii.

Innymi słowy, Europa zachodnia istnieje jako system niezależnych państw nie w konsekwencji własnego potencjału sił — lecz wyłącznie dzięki temu iż znaleźliśmy się w sferze granicznej wpływów Rosji i Stanów Zjednoczonych. Ów stan faktyczny, który jest konsekwencją procesu historycznego — należałoby uznać i podnieść do rangi instytucji. Instytucją odpowiadającą powyższej sytuacji — jest neutralizm. Politycznym powołaniem Europy — wypływającym z jej geopolitycznej współczesnej sytuacji — jest status neutralny.

Osobiście widzę dwie zasadnicze przeszkody blokujące drogę rozwojową po liniach cytowanych powyżej.

Potencjały obu głównych partnerów są tak wyrównane, że jeden fałszywy ruch mógłby wydatnie przeważyć szalę. Obie strony wydają się sądzić, iż większe bezpieczeństwo zapewnia „status quo”, którego ryzyka są znane — niż zmiana obecnego układu. Każda bowiem zmiana sytuacji kryje w sobie ryzyka trudne do przewidzenia.

Drugą przeszkodą są Niemcy. Moskwa widzi zupełnie inaczej ten problem niż Waszyngton. O losie Europy zadecydują Niemcy — zadecyduje fakt, która z koncepcji rozwiązania „kwestii niemieckiej” zwycięży.

Stany Zjednoczone nie mają żadnej programowej polityki niemieckiej. Można mówić tylko o orientacjach i opiniach pewnych kół. Znaczny odłam amerykańskich polityków i przywódców wojskowych do tej pory widzi w Niemczech kandydata na najpotężniejszego sojusznika Ameryki po tej stronie „wielkiej wody”. I w Niemczech nie brak zwolenników, a nawet entuzjastów tej koncepcji. Niemcy zdają sobie bowiem sprawę, że tylko w oparciu o Amerykę mogliby odzyskać pozycję mocarstwową a odzyskawszy ją podjąć politykę rewizjonistyczną.

Oczywiście można przyjąć pogląd, że na kontynencie wszystko jest przegniłe i że jedyny naród, który zachował swą prężność i dynamikę to są Niemcy. Można ich uzbroić — można wyposażyć ich armię w bronie atomowe — a odmową uznania granicy na Odrze i Nisie podsycać wydatnie rewizjonistyczne ambicje. Ale i w Ameryce, nawet dla sympatyków tej koncepcji jest jasne, że rozwiązanie „kwestii niemieckiej” po tej linii niosłoby z sobą olbrzymie ryzyko.

Z teoretycznego punktu widzenia — interesom amerykańskim najlepiej odpowiadałyby potężne, uzbrojone Niemcy, karny i zdyscyplinowany członek NATO.

Z teoretycznego punktu widzenia interesom rosyjskim najlepiej odpowiadałyby zjednoczone Niemcy na warunkach wschodnich. Sprzymierzenie potencjałów przemysłowych Związku Sowieckiego i Niemiec Zachodnich — tworzyłoby ,,kombinację'' raczej groźną.

Wadą obu wymienionych ,,idealnych'' rozwiązań jest fakt, że są ryzykowne i trudne do przeprowadzenia. Żaden bowiem z głównych partnerów nie może zgodzić się na zdyskontowanie ,,kwestii niemieckiej'' wyłącznie po linii interesów przeciwnika. I dlatego i w Waszyngtonie i w Moskwie wielu polityków hołduje opinii, że najmniej ryzykowny jest obecny podział.

W wielkiej dyskusji na temat powyższego problemu zainicjowanej w prasie brytyjskiej odczytami amb. Kennana — padło wiele głosów za polityką podtrzymywania ,,status quo''. Wystarczy wymienić choćby głos tak wybitnego historyka jak G. F. Hudsona.

Jest rzeczą zdumiewającą gdy historycy opowiadają się za utrzymaniem ,,status quo'' i pouczają nas, że istnieje wiele ciernistych zagadnień politycznych, które czas złagodzi i rozwiąże. Tym historykom chciałoby się przypomnieć, że wielka pani Historia bynajmniej nie jest pacyfistką. Miłośnikami pokoju bywają tylko ludzie. Każde zagadnienie znajduje w końcu swoje historyczne rozwiązanie ale doświadczenie choćby ostatnich lat pięćdziesięciu — poucza nas, że tzw. ,,proces dziejowy'' niezmiernie chętnie posługuje się instrumentem wojny. ,,Kwestia Niemiecka'' jest niewątpliwie najważniejszym problemem Europy i jednym z najważniejszych problemów świata. Nie ulega również najmniejszej wątpliwości, że kwestia ta znajdzie swoje historyczne rozwiązanie. Pytanie brzmi tylko jaką metodą owo rozwiązanie zostanie zrealizowane.

Co to znaczy Niemcy spacyfikować? Spacyfikować Niemcy to znaczy zlikwidować źródła rewizjonizmu. Rewizjonizm w Niemczech nie wygaśnie dopóki Niemcy nie zostaną po pierwsze — zjednoczone, a po drugie — zneutralizowane. Słuszne tendencje zjednoczeniowe żywią i psychologicznie warunkują niesłuszne żądania rewizjonistyczne. W obecnej sytuacji w opinii niemieckiej nie ma zasadniczej różnicy między politykiem, który domaga się zwrotu Drezna a politykiem, który do Drezna dodaje jeszcze Wrocław. Nie zwalczy się nigdy nieuzasadnionych żądań terytorialnych odmawiając zaspokojenia uzasadnionych żądań terytorialnych. Postulat zjednoczenia nie tylko podsyca rewizjonizm, ale przysłania go pozorami legalizmu i moralnej słuszności.

Ale istota zagadnienia polega na tym, że w gruncie rzeczy w polityce nie istnieje pojęcie ,,status quo''. Obrona ,,status quo'' oznacza w praktyce drogę po linii najmniejszego oporu. Nie trzeba być prorokiem by przewidzieć dokąd owa droga nas prowadzi.

Jeżeli pozwolimy sytuacji europejskiej rozwijać się w opa ciu o ,,status quo'' — to należy uznać za pewne, że za kilk lat wszystkie państwa Europy zachodniej łącznie z Niemcami — będą posiadały bronie atomowe. Wówczas różnica między bro niami atomowymi a broniami konwencjonalnymi całkowicie s zatrze. Niebezpieczeństwa związanego z taką ,,popularyzacją broni atomowych zbędne byłoby podkreślać. Francja będz miała bronie atomowe własnej produkcji w roku 1960 i — ja zauważył jeden z periodyków brytyjskich — być może zechc udostępnić swój atomowy arsenał Niemcom. Francja z jedn strony nie ufa NATO (czemu nie można się dziwić) — z drugi strony jest uczulona w stosunku do problemu hegemonii angl saskiej na kontynencie europejskim. Niemcy podkreślają wpraw dzie, że nie podejmą produkcji broni atomowych na swoim t rytorium — lecz równocześnie nie tają, iż zdecydowani są w posażyć swoją armię w bronie nuklearne.

Osobiście nie podzielam opinii tych, którzy sądzą, że uzbr jone ,,atomowe'' Niemcy stanowią niejako automatyczne z grożenie pokoju. Niebezpieczeństwo związane z taką sytuac nie tkwi w Bonn, lecz w Moskwie. Rosja nie zgodzi się na re taurację Niemiec jako mocarstwa militarnego i narzuci swo koncepcję ,,kwestii niemieckiej''.

Mówienie o wojnach lokalnych w sercu Europy jest nonse sem. Jeżeli Sowiety wyreżyserują ,,kryzys'' w Berlinie or ,,spontaniczne'' zjednoczenie przy udziale zaprzyjaźnionych s wieckich dywizji — Amerykanie będą mieli do wyboru albo wo nę globalną — albo lokalną kapitulację. Nim ruszą dywizje — posypią się na Londyn, Waszyngton i Paryż listy pp. Chruszcz wa i Bułganina tłumaczące jasno i dobitnie, iż Związek Sowie ki miłuje pokój i Niemców, a domaga się tylko by w Bonn urz dował ,,przyjazny rząd''. Na Zachodzie zaczerniłoby się niewą pliwie od monachijskich parasoli i pokój zostałby uratowan Wszystko inne to już detale. ,,Przyjazny rząd'' w Bonn przepr wadziłby referendum, federację obu republik itd.

Rosjanie uważają obecny ,,status quo'' za sytuację mo i nie najlepszą, ale za to nie groźną. Natomiast akcji zmierz jącej do rozbudowy zachodnich Niemiec w atomowego sojuszn ka Stanów Zjednoczonych — przeciwstawią się z całą pewn ścią.

Pod tym kątem widzenia należy rozpatrywać tzw. pl Rapackiego. Przyjęcie tego planu oznaczałoby zamrożenie ,,st tus quo''. Podział Niemiec zostałby usankcjonowany a perspe tywy rozbudowy federalnej republiki w atomowego sojusznika — przekreślone.

W prasie zachodniej wyrażano pogląd, że plan Rapackie mógłby być pierwszym krokiem na drodze ku utworzeniu pa neutralnego w Europie środkowo-wschodniej. Nie podzielam t opinii. Z chwilą bowiem, jak ów plan zostałby zaakceptowan Rosja uzyska wszystko czego pragnie i z punktu widzenia Mo kwy nie będzie powodu do dalszych dyskusji. Plan Rapackie

stanowi dla Rosji rozwiązanie doskonałe. Gwarantuje podział Niemiec wraz z ich „de-atomizacją", a równocześnie nie nakłada na Rosję obowiązku ewakuacji wojsk z Europy satelickiej. Plan Rapackiego nie tylko nie stanowiłby pierwszego kroku na drodze ku zorganizowaniu pasa neutralnego, ale przekreślałby tę inicjatywę raz na zawsze.



Ameryka ma dwie atutowe karty w swej światowej grze: Chiny i Niemcy. Nie jestem specjalistą od zagadnień Dalekiego Wschodu — niemniej sądzę, iż uznanie komunistycznych Chin przez Stany Zjednoczone obchodzono by w Moskwie jako dzień żałoby. Uznanie Chin otwierałoby — choć może nie natychmiast — zupełnie nowe perspektywy przed polityką amerykańską. Chiny będą wielką potęgą przemysłową jeszcze w bieżącym stuleciu. Potrzebują dwóch rzeczy: dłuższego okresu pokoju i pomocy gospodarczej. Co mogą zaofiarować? Zaofiarować mogą niezmiernie wiele. Mogą przyjąć postawę Indii w komunistycznym „commonwealth", a może nawet w sprzyjających warunkach stałyby się olbrzymią Jugosławią na kontynencie Azji.

Ale wróćmy do Europy i do karty niemieckiej. W sferze wpływów polityki amerykańskiej znajduje się 70 milionów Niemców i ich wielki przemysł. Kartą niemiecką w grze z Rosją można by dużo osiągnąć. Ale dużo to nie znaczy wszystko. Z całą pewnością nie można osiągnąć „wyzwolenia" Europy wschodniej i zjednoczenia Niemiec na warunkach Zachodu. Na pewno jednak można osiągnąć znacznie więcej niż oferuje plan Rapackiego. Zaletą tego planu jest fakt, że istnieje... Istnieje jako konkretna propozycja państw „paktu warszawskiego". Natomiast po tej stronie barykady, jak dotąd (pierwsza dekada lutego) mamy powódź projektów, ale wciąż nie ma politycznego planu. Niebezpieczeństwo związane z taką sytuacją polega na tym, że jak w końcu dojdzie do rozmów — dyskutować się będzie nad planem Rapackiego jako jedyną konkretną propozycją. Sukcesy polityki sowieckiej na przestrzeni ostatnich lat 13 w znacznej mierze wypływają z faktu, że Zachód niczego konkretnie nie planuje i cofa się pod naporem planowej polityki sowieckiej.

Wyliczenie wszystkich projektów pasa neutralnego, jakie opublikowano ostatnio na łamach prasy zachodniej — zajęłoby zbyt wiele miejsca. Przeglądając tekę odnośnych wycinków trudno powstrzymać się od zdumienia, iż żaden z światłych autorów nie zastanowił się nad kardynalną kwestią neutralizacji państwa komunistycznego. Neutralność Austrii nie nasuwała trudności tego typu. Ale ani Polska ani Czechosłowacja ani Węgry nie są niestety Austrią czy Szwajcarią. Co to znaczy zneutralizować państwo komunistyczne? Czy oznaczać ma to zamrożenie jego

obecnego ustroju — czy przeciwnie, natychmiastowy powrót d demokracji poprzez wolne wybory?

Zdaję sobie sprawę, że nie poruszano tego zagadnienia b jest to problem niezmiernie śliski i ciernisty. Ale przez pomija nie go milczeniem nie stanie się on bardziej prosty.

Plan Rapackiego jest interesujący i pod tym kątem widze nia. Neutralność dotyka bezpośrednio kwestii ustrojowej — „d atomizacja" nie niesie z sobą takich komplikacji. Przyjęcie teg planu byłoby równoznaczne z utrwaleniem pozycji rządów k munistycznych w Europie wschodniej.

W moim przekonaniu pozycja Rosji na kontynencie eur pejskim jest tak silna, że wynegocjowanie statusu neutralneg który de facto równałby się „liberation" — jest mrzonką. Celów które mogą być urzeczywistnione tylko na drodze zwycięski wojny nie można przedkładać przeciwnikowi, który *nie* jest p bity. Rosja nie ma powodu godzić się na jakąkolwiek kapit lację. W konsekwencji, pas neutralny i jego konkretny stat mogą być tylko sumą ustępstw, które Rosja byłaby gotow uczynić za spacyfikowanie Niemiec i ewakuację baz i wojs amerykańskich.

Wyważenie koncepcji neutralizacji jest sprawą niezmiern wagi. Status neutralny państw komunistycznych musiałby b tak obmyślany, by — z jednej strony chronił „twarz" Ros a z drugiej strony otwierał perspektywy rzetelnej demokratyzac Powiedzmy dla przykładu — na natychmiastowe wolne wybo we wszystkich państwach komunistycznych, które weszłyby skład pasa neutralnego — Rosja nigdy się nie zgodzi. Związe Sowiecki nie ma powodu fundować sobie tak gigantycznej kon promitacji. Ale — być może — Rosja zgodziłaby się na klauzul która przewidywałaby wybory w państwach pasa neutralneg po upływie trzech czy pięciu lat, pod kontrolą międzynarodow Wówczas klęska partii komunistycznej w państwie X nie kon promitowałaby już Rosji bezpośrednio.

Nie jest moim celem w niniejszym artykule analizowan ewentualnej struktury prawnej statusu neutralnego dla państ wschodniej Europy. Chodzi mi tylko o podkreślenie, że Ros gotowa jest do wymiennych ustępstw, lecz nie do kapitulac Zachód nie ma możliwości niczego Rosji dyktować. Można l jednak niewątpliwie od Związku Sowieckiego wiele rzeczy w targować.

I wreszcie ostatni punkt tych rozważań. Europejczycy n mają odpowiedzi na cień wielkiej Rosji, który przysłania na kontynent. Bazy amerykańskie i NATO nie są zadawalają ripostą. Coraz więcej ludzi w zachodniej Europie zadaje sob pytanie czy jest sens wydawać gigantyczne sumy na zbrojen atomowe — jeżeli Rosja i Ameryka posiadają dziś dość bon wodorowych by zlikwidować się nawzajem. Coraz częściej sł szy się opinię: „bazy amerykańskie w razie wybuchu woj ściągną na nas sowieckie pociski międzykontynentalne. Co na przyjdzie ze zwycięstwa Amerykanów, jeżeli nasza przeludnio

wyspa przemieni się w radioaktywny cmentarz". Padają i inne wypowiedzi. Wielu ludzi sądzi, że pociski wodorowe nie są środkiem odstraszającym, gdyż w żadnej sytuacji nie byłoby politycznej i moralnej podstawy do ich użycia. Mając do wyboru światową wojnę atomową czy okupację sowiecką należałoby wybrać mniejsze zło tj. okupację sowiecką.

Na łamach „The Observer" — Sir Stephen King-Hall wysunął projekt by Anglia dała przykład innym narodom i jednostronnie zdeklarowała, iż nigdy nie użyje energii atomowej do celów wojennych. Całkowite porzucenie programu zbrojeń atomowych przyniosłoby Anglii — zdaniem cytowanego autora — 800 milionów funtów oszczędności. Tak wpływowe pismo, jak „The Observer" poparło ten projekt w komentarzu redakcyjnym.

Tych wypowiedzi nie można pokwitować określeniem „kapitulanci". Commander Sir Stephen King-Hall — kapitulantem z całą pewnością nie jest. Wypowiedzi tego typu — których można by przytoczyć dłuższą serię — dowodzą natomiast, że coraz więcej Europejczyków zaczyna z jednej strony zdawać sobie sprawę z długości cienia Rosji — z drugiej zaś strony z braku odpowiedzi na owo zagrożenie. Przytoczone poglądy dowodzą również, że w związku z tą niezwyczajną sytuacją szuka się niezwyczajnych rozwiązań.

Co autor niniejszego artykułu i jego polski Czytelnik myślą na ten temat jest praktycznie bez znaczenia. Należy więc ograniczyć się do zarejestrowania tych faktów i do wyciągnięcia z nich wniosków.

Gdyby Wielka Brytania za rok czy za dwa lata porzuciła jednostronną decyzję zbrojenia atomowe — stałaby się mocarstwem „atomowo-neutralnym". Od neutralności atomowej do pełnej neutralności jest już tylko krok.

Sir Stephen King-Hall w swoich poglądach nie jest bynajmniej odosobniony. Mieszkańcy Europy zachodniej są niezmiernie uczuleni na niebezpieczeństwo atomowe. Trudno się temu dziwić. Kraje takie jak Belgia czy Wielka Brytania należą do najgęściej zaludnionych terytoriów naszego globu. Światową wojnę atomową przetrwałyby może Rosja i Stany Zjednoczone — kontynenty, gdzie 70% mieszkańców mieszka poza obrębem wielkich miast. Dla Europy byłby to jednak koniec.

Zwornikiem Europy jest nie Polska — jak mawiał Napoleon (a my za nim) — tylko zwornikiem Europy są Niemcy. Jeżeli nie chcemy się okłamywać to należy obiektywnie stwierdzić, że Niemcy są nie do obronienia. Rosjanie nie dopuszczą do pełnej atomowej militaryzacji Niemiec Zachodnich. Jeżeli sprowokują „powstanie" w Niemczech i „kryzys" ogólno niemiecki — żaden zachodnio europejski rząd nie da swojej zgody na wysłanie do Moskwy „atomowego" ultimatum. Niemcy staną się wówczas „większymi" Węgrami i na tym koniec. Na jakąkolwiek inicjatywę w Europie będzie za późno.

„Status quo" w Europie jest nie do utrzymania bo jest nie do obronienia. Europa z całą pewnością otrzyma nowy status. Pytanie jest tylko jedno — czy ten nowy status będzie z Rosją wynegocjowany, czy przez Rosję narzucony. Powyższe słowa nie są dyktowane defetyzmem tylko melancholijnym nieco obiektywizmem. Europejczycy nie chcą wojny i wybiorą zawsze raczej lokalną kapitulację niż globalną wojnę atomową, która — bez względu na jej wynik — położyłaby kres temu wszystkiemu co zamykamy w słowie Europa.

Niemcy są nie do obronienia, ale są do zneutralizowania. Rosja poszłaby na znaczne ustępstwa, gdyby nowy status gwarantował neutralizację Niemiec i ewakuację wojsk amerykańskich z Niemiec. Blok państw neutralnych w Europie środkowowschodniej mógłby z czasem poszerzyć się a może nawet objąć całą Europę.

Neutralizacja wzmogłaby bezpieczeństwo Europy i poprawiła szanse jej... przeżycia. W pewnym sensie jest to rozwiązanie idealne. Neutralna Europa nie byłaby bowiem ani rosyjska ani amerykańska ani dominowana przez Niemcy.

Zupełnie naiwne wydają się zastrzeżenia wysuwane w emigracyjnej i nie-emigracyjnej prasie, że w dniu, w którym wycofałyby się wojska amerykańskie z Niemiec dywizje sowieckie ruszyłyby naprzód. Status neutralny pokryty międzynarodową gwarancją lepiej by bronił Europejczyków niż owe w połowie mityczne dywizje NATO.

W ostatecznym rozrachunku bezpieczeństwa nie zapewniają ani bomby wodorowe ani neutralność ani gwarancje międzynarodowe — tylko wola obrony.

Gdyby powstał w Europie blok neutralny zdeatomizowany i częściowo zdemilitaryzowany — jego bezpieczeństwo zależałoby nie tylko od gwarancji międzynarodowych, lecz od decyzji Waszyngtonu w chwili alarmu. Ale ważąc sprawy pod kątem nagiej polityki siły trzeba powiedzieć, że decyzja podjęcia wojny światowej w obronie jednego kraju jak np. Węgier jest czymś innym — a zgoła czymś innym jest podjęcie ryzyka wojny w obronie całego kontynentu. Amerykanie nie mogliby pozwolić sobie na porzucenie w chwili kryzysu europejskiego bloku neutralnego, gdyż wchłonięcie tych państw przez Rosję zmieniłoby zasadniczo równowagę sił, na której zasadza się bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Jeżeli owa równowaga ma być utrzymana Niemcy nie mogą być ani rosyjskie ani amerykańskie. Muszą być zneutralizowane, od-atomizowane i „niczyje". Choć zabrzmi to może paradoksalnie — im europejski blok neutralny byłby większy, tzn. im obejmowałby więcej państw — tym jego bezpieczeństwo byłoby bardziej realne. Bo im blok neutralny byłby większy tym jego bezpieczeństwobyłoby istotniejsze dla Stanów Zjednoczonych.

Status neutralny wydaje się jednym rozwiązaniem tak dla Niemiec jak i dla całej Europy. Oczywiście status niezależny, wynegocjowany między Stanami Zjednoczonymi a Rosją i po-

kryty gwarancją międzynarodową. Istnieją bowiem jeszcze i inne możliwości neutralizacyjne — „made in Moscow". Któż zaręczy czy następny rząd niemiecki nie podejmie bezpośrednich rozmów z Rosją? Gdy upowszechnienie broni atomowej osiągnie swój szczyt, Rosja eksploatując hipnozę lęku atomowego oferować będzie dwustronne pakty nieagresji — względnie udzielać będzie gwarancji nietykalności państwom, które jednostronnie przyjmą status atomowej neutralności. Wówczas Europa stałaby się neutralna, ale i satelicka równocześnie. Wtedy w Torgau należałoby postawić pomnik Rapackiego, bo jego plan objąłby kontynent.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

TRAKTAT O „INNYCH POLAKACH" CZYLI PRZYCZYNEK DO SOCJOLOGII EMIGRACJI

Zarówno prasa krajowa jak i emigracyjna problem Polaków zagranicznych rozpatruje niemal wyłącznie w oparciu o kryteria polityczne — względnie ideologiczne. To jest uproszczenie będące źródłem wielu nieporozumień. Różnice są znacznie głębszej natury.

Antoni Gołubiew napisał przed kilku miesiącami programowy artykuł pt. „Polska leży nad Wisłą". Różnice — powiedzmy dla przykładu — dzielące Londyńczyka od Gołubiewa są nie tylko natury politycznej. Tak Gołubiew jak i Londyńczyk nie są komunistami i pracują wyłącznie w polskich pismach niekomunistycznych. A przecież różni nas coś więcej niż poglądy na bieżącą sytuację w Kraju. Różni nas fakt, że Londyńczyk od niemal lat dwudziestu znajduje się w kręgu kultury brytyjskiej, a Gołubiew w kręgu kultury polskiej.

Wyjechałem z Kraju jako początkujący dziennikarz. Uformowałem się i dojrzałem za granicą. Mimo, że piszę wyłącznie po polsku, gdybym miał wymienić czasopisma, które ukształtowały mnie jako dziennikarza — musiałbym wymienić głównie pisma angielskie. Byłoby z mojej strony naiwną fanfaronadą gdybym utrzymywał, że „The Manchester Guardian" od którego od lat rozpoczynam codziennie lekturę prasy — nie wywarł na mnie wpływu. Dziś to jest w pewnej mierze moje pismo i ilekroć z powodu mgły „Manchester Guardian" przychodzi z opóźnieniem — śniadanie traci dla mnie połowę swego uroku.

Jest bardzo nie w angielskim stylu formułowanie powyższych uwag w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Czynię to jednak z dwóch powodów. Po pierwsze — w diagnostyce socjologicznej dla każdego autora najłatwiej osiągalną „świnką morską" jest on sam. Po drugie — moje obser-

wacje środowiska emigracyjnego są z konieczności fragmentaryczne. Ni mniej przecież wydaje mi się, że pewne z tych spostrzeżeń można bez ryzyk uogólnić.

Człowiek jest w znacznym stopniu produktem swego otoczenia i warun ków. W okresie owych ubiegłych lat na Polaków mieszkających na tyc wyspach kultura i cywilizacja brytyjska wywarły potężny formatywn wpływ. Ten wpływ jest tak duży, że w pewnym sensie jesteśmy dziś ,,in nymi" Polakami. Każdy z nas wykazuje naturalną tendencję do mierzeni wszystkiego wzorcami brytyjskimi. To bynajmniej nie znaczy, że zbrytanizo waliśmy się w sensie narodowym czy politycznym. Ale pewne standard zachowania i oceny, pewne konwencje i zwyczaje — przejęliśmy od spo łeczeństwa wśród którego żyjemy. Gdy Polak brytyjski na urlopie w Włoszech zobaczy ludzi pchających się do autobusu pomyśli automatycznie ,,w Anglii nie byłoby to możliwe". Gdy na kontynencie podadzą mu n śniadanie kawę i bułeczki — westchnie za porcją bekonu z jajkami a wiel doda drugie westchnienie na intencję sakramentalnego porridge'u (niżej pod pisany między innymi). Dobry polski bigos należy do żelaznego repertuar w moim domu — sądzę jednak, że nic nie ujmie mojej polskości, gdy wy znam publicznie, iż dobrze zrobione ,,fish and chips" zaliczam do najlep szych potraw świata.

Gołubiew powiada: ,,Polska leży nad Wisłą". To jest prawda — moja ojczyzna leży nad Wisłą ale mój dom stoi nad Tamizą. Dom to ni jest ,,lokal" w którym wiesza się palto na kołku. Dom narasta latami — czasem wbrew woli jego właściciela. Narasta historią swego wnętrz urządzanego z wysiłkiem przez wiele lat. Dom to są książki — pamiątki p zwożone z wojskowej włóczęgi i sentymentalne dzieje przedmiotów. O pierwsza nasza półka na książki, kupiona jeszcze w czasie wojny, kied meble w Anglii nabywało się na kupony. A obok sekretarzyk, który w prz stępie polskiego optymizmu zadatkowaliśmy — a później przez cztery la nie było za co go wykupić. Poczciwy kupiec na Ovalu przyjął nas po czt rech latach tak, jakbyśmy się wczoraj rozstali. Zadatkowany sekretarzy czekał na nas — aż się doczekał.

Przez długi okres czasu uważałem nasz dom za jeszcze jedną kwate — za jeszcze jedno ,,miejsce postoju". Lecz dom nawarstwiał się i ,,ud mawiał" nic sobie nie robiąc z mojego ,,ideologiczno-emigracyjnego" pion I przyszła chwila kiedy zdałem sobie sprawę, że to jest mój dom, że p tym dachem jestem u siebie, że tęskniłbym za tymi ścianami gdziekolwiek bym wyjechał.

Ci, którzy są tu osiadli — odczuwają te sprawy podobnie. Ale em granci przypominają w pewnych sprawach polskich komunistów. Jeżeli z pa tyjnikiem rozmawia się w cztery oczy wszystko jest w porządku. Jak często po pięciu minutach rozmowy zapomina się o tym, iż się ma prze sobą komunistę — gdyż on sam o tym nie pamięta. Atmosfera zmienia s natychmiast, gdy do pokoju wchodzi drugi partyjnik. Dwóch komunistó to jest już organizacja. Jeden kontroluje drugiego.

Prywatnie, w cztery oczy każdy emigrant osiadły i zadomowiony o lat w Anglii przyzna bez wahania, że jego dom jest tutaj. Gdy się jedn zejdzie trzech osiadłych emigrantów, żaden z nich do tego się nie przyzna Trzech emigrantów to już jest Emigracja przez wielkie ,,E" — z obowi zującą w pełni konwencją.

Setki tysięcy Anglików ma swoje domy poza wyspami brytyjskimi a przecież nikt nie kwestionuje ich angielskości. Dziś to już jest ograną literacką kliszą — ów Anglik, który w Kenii, w Indiach czy w Burmie oszczędza przez trzydzieści lat by na starość osiedlić się w Anglii.Ląduje w Dowrze i szepcze stetryczałymi usty: „at home at last!" Po miesiącu następuje katastrofa. Pielgrzym przekonuje się, że w Anglii nic mu nie dogadza — od klimatu zacząwszy na kuchni i lodowatej sypialni skończywszy. Pakuje swoje manatki i wraca skąd przyjechał.

Anglicy są do tego przyzwyczajeni, że dom i ojczyzna to nie są synonimy. Można mieć dom w Patagonii i pozostać Anglikiem przez całe życie.

Ale u nas inaczej, inaczej. Nie wystarczy jeść bigos — trzeba jeść bigos nad Wisłą. Bigos nad Tamizą traci swą liturgiczną ważność. Nasza tradycyjna filozofia postanawia: powiat — województwo — a dla jaśnie wielmożnych Warszawa. I na tym koniec.

Anglik, który emigruje „over the ocean" pozostaje emigrantem. Polaka do końca jego dni prześladuje na obczyźnie kompleks „pielgrzyma-tułacza". Ma samochód, telewizję, pięknie urządzony dom i niewąskie konto w banku — ale wciąż drapuje się w szaty pielgrzymie, które stanowią oficjalny frak emigranta.

Co robi „pielgrzym-tułacz" w chwilach wolnych od zajęć zawodowych? Jak sama nazwa wskazuje „pielgrzymuje" do Polski. Pielgrzymuje pokutnie i z pokorą, bo tak przepisuje narodowy rytuał.

Cat, Hrabyk a ostatnio nawet Melchior Wańkowicz — każdy z tych panów po wylądowaniu w Warszawie oświadczył, że zjawia się w Kraju pełen „wielkiej pokory". Dlaczego? O co tu chodzi?

Osobiście nie odczuwam żadnej potrzeby ukarzania się przed kimkolwiek w Kraju. Cześć i pokłon należy się poległym a szacunek każdej rzetelnej zasłudze, która bynajmniej nie jest rzadsza na emigracji niż w Kraju. Emigracja polska w Wielkiej Brytanii składa się wyłącznie niemal z byłych żołnierzy. Ludzie ci — mówiąc ogólnie — wypełnili swój obowiązek wobec Kraju i nie mają powodu kajać się czy korzyć przed kimkolwiek. Emigracja — mimo swych wad, które jednak na pewno nie są większe od wad Polaków zamieszkałych nad Wisłą — wydała ludzi i instytucje dla kultury polskiej niezmiernie zasłużone. Nie widzę powodu by ludzie ci przybywszy w odwiedziny do Kraju — mieli jakikolwiek powód do bicia się w piersi.

Więc skąd się bierze ów kompleks pielgrzymiej pokory? Pielgrzym nosi na sobie znamię winy od urodzenia. Jego pierworodnym grzechem jest fakt, że spożywa bigos nad Tamizą czy Hudsonem a nie nad Wisłą. Na zasadzie bigosu zbudowane jest przeświadczenie — że Polsce zasłużyć się można tylko nad Wisłą. Wszystko inne jest nieważne a przede wszystkim — podejrzane.

Równocześnie mamy ogromne pretensje do europejskości. Na łamach prasy krajowej toczyła się niedawno interesująca dyskusja na ten temat zainicjowana artykułem Pawła Hertza. Czytając te wypowiedzi chciałoby się zawołać znad Tamizy: „What are you talking about, Getlemen?"

W lecie ubiegłego roku rozmawiałem z pewnym wybitnym krytykiem krajowym. Mówiliśmy między innymi o książkach Miłosza. W pewnej chwili mój rozmówca westchnął: „Ach, Miłosz zrobił kapitalne głupstwo

wyjeżdżając z Kraju. Po śmierci Tuwima byłby bezapelacyjnie objął tro
poezji polskiej. A tak — cóż — marnuje się na obczyźnie".

Powyższy przykład jest klasyczny. Wzdychamy nad Wisłą do euro
pejskości, lecz w gruncie rzeczy, na dnie naszych zaściankowych serc, uwa
żamy europejskość za synonim wynarodowienia.

Gdyby Miłosz pozostał w Kraju — byłby nie napisał swoich najlep
szych książek. A te właśnie książki — tłumaczone na szereg języków —
ustaliły jego pozycję jaki pisarza o rozgłosie europejskim a nawet świato
wym. Przebywając w Kraju Miłosz nie mógłby drukować swych esejó
w periodykach francuskich i angielskich — innymi słowy nie mógłby by
pisarzem polskim i europejskim równocześnie. Ale my — wzdychając d
europeizmu — uważamy równocześnie, że Miłosz złamał swą karierę, b
nie pisze nad Wisłą poezji ściśle w narodowym kodzie — w kodzie ni
przetłumaczalnym i niezrozumiałym dla ludzi spoza plemienia.

Kryteria europejskości mogą być różne. Ale niewątpliwie zasadn
czym kryterium jest stopień komunikatywności. Trudno uznać na bogacą
kulturę europejską dzieło, które dla wykształconego europejczyka jest ni
osiągalne, niezrozumiałe i całkowicie obce. Europejskość nie jest określ
niem kwalifikującym. Dzieło może być genialne — stworzone w geografic
nej Europie a mimo to, do kultury europejskiej de facto nie przynależeć.

Mamy niezmiernie mało dzieł literackich, które spełniają ów postula
Mamy wielu bardziej lub mniej utalentowanych Żeromskich — ale ma
Miłoszów i ani jednego Tomasza Manna.

Z punktu widzenia interesów kultury polskiej — nie jest istotne,
zagranicą znalazł się Miłosz. Istotne jest tylko to, że na Zachodzie osi
dlił się polski pisarz o wielkiej komunikatywności, którego dzieła są n
tylko plemiennym osiągnięciem, lecz również autentyczną europejską lit
raturą.

Dlaczego produkujemy tak mało pisarzy — europejsko-strawnyc
europejsko-komunikatywnych?

To jest zagadnienie niezmiernie złożone i proponuję byśmy rozważy
tylko jeden jego aspekt.

Jedną z głównych przyczyn braku owej komunikatywności — jest uw
runkowanie narodowo-społeczne, którego produktem końcowym są zarów
nasi politycy, historycy, pisarze jak i ich odbiorcy. 150 lat zaborów i wiec
ne zagrożenie starcia na bezpostaciową miazgę między kamieniami młyńsk
mi, rosyjskim i niemieckim, doprowadziło u nas do swoistej sublimac
instynktu samozachowawczego. Odrębności narodowe, religijne, kulturalne
w tym klimacie awansowały z cech charakterologicznych do rangi sam
istnych wartości — podobnie jak u Żydów w Europie wschodniej
czasów Hitlera. Na Podhalu — gdzie się wychowałem, Żyd, który by prz
łożył brzytwę do swojej brody — w opinii swoich rodaków przestałby b
Żydem. W owych czasach i owym miejscu żydostwo było pojęciem
talnym i albo się je w pełni akceptowało albo odrzucało. Polskość — p
wpływem zagrożenia — przybrała identyczne formy. Skłonni jesteśmy uw
żać, że albo ktoś akceptuje i obserwuje ową totalną wszystko-obejmującą p
skość — albo wynarodowił się i przepadł. Totalna polskość — podobnie
totalne żydostwo są nie do pogodzenia z europeizmem.

Musimy pogodzić się z faktem że można ogolić polską brodę brzyt
albo zgoła elektrycznym Remingtonem — można mieszkać nad Tamizą i

dać porridge na śniadanie — a mimo to pozostać Polakiem. Odskok od ortodoksji nie jest równoznaczny z porzuceniem polskości.

Polacy brytyjscy pod wpływem warunków i otoczenia — formują się w odmienny typ Polaków — tak, jak Polacy w byłych zaborze pruskim przedstawiali inny typ polskości niż mieszkańcy tak zwanego Królestwa.

Trzeba być bardzo ostrożnym w odpisywaniu owych „innych" Polaków na straty. Znam w Londynie Polaków w dużym stopniu zaasymilowanych. Mówią doskonale po angielsku a ich obyczaj i to co nazwałbym „kulturą dnia codziennego" są niewątpliwie brytyjskie. Mam na myśli adwokatów, dentystów, lekarzy, architektów, inżynierów — ludzi dobrze, lub bardzo dobrze sytuowanych. Stopień asymilacji jest warunkiem sukcesu w tej grupie zawodowej. Polak adwokat nie może dukać po angielsku i nie może niczym się różnić od wszystkich innych adwokatów w Londynie. Otóż należy stwierdzić, że prenumeratorzy „Kultury" rekrutują się głównie z tej grupy Polaków brytyjskich. W domach tych ludzi widuje się najwięcej polskich książek i pism.

Niski stopień asymilacji wyraża się nie tylko kosturem pielgrzymim i narodową ortodoksją — lecz również niską stopą życiową. I to jest oczywiste. Jeżeli ktoś chce w Anglii dobrze zarabiać musi być w pewnej mierze zaasymilowany, musi znać język i „British way of life". I oto jesteśmy u dna jednego z emigracyjnych paradoksów. Kultywowanie polskości na obczyźnie wymaga — co tu taić — pieniędzy. Pisma emigracyjne, książki emigracyjne, wydawnictwa krajowe — to jest luksus, który może być pokryty tylko z nadwyżki budżetowej.

Znam w Londynie głośnego w Polsce przed wojną literata. Pracuje jako robotnik. Jego stopień asymilacji jest minimalny. Jego dzieci prawie nie mówią po polsku. Jest w wiecznych kłopotach finansowych i nie stać go ani na polską prasę ani na polskie książki. I oto paradoks drugi. Ów literat niedoborami swojej asymilacji przyspiesza wydatnie asymilację swoich dzieci. Gdyby bowiem był lepiej zaasymilowany, zarabiałby więcej — byłoby go stać na polskie książki — wieczorami nie byłby tak śmiertelnie znużony i miałby czas po polsku z dziećmi porozmawiać i po polsku coś im przeczytać.

Ale to jeszcze nie cała „story". Dzieci Polaków źle zaasymilowanych, mało zarabiających — przypisują brak życiowego sukcesu ojca jego polskości. „Tatuś mniej zarabia niż Johnes na przeciwko — bo jest Polakiem i źle mówi po angielsku". Dzieci tu urodzone uważają, że nieznajomość, względnie słaba znajomość angielskiego jest czymś poniżającym, czego należy się wstydzić. Słyszałem na własne uszy jak dziesięcioletnia córeczka moich znajomych krytykowała angielszczyznę swojej matki twierdząc, że to jest „ghastly English", której ona nie może znieść.

Do czego to wszystko prowadzi? Zaiste nie trudno odgadnąć. Do kompleksu niższości i do przekonania, że polszczyzny jako pewnego rodzaju analfabetyzmu należy się pozbyć jak najprędzej.

Odwrotnie u Polaków zaasymilowanych i zaadaptowanych do miejscowych warunków — przed których domem stoi taki sam samochód jak przed domem Johnes'ów z naprzeciwka. Dzieci tych rodziców nie identyfikują polskości z niską stopą życiową i nie uważają, że polskość stanowi główną przeszkodę do zamożności i sukcesu. Nie wstydzą się swego polskiego pochodzenia bo Londyn jest międzynarodową metropolią i nikt nie

musi tu być Anglikiem pod warunkiem, że jest „successfull" a w każdym razie „up to standard".

Do czego zmierzają te felietonowe rozważania?

Do wykazania, że polskość jest czymś niepomiernie szerszym i większym niż „nadwiślańskość". Asymilacja — to znaczy doskonała znajomość i przystosowanie się do obcych warunków — w praktyce ułatwiają a nie utrudniają podtrzymywanie polskości. „Emigrant-pielgrzym" jest członkiem polskiego ghetta zagubionym na szerokim świecie a nie europejczykiem który zmienił kraj zamieszkania. Osiedlenie się zagranicą nie jest narodowym przestępstwem i żaden Polak posiadający dom poza Krajem — odwiedzając ojczyznę nie powinien odczuwać potrzeby kajania się za winy które winą nie są.

Jesteśmy narodem przeraźliwie jednolitym, niemal bez mniejszości narodowych, „zapatrzonym w Zachód" i równocześnie nietolerancyjnym i szowinistycznym. Polacy zagraniczni, którzy — w coraz większym procencie — są ludźmi dwóch kultur mogliby ogromnie wzbogacić klimat polszczyzny gdyby mur odcinający nas od Kraju kiedyś runął.

LONDYŃCZYK

Polonia australijska

„Cichociemnym" — Spadochroniarzom Armii Krajowej poświęcam

I. WSTĘP

Australia zajmuje szczególne miejsce wśród krajów osiedlenia emigracji polskiej na przestrzeni ubiegłych stu lat. Napotykamy tu bowiem na pierwszy ślad zorganizowanej i masowej emigracji zarobkowej z ziem polskich, w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Dokładnie sto lat później Australia jest znów sceną masowego napływu Polaków, rozbitków z okresu Drugiej Wojny Światowej. W latach 1948-50 przyjeżdża tu w ramach transportów *International Refugee Organization* (IRO) ponad 60.000 Polaków. Była to druga co do wielkości (po Stanach Zjednoczonych) grupa polskich dipisów rozmieszczona w jakimkolwiek kraju. Spośród 375.000 osób narodowości polskiej, które w latach 1947-51 znalazły się w jurysdykcji IRO, z górą 110.000 przyjęły Stany Zjednoczone, 60.000 znalazło schronienie w Australii, 54.000 w Izraelu, 47.000 w Kanadzie oraz 35.000 w Wielkiej Brytanii. Na dalszym miejscu idą Francja (12.000), Belgia (11.000), Brazylia (8.000), Holandia (3.000), Wenezuela (3.000) (1).

W polskiej literaturze dotyczącej zarówno historii jak i socjologii naszego wychodźstwa brak prawie zupełnie pozycji dotyczących Australii. W ciągu stulecia dzielącego początek polskiej emigracji zarobkowej od przyjazdu wielkiej liczby dipisów z obozów niemieckich było nas za mało na tym olbrzymim i pustym kontynencie abyśmy mogli stworzyć dla naszych gospo-

(1) Cyfry zaokrąglone do tysiąca według International Refugee Organization, Office of Statistics and Operational Reparts, *The Final Statistical Report of IRO,* tablica IV, str. 12-13. Genewa 1952.

darzy szczególny problem społeczny czy polityczny (2). Emigracja polska w Australii nie posiada więc takich opracowań historycznych jak dzieła Ks. Kruszki, liczne rozprawy Mieczysława Haimana i wnikliwa ocena Karola Wachtla o Polonii w Ameryce Północnej. Nie ma również opracowań, które choć w części przyrównać można by było do monumentalnego dzieła Floriana Znanieckiego i Williama Thomasa o chłopie polskim, przeniesionym z zacisza wsi polskiej do zgiełku metropolii amerykańskiej.

Opracowanie niniejsze nie ma ambicji monografii historycznej ani też wnikliwej analizy socjologicznej. Zamiarem autora było podanie czytelnikom najważniejszych faktów dotyczących Polonii australijskiej w przeszłości i w chwili obecnej; wskazanie doskonałych źródeł statystycznych dotyczących dzisiejszej Polonii; próba analizy niektórych czynników scalających jak i destruktywnych w łonie grupy polskiej w Australii.

Zanim przejdę do rzeczy pragnę podkreślić, jak już stosunkowo wiele zostało zrobione w dziedzinie dokumentacji i rekonstrukcji historii Polaków w Australii. Należy tu wymienić inicjatywę Ks. Józefa Janusa T.J., który od pięciu lat prowadzi w Melbourne Archiwum Polonii Australijskiej, gdzie z drobiazgową dokładnością kataloguje i porządkuje się bogate stosunkowo zbiory prasy polskiej, biuletynów powielanych w obozach, wycinki z prasy australijskiej, książki, pamiętniki i fotografie. Instytucja ta, rzecz oczywista, nie dorosła do rozmiarów zbiorów jej wielkich poprzedniczek — Biblioteki Polskiej w Paryżu, Archiwum Katolickiego Związku Narodowego w Chicago i Biblioteki Polskiej w Londynie. Niemniej jednak Archiwum w Melbourne jest dobrym początkiem, a sposób w jakim praca tam jest prowadzona wróży jak najlepiej na przyszłość. Szkoda wielka, że tak przewcześnie zmarł dr Sylwester Gruszka, ostatni Konsul Generalny R. P. w Australii, gdyż prowadzone przez niego badania historyczne stać się mogły zaczątkiem działalności wydawniczej Archiwum Polonii Australijskiej.

Zupełnie odmienny charakter mają prace prowadzone z iście benedyktyńską wytrwałością i drobiazgowością przez Lecha Paszkowskiego w Melbourne, który od czterech lat zbiera materiały do książki o Polakach w Australii w latach 1840 do 1940. Będzie to jedyna w swym rodzaju książka oparta na rzetelnej pracy badawczej i gruntownej znajomości historii politycznej i społecznej Polski i Australii w XIX wieku. Jak do tej pory Paszkowski opublikował zaledwie kilka sylwetek Polaków-badaczy i awanturników, którzy zostawili swoje ślady na tym kontynencie (3).

---

(2) Problem taki stanowiła w ciągu drugiej połowy XIX w. znaczna mniejszość chińska. W przede dniu wybuchu wojny w roku 1939 niepokojącym problemem politycznym była agitacja hitlerowców wśród mniejszości niemieckiej w stanie South Australia.

(3) Artykuły w londyńskich „Wiadomościach": „Blandowski" w nr 547;

Jedyną, jak do tej pory próbą analizy socjologicznej jest ankieta, którą przeprowadził redaktor ,,Tygodnika Katolickiego'' w Melbourne ks. K.E. Trzeciak. Ankieta ta dała olbrzymią masę materiału informacyjnego o Polakach w Australii. Wyniki opublikowane na łamach ,,Tygodnika Katolickiego'' w okresie sierpień 1954 — czerwiec 1955 podają takie fakty, jak rozmieszczenia Polaków, wielkość rodzin, wykształcenie, zarobek, pomoc dla rodzin w Kraju itd. Czytelnikom ,,Kultury'' fakty te są znane z reportażu podpisanego pseudonimem E. Żagiell zamieszczonego w numerze 11/85.

II TŁO HISTORYCZNE

1. *Pionierzy i badacze*

Podobnie jak Stany Zjednoczone i Brazylia tak i Australia ma Polaka wśród swych odkrywców i zdobywców. Australijskim odpowiednikiem Jana z Kolna (który, jak to podkreślają z dumą historiografowie Polonii Amerykańskiej, o 21 lat wyprzedził Krzysztofa Kolumba) i Krzysztofa Arciszewskiego (dowódcy zdobywczych wypraw holenderskich Brazylii, w połowie XVII w.) był Jerzy Forster, członek drugiej wyprawy odkrywczej kapitana Cooka, autor dwutomowego dzieła ,,A Voyage Round the World in H.M.S. Resolution commanded by Captain Cook during the years 1772-1775'' (Londyn 1777), profesor akademii wileńskiej w latach 1783-1787.

W pierwszej połowie XIX w. działało w Australii dwóch badaczy pochodzenia polskiego Jan (John) Lhotsky (1832-1838) i Paweł Edmund Strzelecki (1839-1843) (4). Lhotsky, urodzony we Lwowie z ojca Czecha, uważany był za Polaka i we współczesnych wydawnictwach naukowych nazywany jest ziomkiem Strzeleckiego. Zasłynął on swą wszechstronnością jako przyrodnik, geolog, geograf, ekonomista. Pozostawił po sobie kilkanaście prac naukowych, w tym traktat krytyczno-polityczny ,,Illustrations of the Present State and Future Prospects of the Colony of New South Wales'', (Sydney, 1835) (5).

Innym wybitnym Polakiem był Sygurd Wiśniowski, podróżnik, odkrywca złota i pisarz, który w drugiej połowie XIX w. przez szereg lat pracował i podróżował po Australii, Nowej Zelandii i Polinezji. Na przełomie XIX i XX wieku badania naukowe prowadzili tu uczeni polscy jak ornitolog K. Marls-

---

,,Mr. Jules-Czetwertyński'' w nr 571, ,,Dr Lhotsky'' w nr 580, ,,Brojnowski'' w nr 594.

(4) Odsyłam czytelnika do biografii Geoffrey Dawson'a pt. *The Count: a life of Sir Paul Edmund Strzelecki, K.C.M.G. Explorer and Scientist*, Londyn 1953.

(5) Artykuł Lecha Paszkowskiego w numerze 580 ,,Wiadomości''.

burg oraz Jan Danysz, wielki bateriolog, znawca metod wal[
z plagą królików. W roku 1878 zawijał do Australii Józef Co[
rad Korzeniowski, a w okresie pierwszej wojny światowej par[
krotnie przebywał tu Bronisław Malinowski, światowej sław[
etnolog i antropolog, który prowadził badania na wyspach M[
lanezji i Polinezji.

W galerii badaczy i pionierów nie podobna wreszcie pom[
nąć majora Seweryna Korzelińskiego, uczestnika Powstania L[
stopadowego oraz powstania węgierskiego 1848. Korzelińskieg[
ściągnęła do Australii gorączka złota i przebywał tu od 1852 [
1856 r. Pamiętniki Korzelińskiego, wydane już po ostatni[
wojnie w Polsce, stanowią ciekawy opis Australii, kraju i lud[
ze szczególnym uwzględnieniem kosmopolitycznego środowis[
górniczego w kopalniach złota w Victorii (6). Wraz z Korzeli[
skim przyjechało do Australii dwunastu byłych powstańcó[
Niestety nie znamy ich nazwisk ani też nie wiemy co się z ni[
później stało.

2. *Emigracja zarobkowa: Polish Hill River, Cracow.*

Zarobkowa emigracja z ziem polskich do Australii zaczy[
się w roku 1848, a więc o sześć lat przed założeniem pierws[
polskiej osady pod nazwą Panna Maria w Stanach Zjednocz[
nych. Trudno zaprawdę wytłumaczyć dlaczego ta pierwsza gru[
kilkunastu rodzin ze Śląska wybrała sobie Australię jako [
emigracji, a nie o tyle bliższą Amerykę. Wydaje mi się, [
działał tu przykład emigracji niemieckiej z pobliskiej Brande[
burgii oraz ziem leżących na pograniczu dawnego Wielkieg[
Księstwa Poznańskiego. Emigracja ta rozpoczęła się w 18[
roku jako zorganizowana działalność osiedleńcza przedsięwzię[
przez South Australian Company. Przedstawiciele tego towarz[
stwa rozpoczęli działalność rekrutacyjną w Prusach, szczególn[
wśród mniejszościowego odłamu Luteranów, którzy nie chci[
się poddać próbom Fryderyka Wilhelma III zmierzającym [
stworzenia jednego kościoła protestanckiego. Czterdziestu Nie[
ców, z pastorem Kavelem na czele, założyło osadę rolniczą [
Klemzig koło Adelaide w roku 1836. W ciągu następnych dz[
sięciu lat przyjechało ich z górą 1.000 z tej samej części Pr[
Wreszcie w roku 1848 rozpoczęła się emigracja całych rod[
z pobliskiej katolickiej części Śląska (7). W pierwszej gru[

(6) *Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 18[* 2 tomy. Warszawa, P. I. W. 1954 oraz Sygurta Wiśnierskiego: *Korona[króla wysp Fidżi* i in. (Czytelnik 1953) i *Dzieci Królowej Oceanii* (C[telnik 1956).

(7) A. Lodewyck, historyk niemiecki w książce *Die Deutschen [Australien* (Stuttgart 1932) pisze jak następuje:

„Auch eine Gruppe von deutsche Katholiken wanderte 1848 na[Südaustralien aus. Ihr Führer war der schlesische Grundbesitzer Fr[Weikert. Sie landeten mit zwei Jesuiten auf der Kanguruh — Insel am

katolików było kilkanaście rodzin polskich. Osiedlili się oni w miejscowości Tanunda, głównym skupisku kolonistów niemieckich. Źle się jednak układało współżycie polsko-niemieckie i wkrótce potem koloniści polscy otrzymali nadanie gruntów w okolicy Sevenhill, ok. 120 km. na północ od Adelaide. W tej okolicy Polacy zaczęli się grupować w miejscu, które nazwano Polish Hill River. Nie wiadomo jak to się działo — prawdopodobnie dużą rolę odkrywały tu listy, przykład i przesyłki pieniężne — ale w latach pięćdziesiątych ludność polska Polish Hill River zaczęła się znacznie powiększać do tego stopnia, że miejscowi księża katoliccy (Jezuici z Austrii i Szwajcarii) nie mogli podołać swym obowiązkom duszpasterskim. Na ich prośbę przybył do Polish Hill River jezuicki braciszek zakonny, przez długie lata zwany ,,Brother Dan''. Był to Polak, Ignacy Danielewicz, urodzony w 1827 r. w Gnieznie. Do Jezuitów wstąpił w Austrii w r. 1856 i już w siedem lat później znalazł się w Australii ,,na misji''. W klasztorze w Sevenhill był początkowo szewcem, kucharzem, zakrystianem, a wreszcie prefektem szkoły dla chłopców. Pomagał również w opiece nad Polakami. Za jego to sprawą, w 1870 r. sprowadzono polskiego księdza Ojca Leona Rogalskiego, T.J. Ksiądz Rogalski dożył na swej placówce duszpasterza w Polish Hill River do 1906 r.

Według kroniki, którą pisał po łacinie X. Rogalski (dokument ten jest w posiadaniu australijskiej prowincji O.O. Jezuitów w Sevenhill), można śledzić historię tego polskiego osiedla w Południowej Australii. Po przyjeździe doliczył się X. Rogalski 40 rodzin polskich, których nazwiska spotykamy w księgach metrykalnych kościoła w Sevenhill (8).

W rok po swoim przyjeździe X. Rogalski wybudował kościół dla Polaków w Polish Hill River pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Kościół polski wizytowany był przez pierwszego kardynała Australii Morana, a w czasie jego pobytu w całej diecezji Adelaide ogłoszono dziewięciodniowe modły za Polskę. O liczebności polskiej osady świadczy fakt, że w czasie wizytacji kanonicznej biskupa Reynoldsa z Adelaide w roku 1874, 50 dzieci ze szkoły polskiej przystąpiło do Sakramentu Bierzmowania (9).

Dezember 1848. Einige von ihnen zogen spaeter nach dem Clare Distrikt, etwa 80 Meilen nördlich von Adeleide (Sevenhill) wo sie eine schöne Kirche bauten und wo ihre Nachkommen noch jetzt angesiedelt sind'' (str. 49).

(8) Nazwiska takie jak Kubiak, Przybyła, Niemiec, Napierała, Rucioch, Buda, Kozłowski, Konopka, Wiśniewski. W opisie osady Polish Hill River opieram się na artykule ks. Józefa Janusa T. J. w ,,Tygodniku Katolickim'' (Melbourne z 14 stycznia 1956) oraz na notatkach ks. Janusa sporządzonych w czasie pobytu w Sevenhill a mnie łaskawie udostępnionych.

(9) O wizycie tej pisze tak X Rogalski w swoim diariuszu (podaję z zachowaniem pisowni, jak w oryginalnym tekście łacińskim).

,,...Denique Anno 1874 7a Majii cum magna solemnitate assistentibus

Niewiele zostało dzisiaj z dzieła X. Rogalskiego. Odkrycie złota w sąsiednim stanie Victoria skusiło wielu możliwością łatwego wzbogacenia się. Ustała emigracja na większą skalę, a ponadto brak wody na Polish Hill River uniemożliwiał powiększenie ilości ziemi pod uprawą. Kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki jest w ruinie, a jednym śladem po Polakach jest pewna ilość rodzin o nazwiskach takich jak Shebilla (Przybyła), Napirala, i Nayda.

Drugim, obok Polish Hill River, ośrodkiem kolonizacji polskiej była miejscowość pod nazwą Cracow, po dziś dzień istniejąca i nazwana tak ponieważ jej założyciele pochodzili w większości z Krakowa. Według relacji spisanej w roku 1925 przez Stanisława Połtyńskiego, zamieszkującego wówczas w Brisbane, grupa 65 Polaków przybyła do Brisbane w latach sześćdziesiątych ub. stulecia. Z tej grupy odłączyło się 38 osób, które pojechały w głąb kraju gdzie, w odległości ok. 400 km. na północny zachód od Brisbane, zaczęto karczować lasy i przygotowywać grunt pod uprawę. W ten sposób powstała osada pod nazwą Cracow, której nazwę zatwierdziły władze. Postawiono tam budynki gospodarskie i wspólny dom-świetlicę pośrodku osady (był to pierwszy Dom Polski w Australii). Przez pierwsze lata ziemia rodziła znakomicie. Przyszedł jednak okres posuchy a jednego lata pożar lasu zniszczył wszystko. Zaledwie parę osób uratowało się z życiem i dotarło do Brisbane. Pozostali potruli się nieznanymi jagodami, które jedli w braku innej żywności strawionej przez ogień. Przez kilkadziesiąt lat nikt nie chciał się osiedlać w australijskim Krakowie. Dopiero w latach 1950-tych odkryto tam złoża złota i powstał ośrodek górniczy i rolniczy. Dzisiaj Cracow liczy ok. 400 mieszkańców (10).

Dokumentem, który choć w przybliżeniu odzwierciedla historię powstania Polonii Australijskiej w drugiej połowie wieku dziewiętnastego i w latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej są dane Spisu Ludności z roku 1921. (Tablica 1) (x). Z danych tych wynika, że spośród 1784 osób, urodzonych w Polsce i objętych spisem 1921 r., około tysiąc przyjechało do Australii przed końcem ubiegłego stulecia. Byli wśród nich czterej weterani (2 mężczyzn i 2 kobiety) pierwszej emigracji polskiej w latach czterdziestych, w tym dwie osoby zamieszkujące na terenie stanu South Australia, które zapewne przyjechały z Polski jako dzieci z założycielami osady Polish Hill River.

(tu wymienia nazwiska księży) R-simus Dr Reynolds qua Eppus hujus Adelaid., dioceseos in hocce aedificio missam solemnam celebravit et sacramentum confirmationis multis personis (50) contulit, qua occasione in ferventi sermone Polones ad imitandas virtutes St. Stanislai (Szczepanowski) Epp. Cracov. Martysis exhortobatur".

(10) Artykuł S. Połtyńskiego w miesięczniku *Polonia* Nr 2, Brisbane 1930 r. Według autora, informacje o historii osiedla Cracow zostały zebrane w roku 1925 w Sydney od siedemdziesięciopięcioletniego staruszka Józefa Krassowskiego, uczestnika wspomnianych wydarzeń.

(x) Tablice znajdują się na końcu artykułu.

3. *Okres międzywojenny* 1921 — 1939

W ciągu okresu międzywojennego ilość osób urodzonych w Polsce podwoiła się dwukrotnie (Tablica 2). W roku 1921 spis ludności objął 1784 osoby urodzone w Polsce; w 1933 r. zarejestrowano 3239 osób, a w roku 1947 6573 osoby. Ponieważ w okresie ostatniej wojny imigracja prawie zupełnie ustała (przyjechała zaledwie mała grupka osób ewakuowanych z Rosji przez Japonię), można założyć, że dwukrotne powiększenie ludności pochodzenia polskiego objętej spisem z roku 1947 to byli emigranci z lat trzydziestych. Analiza składu wyznaniowego i zawodowego tej ostatniej grupy wskazuje na to, że byli to w znacznej mierze Polacy-Żydzi.

Imigracja z lat dwudziestych kierowała się do stanu Victoria a nie jak poprzednio do Nowej Południowej Walii (New South Wales). Dane zawarte w Tablicy 2 są tego dowodem. Próbowałem dociec gdzie dokładnie osiedlali się Polacy w Victorii. Otóż z danych spisowych z roku 1933 wynika, że blisko tysiąc osób urodzonych w Polsce zamieszkiwało w śródmieściu (City) Melbourne: 540 mężczyzn i 456 kobiet. Mniejszym nieco skupiskiem było dzielnica Melbourne Brunswocl (ok. 100 osób) a dalej miasteczko Shepparton (14 mężczyzn, 11 kobiet). Tyle tylko dowiedzieć się możemy z tablic spisowych. Dla badacza historii naszej emigracji odkrywa się tu pole do żmudnych dociekań. Kim byli ci ludzie? Z jakiej części Polski przybyli? Dlaczego osiedlali się w zwartych — jak się wydaje — grupach? Czym wytłumaczyć zadziwiającą równowagę płci, tak nieczęsto spotykaną wśród grup emigrantów?

O życiu tej grupki Polaków dowiadujemy się z kroniki spraw polskich, którą drukowało pismo francuskie, wychodzące w Sydney ,,Courrier Australien''. Ciekawym źródłem informacji jest biuletyn Polaków w Brisbane pod nazwą ,,Polonia'' oraz korespondencje z Australii, zamieszczane w piśmie ,,Wieści z Polski'', organie Stowarzyszenia Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie z siedzibą w Warszawie. Już wówczas, to jest w latach 1930-1931, były próby stworzenia ogólnopolskiej organizacji polskiej w Australii. Był nią Związek Polaków w Australii z oddziałami w Sydney, Brisbane, Ipswich (koło Brisbane) i Melbourne. W ośrodkach tych urządzano rok rocznie obchody 3-cio Majowe i wspólny opłatek na Boże Narodzenie. Korespondencja z tego okresu pełne są wzmianek o kryzysie gospodarczym i bezrobociu.

III POLONIA AUSTRALIJSKA 1947-1954

1. *Dipisi, i ich dzieci*

W połowie roku 1947 Australia szeroko otworzyła swe bra
my dla emigrantów z Europy. Największym rezerwuarem poten
cjalnych emigrantów były obozy miliona z górą dipisów, tj. daw
nych wysiedleńców z Polski i innych krajów okupowanych prze
Niemcy. Wśród nich znajdował się pewien odsetek osób zbie
głych zza Żelaznej Kurtyny oraz kilkanaście tysięcy byłych
jeńców wojennych. Wśród 182 tysięcy dipisów, którzy przybyl
do Australii w latach 1947-1951, znalazło się ponad 60 tysięc
osób narodowości polskiej (11). W tej liczbie znalazło się rów
nież 1181 kobiet i dzieci przywiezionych przez IRO z Afryk
Wschodniej: były to wszystko osoby ewakuowane w roku 194
z Rosji Sowieckiej do Persji. Ponadto w latach 1947-1954 przy
jechało do Australii ok. 4.000 byłych żołnierzy polskich, którz
jako kombatanci cieszyli się szczególnymi względami rząd
australijskiego. Wreszcie, nieco ponad 7.000 osób narodowośc
polskiej przyjechało na własny koszt (tzw. *full fare passengers*)
Byli to w większości członkowie rodzin dipisów i żołnierzy
sprowadzeni do Australii na ich koszt. Łącznie więc w okresi
1947-1954 przyjechało do Australii 71.000 osób narodowośc
polskiej.

Nie wszyscy spośród przybyłych w tym okresie osób na
rodowości polskiej byli zapewne Polakami w rozumieniu przy
należności etnicznej do narodu polskiego. Tablica 3 umożliw
nam przeprowadzenie szacunku elementu prawdziwie polskieg
w oficjalnych statystykach IRO. Otóż z danych zawartych w
tej tablicy wynika, że jedna czwarta osób przybyłych w transpor
tach IRO (a więc ok. 15.000) to były osoby urodzone w Niem
czech. Z analizy danych statystycznych zawartych w dokumen
tach IRO, którą przeprowadziłem dzięki uprzejmości australij
skiego Ministerstwa Imigracji (*Department of Immigration*
wynika, że nieco ponad 12.000 dzieci polskich urodzonych w
Niemczech przyjechało w transportach IRO; większość, spośró
3.000 pozostałych, to były Niemki, które wyszły za mąż za Po
laków i uważane były przez władze IRO jako osoby narodowo
ści polskiej. Wreszcie w tej grupie Polaków znalazło się — ja
obliczam — około 3.000 Rosjan i Ukraińców, którzy podszy
się pod narodowość polską w obawie przed przymusową repa
triacją, której wszyscy obywatele Związku Sowieckiego podle
gali. Podaję te wszystkie dane liczbowe aby, po pierwsze, osza

(11) Czytelnik raczy zauważyć, że dla odróżnienia Polaków od nie
Polaków posługuję się tu kryterium narodowości. Jak poniżej zaznaczę, n
jest to szczęśliwie wybrane kryterium i dlatego, gdzie mogę (szczególn
w analizie danych Spisu Ludności), posługuję się kryterium: kraj urodzeni

cować ilość *Polaków* przybyłych do Australii w okresie 1947-54; a po drugie zaś pragnę wytłumaczyć na czym polegają różnice w danych Spisu Ludności 1954 r. i podanych wyżej statystyk imigracji.

Na podstawie powyższych danych przyjąć można, że w latach 1947-54 przyjechało do Australii ok. 65 tysięcy Polaków w tym 12 tysięcy dzieci urodzonych w Niemczech. Dane spisowe z roku 1954 podają tylko ilość osób urodzonych w Polsce, wynoszącą 56.594. Na liczbę tę składa się 51.236 osób przybyłych w okresie 1947-54 i nieco ponad 5.000 osób przybyłych przed czerwcem 1947 r. Aby uzyskać cyfrę stwierdzającą stan Polonii w czerwcu 1954 r. trzeba do liczby osób urodzonych w Polsce dodać dzieci polskie urodzone w Niemczech (12.000) oraz dzieci Polaków urodzone już po przyjeździe do Australii. Podobnie jak to się ma z dziećmi urodzonymi w Niemczech tak i w odniesieniu do dzieci polskich urodzonych w Australii posłużyć się musiałem liczbą szacunkową (Tablica 4). Jeśli założymy, że wśród dzieci urodzonych w Australii w okresie czerwiec 1947 — czerwiec 1954 śmiertelność równała się zeru, to otrzymamy liczbę ponad 14.000. Tak więc stan liczbowy Polonii Australijskiej w czerwcu 1954 r. wynosił około 82 tysiące osób urodzonych w Polsce i pochodzenia polskiego. W grudniu 1957 r. przekracza on zapewne 90.000 osób z czego ponad jedną trzecią to pokolenie, które nie widziało Polski. Warto sobie te cyfry i proporcje uprzytomnić w ocenie dynamiki procesów asymilacyjnych.

Skład wyznaniowy powojennej imigracji polskiej do Australii znany jest tylko częściowo, a mianowicie dla sześćdziesięciotysięcznej grupy dipisów (Tablica 5). Stosunkowo wysoki odsetek prawosławnych i greko-katolików wydaje się potwierdzać wyżej omówione dane, dotyczące składu etnicznego grupy polskiej, tj. domieszki Ukraińców, Białorusinów i Rosjan.

Dane dotyczące składu zawodowego grupy polskiej w transportach IRO (Tablica 6) trzeba oceniać krytycznie, gdyż (zależnie od zeznania jednostki względnie pobieżnej oceny urzędnika IRO) dotyczą one u jednych zawodu wykonywanego przed wojną, a u innych zawodu wykonywanego już po wojnie, względnie umiejętności fachowych, nabytych na kursach wyszkoleniowych UNRRA i IRO. Toteż tłumaczyć może dlaczego odsetek rolników jest tak niski w grupie która, jak wiemy, rekrutowała się w znacznej mierze z ludności wiejskiej. Ważną cechą charakterystyczną tej grupy jest bardzo niski odsetek i tzw. inteligencji, jeśli za jej przedstawicieli można by uznać osoby zatrudnione w zawodach wolnych i administracji.

Oprócz struktury zawodowej i wyznaniowej jest jeszcze jeden ważny aspekt wymagający omówienia, a mianowicie struktura płci (Tablica 7). Dla osób urodzonych w Polsce stosunek mężczyzn do kobiet wynosi 170 mężczyzn na każde 100 kobiet. to stosunek bardzo wysoki (jakkolwiek nie tak wysoki jak u Włochów) i wysoce nienormalny. Nadwyżka mężczyzn, szczególnie mężczyzn w wieku 30 do 40 lat, jest czynnikiem, który gra waż-

ną rolę w procesach asymilacyjnych. Tak wielkiej nadwyżki ni ma wśród innych grup narodowościowych, gdzie emigrują większości całe rodziny (patrz Tablica 7: Holandia, W. Bryta nia), a nie przeważnie samotni mężczyźni.

2. Rozmieszczenie

Dane spisowe z roku 1954 dają nam ogólny obraz rozmies czenia Polaków na terenie Australii (Tablica 8). Rzecz znamie na, że największy odsetek osób urodzonych w Polsce mieszk w stanie Victoria (blisko 38%). Tymczasem w Nowej Południ wej Walii mieszka tylko ok. 31% Polaków podczas, gdy stan te skupia ponad 38% ludności urodzonej w Australii.

Wskaźnikiem koncentracji Polaków w danej części Austra jest odsetek osób urodzonych w Polsce do ogółu ludności (Tabl ca 9). Odsetek ten jest najwyższy w stolicy federalnej Austral Canberra (*Australian Capital Territory*).

3. Podział według przemysłu i stosunek do pracy

Tablice 10 i 11 zawierają dane spisowe z roku 1954 dotyczą zatrudnienia Polaków w różnych gałęziach produkcji. Dla cel porównawczych zestawiłem cyfry dotyczące również Holendró Brytyjczyków i Włochów. Ciekawie wypada to porównanie d Polaków. Zacznijmy od rolnictwa. Zaledwie ok. 3% Polakó pracuje w rolnictwie podczas gdy ponad 20% Włochów utrzymu się z tej gałęzi produkcji. W przemyśle i rzemiośle zatrudnio jest blisko połowa mężczyzn urodzonych w Polsce; odsetek P laków w tej gałęzi produkcji jest wyższy od podobnych wska ników dla pozostałych narodowości wyszczególnionych w tej t blicy. Wysoki również jest odsetek Polaków w budownictw jakkolwiek tutaj przewyższają nas Holendrzy.

W ocenie proporcji mężczyzn w grupie nieczynnych zawod wo należy pamiętać, że dane na których oparta jest Tablica nie obejmują dwudziestu kilku tysięcy dzieci polskich, urodzony w Niemczech i Australii. Prawie wszyscy mężczyźni objęci statystyką to ludzie powyżej 16 lat życia. W wypadku jedn Brytyjczyków, Holendrów i po części Włochów statystyką obję są dzieci urodzone w tych krajach przed przybyciem do Austral

Dane zawarte w Tablicy 11 umożliwiają nam ocenę wkła Polaków (w porównaniu z Holendrami) w poszczególnych ga ziach produkcji (12).

Wynika z nich jasno, że Polacy dali stosunkowo du wkład do siły roboczej w przemyśle, usługach komunalny i budownictwie.

(12) Porównanie to jest o tyle istotne, że ilość osób urodzonych w H landii i w Polsce w roku 1954 była prawie taka sama (Holandia — 519 Polska — 56594) jakkolwiek u Polaków był większy odsetek mężczyzn.

Pozostaje wreszcie porównawcza ocena stosunku do pracy. Zawarłem ją w Tablicy 12 dla mężczyzn urodzonych w W. Brytanii, Holandii, Włoszech i Polsce. Tablica ta daje możliwość oceny awansu społecznego Polaków. W grupie czterech wyszczególnionych tu krajów Polacy posiadają najwyższy, po Holendrach, odsetek pracowników najemnych. Natomiast stosunkowo wysoki jest wśród Polaków odsetek pracodawców co z kolei oznacza, że spora musi być liczba polskich zakładów pracy. Stosunkowo mały jest odsetek Polaków pracujących na własny rachunek.

IV DYNAMIKA PROCESÓW ASYMILACYJNYCH I WYNARADAWIANIE SIĘ POLAKÓW

1. *Asymilacja i wynaradawianie się*

Rozróżnienie dwu pojęć — asymilacja i wynaradawianie się — posiada wagę zupełnie zasadniczą w ocenie zmian, jakie zachodzą w łonie Polonii australijskiej. Mieszanie tych pojęć u wielu działaczy społecznych na innych terenach emigracyjnych pociąga za sobą zgubne skutki.

Wszystko wskazuje na to, że ,,góra'' Polonii australijskiej podchodzi do tej sprawy roztropniej aniżeli np. polski Londyn. Stanowisko Polonii australijskiej znalazło swój wyraz w uchwale Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, która w czasie dorocznego zjazdu w 1955 r. zachęciła Polaków do przyjmowania obywatelstwa australijskiego i brania jak najbardziej czynnego udziału w życiu społecznym i politycznym Australii. Innymi słowy uchwała ta wypowiada się zdecydowanie za przyśpieszeniem asymilacji, który to proces uważa za nieunikniony w każdej społeczności emigracyjnej.

Wydaje mi się, że stanowisko takie jest rozsądne i przekonywujące. W czasie mych badań socjologicznych wśród emigracji polskiej w W. Brytanii stwierdziłem jak ścisły jest związek przyczynowy między odosobnieniem jednostek, tworzeniem ghetta, a występowaniem schorzeń psychicznych (13). Badania kliniczne polskiego psychiatry w Australii, dr Ignacego Listwana, również potwierdzają, że jednostki osamotnione, niezdolne do brania udziału w życiu społecznym miejscowego społeczeństwa, posiadają dużą skłonność do schizofrenii (14).

Jasny stąd wniosek, że asymilacja stwarza warunki, w których prawdopodobieństwo występowania wszelkiego rodzaju

(13) Jerzy Zubrzycki *Polish Immigrants in Britain: a study of Adjustment* Haga 1956, str. 182.

(14) J. A. Listwan ,,Paranoid states: social and cultural aspects'', *Medical Journal of Australia*, maj, 1956.

schorzeń psychicznych oraz takich objawów załamania, jak prze stępczość lub samobójstwo, zmniejszone jest bardzo znacznie

Daleko posunięta asymilacja u danej jednostki nie musi iś wcale w parze z wynarodowieniem. Przyjęcie obyczajów, dokład ne poznanie języka, uczestnictwo w życiu społecznym i politycz nym kraju osiedlenia, nie wyklucza zupełnie zachowania poczuci przynależności do polskości. Postawiłbym tezę, że więcej dla Po ski zrobić może zasymilowany Polak australijski lub amerykan ski, świadom swego pochodzenia i wypływających stąd obowiąz ków, aniżeli „emigratian" z kanapowego stronnictwa londyn skiego czy paryskiego. Pierwszy zapuścił już korzenie i stał si przez to człowiekiem organicznie związanym z krajem, w który wypadło mu mieszkać; drugi natomiast tkwi zawieszony, gdzie w próżni. Korzenie jego tkwią w innej Polsce, której dziś ju nie ma, a w miejscowej glebie nie potrafi ich zapuścić. To co Si mone Weil nazywa „L'enracinement", a co p. Ewa Gieratow przetłumaczyła „ukorzenienie" jest najistotniejszą potrzebą każ dego człowieka, w kształtowaniu jego osobowości (15).

Jeśli przyjmiemy wyżej omówione rozróżnienie za podstaw oceny dynamiki rozwojowej Polonii australijskiej to bez trudu bę dziemy mogli sformułować punkt wyjściowy naszych rozważań Określę to jako problem utrzymania równowagi (u pierwszeg i drugiego pokolenia emigrantów) między asymilacją i zachowa niem poczucia polskości. Zapuszczenie korzeni w miejscowej glę bie połączone z oderwaniem się od tysiąclecia polskości nie daj ludzi pełnowartościowych (16). Równie nieszczęśliwe jest rozwią zanie odwrotne, w którym jednostka nie potrafi znaleźć sobi miejsca w społeczeństwie kraju osiedlenia.

Statystyki australijskie nie zawierają żadnych danych, któr można by wykorzystać w obiektywnej ocenie stopnia wynarodo wienia (wzgl. zachowawczości narodowej) wśród licznych rzes imigrantów. Są natomiast wskaźniki statystyczne, które mog nam posłużyć w ocenie tendencji asymilacyjnych.

2. *Małżeństwa mieszane.*

Skłonności endogamiczne względnie egzogamiczne są mia rodajnym wskaźnikiem w ocenie czynników scalających grup społeczne. Zawieranie małżeństwa z osobami pochodzącymi z te

(15) Muszę w tym miejscu wyrazić wdzięczność p. Ewie Gieratow za artykuł „Nowizna" w kwietniowym numerze *Kultury* (nr 4/114). Autork sprowokowała mnie do powyższych refleksji co, z kolei, dało mi wielk przeżycie jakim było przeczytanie książki Simone Weil (w tłumaczeni angielskim) *The Need for Roots.*

(16) Jest to szczególnie ważne w drugim pokoleniu, tj. u dzieci, któr asymilując się prędzej aniżeli ich rodzice wychodzą z kręgu dyscypliny ro dzinnej i często kończą jako wykolejeńcy i przestępcy. Na niebezpieczeństw zbyt szybkiej asymilacji dzieci imigrantów zwrócił uwagę australijski Epis kopat katolicki w dorocznym „Social Justice Statement" z września 1957 r

samej grupy (endogamia), bez względu na to czy jest to grupa etniczna czy też klasa społeczna, wyklucza wpływy obce. Natomiast zawieranie małżeństw między osobnikami należącymi do różnych grup społecznych wprowadza krzyżowanie się nowych elementów kulturowych, powoduje zanik „czystości" kulturowej lub etnicznej w grupie, która tym wpływom podlega.

Na tle powyższego, teoretycznego, rozróżnienia ciekawie wypada porównanie Polaków i Włochów w Australii na przestrzeni ub. dziesięciu lat. Tablica 13 zawiera porównanie, rok po roku, dla okresu 1947-1956, małżeństw zawartych przez Polaków i Włochów z kobietami urodzonymi w niektórych krajach. Liczby bezwzględne wyraziłem tutaj w odsetkach aby umożliwić porównanie doboru małżeńskiego dla każdej grupy oddzielnie. Porównanie to jest bardzo znamienne. Otóż widzimy, że w pierwszych latach emigracji powojennej Polacy żenili się w większości z Polkami. W latach 1947, 1949, 1950 i 1951 z górą połowa małżeństw polskich miała charakter endogamiczny. (Warto tu zanotować stosunkowo wysoki odsetek małżeństw z Niemkami). W ostatnich latach odsetek małżeństw Polaków z Polkami spada do nieco poniżej 30% — natomiast znacznie wzrasta odsetek małżeństw z Australijkami i Brytyjkami (ok. 46% w latach 1955 i 1956).

Odwrotnie ma się rzecz u Włochów. Z górą połowa małżeństw zawartych w latach 1947-48 to związki z Australijkami. W ostatnich latach natomiast proporcja tych małżeństw spada do jednej-czwartej całości podczas gdy związki z Włoszkami stanowią trzy piąte wszystkich zarejestrowanych ślubów.

W ocenie tych danych należy pamiętać o stosunku obu płci u Polaków i Włochów. Jak to już wskazałem w tablicy 7 stosunek ten jest bardziej korzystny u Polaków. A jednak znacznie mniejszy odsetek Polaków wchodzi w związki małżeńskie w ramach swej grupy etnicznej aniżeli ma się to u Włochów. Co więcej, z czasem różnice te pogłębiają się w sposób bardzo znaczny. Jest to niewątpliwie wskaźnik szybkiej asymilacji wśród Polaków szczególnie w grupie wieku 20 do 30 lat. Czy asymilacja ta postępuje w parze z wynarodowieniem? Na to nie mogę teraz odpowiedzieć.

3. *Naturalizacja*

Przyjmowanie obywatelstwa jest też w pewnym sensie wskaźnikiem asymilacji. Zważyć tu należy, że dla większości Polaków posiadanie obywatelstwa australijskiego nie jest absolutnie konieczne. Dokument naturalizacyjny potrzebny jest w zawodach wolnych i konieczny dla uzyskania pozwolenia na rozpoczęcie praktyki lekarskiej itp. Posiadanie obywatelstwa jest również konieczne do uzyskania renty starczej, ale o to można ubiegać się dopiero po 20 latach pobytu w Australii. Dla większości Polaków, zatrudnionych jako pracownicy najemni, obywa-

telstwo australijskie nie jest w gruncie rzeczy potrzebne. Toteż tym bardziej znamienną jest rzeczą stała tendencja zwyżkowa w liczbie Polaków posiadających obywatelstwo australijskie. Tablica 14 ilustruje ten proces w okresie 1945-1957. Dla porównania warto dodać, że w czasie kiedy 16.810 Polaków przyjęło obywatelstwo australijskiego tylko 6.592 Holendrów uzyskało dokumenty naturalizacyjne. Jak już wspomniałem wyżej, w dniu spisu ludności w 1954 r. ilość osób urodzonych w Polsce i Holandii była prawie równa.

4. *Schorzenia psychiczne i przestępczość*

Zarówno schorzenia psychiczne, jak i przestępczość są objawami konfliktu między jednostką, a otoczeniem. Życie każdego człowieka oparte jest na zależności od środowiska i to nie tylko środowiska geofizycznego, ale również społecznego i kulturowego. To właśnie środowisko społeczne i kulturowe daje jednostce to co można nazwać organizacją życia. Rozumiem przez to zespół norm obyczajowych dotyczących życia we wszystkich jego wymiarach, poczynając od religii poprzez ekonomię (zdobywanie środków do życia) kończąc na rozrywkach. Osiągnięcie równowagi w organizacji życia jednostki polega na przyswojeniu sobie norm obyczajowych, narzuconych przez środowisko społeczne i kulturowe.

Proces przyswajania sobie norm obyczajowych (nazwę go integracją) odbywa się w sposób naturalny u dziecka, które wychowuje się w kręgu jednego homogenicznego, środowiska społecznego i kulturowego. Integracja dziecka wychowanego w kręgu dwu, lub więcej środowisk kulturowych jest o tyle trudniejsza i często niemożliwa. T otłumaczy wysoką przestępczość wśród dzieci imigrantów.

W pierwszym pokoleniu imigrantów integracja jest tylko wtedy pomyślna jeśli proces ten odbywa się przy współdziałaniu dwu środowisk: grupy imigrantów i społeczeństwa kraju osiedlenia. Grupa imigrantów działa w tym wypadku, jak katalizator. Środowisko imigranckie poznaje i przyswaja sobie normy obyczajowe społeczeństwa miejscowego aby z kolei oddziaływać na poszczególnych imigrantów i służyć własną interpretacją nowego otoczenia. Asymilacja i integracja jednostki doprowadzona może być tylko wtedy do szczęśliwego końca jeśli proces ten odbywa się w oparciu o grupę imigrantów i za pośrednictwem grupy imigrantów. W okolicznościach, w których imigrant nie znajduje oparcia o własną grupę integracja jest utrudniona. Stąd też większość wypadków schorzeń psychicznych, przestępczości i samobójstw u imigrantów występuje u ludzi samotnych, którzy nie mogą sobie znaleźć oparcia w rodzinie, środowisku przyjaciół lub w grupie wspólnych zainteresowań. Australia nie posiada statystyki chorób umysłowych uwzględniającej różnice między grupami narodowościowymi. Dopiero z początkiem 1957 rozpo-

częto zbierać materiały statystyczne w poszczególnych stanach i niewcześniej, jak za 3 lub 4 lata będzie można wytworzyć sobie pełny obraz tego zagadnienia. Jak do tej pory dysponujemy tylko fragmentami obrazu statystycznego zagadnienia chorób umysłowych wśród imigrantów. W Tablicy 15 przytoczyłem jeden z niewielu przyczynków do tego zagadnienia. Jest to zestawienie pacjentów szpitala Royal Parku, których diagnoza wykazała schizofrenię. Szpital Royal Park jest zakładem, do którego kierowani są na badania kliniczne wszyscy podejrzani o schorzenia psychiczne z terenu stanu Victoria. Dla tego też porównanie ilości przyjąć do szpitala z liczbą ludności całego stanu jest miarodajne. Jak widzimy z danych Tablicy 15 porównanie to wypada najgorzej dla Polaków, szczególnie dla mężczyzn. Odsetek schizofreników urodzonych w Polsce w stosunku do wszystkich schizofreników przyjętych do szpitala Royal Park w latach 1952-1954 przewyższa siedmiokrotnie stosunek Polaków do całej męskiej ludności stanu Victoria. Nie mam należytych materiałów dowodowych, aby móc uogólnić to stwierdzenie dla całej Polonii australijskiej. Niech mi wolno będzie jednakowoż stwierdzić na podstawie fragmentarycznych danych, że skłonność do zaburzeń psychicznych wśród imigrantów polskich jest znacznie wyższa aniżeli u społeczeństwa miejscowego.

A jak to dowiodły kliniczne badania dr Listwana skłonność ta jest związana z samotnością, niemożnością przyswojenia sobie norm obyczajowych środowiska u mężczyzn, którzy nie posiadają własnego ogniska domowego lub oparcia w polskim społeczeństwie.

Niewiele mogę napisać o przestępczości wśród imigrantów polskich. Oficjalne dane dotyczące tego zjawiska zawierają wskaźniki statystyczne dla grup regionalnych, jak np. Południowa Europa, Europa Wschodnia, itd. Z danych tych wynika, że przestępczość wśród imigrantów pochodzenia europejskiego jest znacznie niższa aniżeli wśród ludności australijskiej. Można więc przypuszczać, że przeciętna dla Polaków jest niższa od australijskiej stopy przestępczości.

5. *Dziś i jutro Polonii australijskiej*

W ramach krótkiego szkicu nie podobna zmieścić analizy tych czynników w łonie Polonii australijskiej, które przyczyniają się do utrzymania równowagi między asymilacją i zachowaniem poczucia polskości. Omówię tu tylko trzy czynniki. Są nimi: polskie organizacje społeczne, placówki duszpasterskie i polska prasa.

Organizacje społeczne, zrzeszone w Radzie Naczelnej Polskich Organizacji w Australii, przechodzą silny kryzys zaufania i sprawności. Są one w mniej więcej takim samym stanie, w jakim znajdowały się organizacje polskie w W. Brytanii po ukoń-

czeniu demobilizacji Polaków w latach 1948-49. Popełnia się tu takie same błędy, jakie popełniały góry organizacyjne w Londynie sześć lub siedem lat temu usiłując stworzyć mocno scentralizowaną siatkę organizacyjną „dowodzoną" ze stołecznych biur i urzędów, które kontynuowały fikcję ciągłości administracyjnej wojennych ośrodków rządowych. Życie pokazało jednak, że społeczeństwo można budować tylko na zrębach organicznej wspólnoty sąsiedzkiej, a więc takiej, która łączy czynnik terytorialny z organizacją samopomocy i opieki duszpasterskiej. Tak więc zaczęły powstawać polskie osiedla mieszkaniowe często w tych samych obozach wojskowych, w których mieszkali żołnierze, czekający na demobilizację z rodzinami. Ludzi tych łączyły wspólne koleje losu w czasie wojny, wspólne mieszkanie i pragnienie zorganizowania sobie życia w miejscu pobytu. W miastach, takich jak Manchester, Birmingham, Sheffield i w poszczególnych dzielnicach Londynu, czynnikiem tego organicznego wzrostu stały się parafie, organizowane na zasadzie konstytucji papieskiej „Exul Familia". Do tego doszły organizacje samopomocowe i ubezpieczeniowe.

W Australii ten proces tworzenia organicznych wspólnot sąsiedzkich zaczął się później, bo dopiero w latach 1952-53, kiedy to Polacy sprowadzeni tu w ramach transportów IRO odrobili swoje dwuletnie kontrakty i potworzyli spore skupiska na przedmieściach wielkich miast. Dziś te wspólnoty sąsiedzkie zaczynają dojrzewać i tworzą własne formy organizacyjne, które powstają niezależnie od istniejących organizacji centralnych. W niektórych miastach dawne organizacje centralne przekształcają się w stowarzyszenia o charakterze federalnym co jest tendencją słuszną i pożądaną. Jako przykład podać można Związek Polski w Nowej Południowej Walii, który przekształcił się w roku 1957 w organizację koordynującą pracę stowarzyszeń polskich w Ashfield Cabramatta i innych ośrodkach terytorialnych na terenie stanu.

Miałem okazję przyjrzeć się pracy takiej wspólnoty sąsiedzkiej w Newport, na przedmieściu Melbourne. Powstała ona spontanicznie i pozbawiona przywódców z zewnątrz społeczność ta, składająca się wyłącznie z robotników miejscowej elektrowni i fabryki samochodów — stworzyła kasę samopomocową, bibliotekę, ośrodek rozrywek, szkołę przedmiotów ojczystych. Jest to imponujący dorobek i co więcej jest to jedyny w tych warunkach dopuszczalny środek dania oparcia kilkuset Polakom w zorganizowaniu sobie nowego życia.

Wielką bolączką życia organizacyjnego jest brak wystarczającej ilości polskich ośrodków duszpasterskich. W porównaniu z W. Brytanią — jest tu pod tym względem znacznie gorzej. Dla przykładu, w Melbourne gdzie mieszka 15 i pół tysiąca dorosłych Polaków (i zapewne co najmniej 5 tysięcy dzieci polskich urodzonych w Niemczech oraz Australii), jest zaledwie 3 księży polskich. W Londynie, gdzie zamieszkuje 30 tysięcy Polaków jest osiem ośrodków duszpasterskich obsługiwanych przez 14-tu

księży (17). Łatwo obliczyć sobie stosunek liczbowy ilości ludzi na jednego księdza. Brak księży polskich jest niewątpliwie wielką bolączką Polonii Australijskiej i tłumaczy poważne luki w jej strukturze organizacyjnej.

O prasie polskiej wspomnę tylko pokrótce. Składają się na nią dwa tygodniki: „Wiadomości Polskie" w Sydney i „Tygodnik Katolicki" w Melbourne. Ponadto w Adelaidzie wychodzi dwutygodnik „Nowa Droga" o miejscowym zasięgu, a w Brisbane, Canberra i kilku pomniejszych ośrodkach ukazują się powielane biuletyny. „Wiadomości Polskie" przeznaczone są przede wszystkim dla tzw. inteligencji i stanowią żywo redagowane forum dyskusyjne dla wielu ścierających się poglądów. Natomiast „Tygodnik Katolicki" spełnia niedocenianą należycie rolę pisma dla mas pracujących, które stanowią przecież 90% Polonii australijskiej. Redaktor tego pisma X. Trzeciak, posiada socjologiczne spojrzenie na społeczność polską i wie, jak do tych prostych ludzi podejść, jak im pomóc i czym ich zainteresować. Pismo to oddaje olbrzymie usługi sprawie, którą nazwałem zagadnieniem naczelnym dla Polonii australijskiej, a mianowicie sprawie utrzymania równowagi między asymilacją i zachowaniem poczucia polskości.

Obok czynników instytucjonalnych należy jeszcze wspomnieć materializm kultury australijskiej. Australia jest krajem, który nie przeszedł inwazji, nie ucierpiał wojennych zniszczeń lub walk bratobójczych. W ciągu 180-cioletniej historii tego kraju dominującym motywem działalności ludzkiej była walka z suszą, erozją gleby, plagą królików i szarańczy. Wszystko to wytworzyło u Australijczyków dążność do zapewnienia sobie możliwie najlepszych warunków bytu w oparciu o poczucie bezpieczeństwa i dosytu. Wielki dobrobyt, jaki tu panuje od 10 lat, stwarza warunki w których każda nowa para rąk do pracy jest chętnie przyjęta. Polski chłop i robotnik potrafią ciężko pracować. Dzisiaj cztery piąte rodzin polskich mieszka we własnych domach, posiada samochody i korzysta ze wszelkich zdobyczy cywilizacji, której symbolem jest telewizor, nieodzowny „radiogram" i odkurzacz elektryczny. Nie chodzi tu o to, że zdobywa się je kosztem często własnego zdrowia, a najczęściej kosztem jedności rodziny i wyjałowienia wartości kulturowych. Żądza wzbogacenia się *per fas et nefas*, tworzy z polskiego robotnika w Australii jakiś dziwny surogat *homo economicus*, któremu odjęto to co dało mu dzieciństwo w Polsce: radość współżycia we wspólnocie sąsiedzkiej. Niewielu z naszych działaczy społecznych rozumie, że na tym właśnie polega proces destruktywny u ludzi zamienionych z chłopów pracujących na roli w robotników fabrycznych. Program Polonii australijskiej na najbliższe dziesięciolecie streszczać się winien w usiłowaniu odtworzenia wspólnoty sąsiedzkiej, opartej na zasadzie organizacji parafialnej, samopomocowej i towarzystw

(17) Cytuję według „Kalendarza Rodziny Polskiej na Rok 1957", Londyn, Veritas, 1956.

wzajemnych ubezpieczeń. Równocześnie zaś zwrócić należy należy szczególną uwagę na drugie pokolenie aby — słowami p. Gieratowej — „bezradnemu tonięciu dzieci w obcości przeciwstawić świadome ukorzenienie młodych i w tysiącleciu polskości i w miejscowej glebie".

Jerzy ZUBRZYCKI
Australian National University

Autor artykułu jest kierownikiem Zakładu Socjologii przy katedrze demografii na Narodowym Uniwersytecie w Canberra. W dorobku naukowym autor najważniejszą pozycją jest książka o socjologii emigracji polskiej w W. Brytanii pt. „Polish Immigrants in Britain: a study of adjustment" Martinus Nijkoff, Haga 1956. Ponadto opublikował on kilkanaście artykułów na tematy populacyjne i socjologiczne w kwertalnikach angielskich, holenderskich i w „Kulturze".

TABLICA 1

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W AUSTRALII, KWIECIEŃ 1921
OKRES POBYTU W AUSTRALII DLA OSÓB URODZONYCH W POLSCE

Długość okresu	*Dziesięciolecie do roku*	*NSW*	*Vic*	*Q'ld*	*SA*	*WA*	*Tas*	*NT*	*Razem*
0 — 9 lat	1921	249	157	110	15	13	1	..	545
10 — 19 „	1911	123	83	44	11	29	4	1	295
20 — 29 „	1901	65	44	15	3	19	..	..	146
30 — 39 „	1891	180	113	43	17	32	4	3	392
40 — 49 „	1881	51	39	78	49	24	1	..	242
50 — 59 „	1871	21	27	20	6	..	..	..	76
60 — 69 „	1861	10	11	2	13	4	2	..	40
70 — 79 „	1851	..	1	1	4	..	..	..	6
Nie podano		18	6	3	5	4	..	..	42
Razem:		717	480	323	123	125	12	4	1784

TABLICA 2

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W AUSTRALII
W LATACH 1921, 1933, 1947, 1954
ROZMIESZCZENIE OSÓB URODZONYCH W POLSCE

Rok Spisu	*NSW*	*Vic*	*Q'ld*	*SA*	*WA*	*Tas*	*ACT*	*NT*	*Mężczyzn*	*Kobiet*	*Ogółem Osób*	
1921	717	480	323	125	125	12	—	4	1210	574	1784	
1933	1010	1646	304	84	189	5	—	1	1930	1309	3239	*
1947	1911	4032	289	82	227	20	7	5	3672	2901	6573	**
1954	17441	21428	3787	6597	5130	1594	558	59	35652	20942	56594	

*) W tym 1809 osób zamieszkiwało w Australii w dniu spisu ludności przez mniej aniżeli 10 lat.

**) W tym 3283 osoby zamieszkiwały w Australii w dniu spisu ludności przez mniej aniżeli 15 lat.

TABLICA 3

OSOBY NARODOWOŚCI POLSKIEJ PRZYBYŁE DO AUSTRALII W TRANSPORTACH IRO WEDŁUG KRAJU URODZENIA
(w odsetkach)

Kraj urodzenia	*Odsetki (%)*
Czechosłowacja	0,3
Estonia, Litwa i Łotwa	0,5
Niemcy	25,0
Polska	68,0
Z.S.S.R.	3,6
Inne	2,6
Ogółem	100,0

TABLICA 4

DZIECI URODZONE W AUSTRALII Z OJCÓW POCHODZENIA POLSKIEGO W OKRESIE MIĘDZYSPISOWYM 1947-1954

Drugie półrocze 1947	88 x)
Rok 1948	216
„ 1949	533
„ 1950	2922
„ 1951	3591
„ 1952	3129
„ 1953	2538
Pierwsze półrocze 1954	1139 x)
Razem	14156

(x) Liczba szacunkowa uzyskana przez przepołowienie danych dla całego roku.
Źródło: Commonwealth Bureau of Census and Statistics, *Demography Bulletin,* 1947-1954.

TABLICA 5

SKŁAD WYZNANIOWY OSÓB NARODOWOŚCI POLSKIEJ PRZYBYŁYCH DO AUSTRALII W TRANSPORTACH IRO (odsetki)

Wyznanie	*Odsetek (%)*
Rzym. Kat. (obrządek łaciński)	83,3
Rzym. Kat. (obrządek grecki)	6,8
Protestanckie	2,5
Prawosławne	6,0
Mojżeszowe	0,5
Nieznane	0,9
Razem	100,0

TABLICA 6

SKŁAD ZAWODOWY MĘŻCZYZN NARODOWOŚCI POLSKIEJ PRZYBYŁYCH DO AUSTRALII W TRANSPORTACH IRO

(odsetki)

	(%)
Rolnictwo	16,9
Zawody wolne i administracja	1,5
Handel	1,7
Służba domowa	1,7
Rzemiosło i robotnicy wykwalifikowani	27,1
Robotnicy niewykwalifikowani	26,9
Nieokreślony zawód	0,7
Nieczynni zawodowo	23,5
Ogółem	100,0

TABLICA 7

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W AUSTRALII, CZERWIEC 54

Proporcja mężczyzn do kobiet dla niektórych krajów urodzenia

Kraj urodzenia	*Ilość mężczyzn na 100 kobiet*
Australia	98,07
W, Brytania	117.63
Holandia	136,64
Włochy	202,63
Polska	170,24

TABLICA 8

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W AUSTRALII, CZERWIEC 54

Rozmieszczenie osób urodzonych w Polsce i Australii

	Kraj urodzenia		
	POLSKA		*AUSTRALIA*
Stan wzgl. Terytorium	*Liczba*	*Odsetek*	*Odsetek*
New South Wales	17441	30,8	38,4
Victoria	21428	37,9	27,0
Queensland	3787	6,7	15,1
South Australia	6597	9,1	8,9
Western Australia	5130	9,1	6,4
Tasmania	1594	2,8	3,7
Northern Territory	59	0,1	0,2
Australian Capital Territory	558	1,0	0,3
Ogółem	56594	100,0	100,0

TABLICA 9

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI W AUSTRALII, CZERWIEC 54

Odsetek osób urodzonych w Polsce w stosunku do ogółu ludności w poszczególnych stanach i terytoriach

	Mężczyźni	*Kobiety*	*Osoby*
New South Wales	0,6	0,4	0,5
Victoria	1,0	0,7	0,8
Queensland	0,4	0,2	0,3
South Australia	1,1	0,6	0,8
West Australia	0,9	0,7	0,8
Tasmania	0,8	0,3	0,5
Australian Capital Territory	2,3	1,3	1,9
Northern Territory	0,6	(a)	0,4

(a) Poniżej 0,1

TABLICA 10

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI AUSTRALII, CZERWIEC 54

Podział mężczyzn urodzonych w niektórych krajach według gałęzi produkcji (odsetki)

Gałąź produkcji	*W. Brytania*	*Holandia*	*Włochy*	*Polska*
Rolnictwo	6.6	7.4	20.3	2.8
Górnictwo	2.1	1.0	2.2	1.7
Przemysł i rzemiosło	23.2	23.5	32.0	46.6
Usługi komunalne	2.3	1.5	1.9	3.9
Budownictwo	9.8	15.4	14.1	14.6
Transport	6.8	4.4	4.2	7.1
Łączność	1.5	0.4	0.2	1.1
Obrót towarowy	10.3	8.2	6.9	7.7
Administracja i wolne zawody	8.7	2.9	1.0	4.0
Hotelarstwo zakłady gastronomiczne	2.9	2.8	2.8	3.1
Inne gałęzie produkcji	0.5	0.7	1.5	1.1
Nieczynni zawodowo	25.3	31.8	12.9	6.3
Ogółem	100.0	100.0	100.0	100.0

TABLICA 11

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI AUSTRALII, CZERWIEC 54
Odsetek mężczyzn urodzonych w Polsce i Holandii, zatrudnionych w niektórych gałęziach produkcji w stosunku do ogólnej liczby zatrudnionych.

Gałąź Gospodarki	KRAJ URODZENIA *Polska*	*Holandia*
Ogółem	0.8	0.7
Rolnictwo	0.2	0.5
Górnictwo	1.0	0.5
Przemysł i rzemiosło	2.1	0.9
Usługi komunalne: elektryczność, gaz, woda	2.0	0.6
Budownictwo	1.6	1.4
Transport	1.0	0.6
Obrót towarowy	0.7	0.6
Hotelarstwo, zakłady gastronomiczne	1.1	0.9
Nieczynni zawodowo	0.1	0.6

TABLICA 12

POWSZECHNY SPIS LUDNOŚCI AUSTRALII, CZERWIEC 54
Stosunek do pracy mężczyzn urodzonych w niektórych krajach
(w odsetkach)

Kraj urodzenia	*Pracodawca*	*Posiadacz własnego warsztatu pracy *)*	*Pracownik najemny*	*Bezrobotni*	*Ogółem*
Australia	8.0	13.3	77.3	1.4	100.0
Holandia	3.4	8.4	86.8	1.4	100.0
Włochy	6.5	13.5	78.8	1.2	100.0
Polska	7.2	5.4	86.0	1.4	100.0

*) Niezatrudniający pracowników najemnych.

Miejsce urodzenia mężczyzny	Rok małżeństwa	Ogółem mężczyzn	Miejsce urodzenia żony							
			Australia	W. Brytania	Włochy	Niemcy	Polska	ZSRR	Inne kraje	Ogółem urodzeń poza Australią
Włochy	1947	100.0	54.1	0.9	43.2	0.2			1.6	45.9
	1948	100.0	54.9	1.5	41.6				2.0	45.1
	1949	100.0	49.3	1.3	46.8	0.2			2.4	50.7
	1950	100.0	38.7	2.3	56.4	0.2		0.2	2.2	61.3
	1951	100.0	28.3	1.0	67.1	0.5	0.1	0.3	2.7	71.7
	1952	100.0	32.6	1.4	61.2	0.6	0.2	0.2	3.7	67.4
	1953	100.0	27.9	1.0	65.4	0.5	0.4	0.2	4.6	72.1
	1954	100.0	29.8	1.8	63.5	0.9	0.4	0.1	3.5	70.2
	1955	100.0	27.7	1.7	64.2	0.7	0.2		5.5	72.3
	1956	100.0	25.7	1.6	65.6	1.2	0.2	0.1	5.6	74.3
Polska	1947	100.0	18.3	3.8	1.0	5.8	60,6	1.9	8.6	81.7
	1948	100.0	22.6	5.8		5.8	45.9	3.5	16.4	77.4
	1949	100.0	23.9	3.2	1.3	2.7	54,2	3.2	11.5	76.1
	1950	100.0	20.6	3.2	0.4	5.2	53.5	4.3	12.4	79.4
	1951	100.0	24.3	3.9	0.2	8.0	45.5	5.0	13.1	75.7
	1952	100.0	32.9	4.8	0.9	9.0	38.2	3.4	10.8	67.1
	1953	100.0	37.2	4.5	0.6	5.8	35.5	4.5	11.9	62.8
	1954	100.0	36.6	4.3	0.3	6.8	36.2	4.3	11.5	63.4
	1955	100.0	40.4	6.2	0.7	7.7	28.7	2.4	13.9	59.6
	1956	100.0	40.5	5.0	1.3	7.1	29.8	3.6	12.7	59.5

Źródło: Commonwealth Bureau of Census and Statistics, *Demography Bulletin*, Nr. 65-71 (dla lat 1947-1953); dla lat 1954, 1955, 1956 wykorzystałem nieopublikowane jeszcze dane łaskawie udostępnione mi w Biurze Spisu Ludności w Canberra. Odsetki obliczyłem na podstawie liczb bezwzględnych uzyskanych z wyżej wymienionych źródeł.

TABLICA 14

Osoby narodowości polskiej, które przyjęły obywatelstwo australijskie w okresie: styczeń 1945 — czerwiec 1957

	Rok	*Ilość osób*
	1945-1950	2226
	1951	208
	1952	343
	1953	586
	1954	901
	1955	3830
	1956	5532
styczeń — czerwiec	1957	3184
	Ogółem	16810

Źródło: Commonwealth Department of Immigration, Statistical Bulletin, No 24.

TABLICA 15

Rozpoznanie schizofrenii u pacjentów szpitala Royal Park w stanie Victoria, 1. 1. 1952. — 21. 12. 1954

Kraj urodzenia	*Mężczyźni*		*Kobiety*		*Odsetek ludności stanu Victoria*	
	Liczba	*%*	*Liczba*	*%*	*Mężczyźni*	*Kobiety*
Ogółem	792	100.0	861	100.0	100.0	100.0
Australia	452	57.0	616	71.5	82.9	87.0
Anglia i Walia	38	4.8	54	6.2	5.5	4.8
Polska	59	7.4	23	2.7	1.0	0.7
Włochy	41	5.2	17	1.9	2.2	1.2
ZSSR (łącznie z Ukrainą)	15	0.9	5	0.6	0.3	0.3

Źródło: R.F.J. Cade „The Aetiology of Schizophreia" *Medical Journal of Australia*, 28 lipca 1956.

Złoty róg i czapka z piór

Podobno Mieszko I miał za sobą naród. Tak samo mówiono iż Kazimierz Wielki cieszył się ogólnym poparciem swoich poddanych płci obojga i niezależnie od ich filiacji rasowych. Ale bynajmniej nie każdy wódz Polaków mógł pochlubić się podobnymi osiągnięciami czy też, na początku swojej działalności, postawić sobie tak pomyślny horoskop.

Pojęcie jednolitości narodowej, w Rosji i Niemczech przede wszystkim zjawisko nie zawsze i bez zastrzeżeń zachęcające, w Polsce było zawsze temperowane przez samą indywidualność polskiego charakteru. Ten narodowy indywidualizm jednak, ten brak jakiejkolwiek wstydliwości z posiadania i możliwie najszerszego głoszenia własnego zdania bez zwracania specjalnej uwagi na konsekwencje, wcale nie oznacza że ,,Polska stała nierządem", i z kraju ,,Liberum Veto'' zamieniła się w kraj bałaganu. Z chwilą kiedy naród ma przed sobą wybór ,,być albo nie być'' Wernyhorze potrzebne jest tylko jedno zagranie hejnału.



Pewnego dnia, w październiku 1956 roku, w White's Club w Londynie, ośrodku który w przedwojennej Polsce odpowiadałby, powiedzmy, Klubowi Myśliwskiemu, plus atmosfera żubrów kresowych sprzed reformy rolnej, hr. Stefan Zamoyski w mojej obecności, spontanicznie a entuzjastycznie, wysłał zupełnie nieprzeciętną depeszę do Pierwszego Sekretarza Polskiej Partii Robotniczej Władysława Gomułki. Zawierała ona wyrazy oddania i lojalności jakimi mogłoby się pochlubić niewielu królów polskich i wielkich książąt litewskich od swoich senatorów i magnaterii polskiej w ogóle. Podobnych uczuć zresztą doznawali w tym dziwnym miesiącu nie tylko arystokraci na wygnaniu. To samo czuła przepracowana praczka w Warszawie, i fornal, jeszcze pańszczyźniany i siedzący w PGR, i każdy inteligent, z wyjątkiem nielicznych stupajek o masochistycznych skłonnoś-

ciach. Dla tych wszystkich ludzi, dla dwudziestu kilku milionów Polaków, dylemat rządu czy nierządu, Europy czy barbarzyństwa jest po prostu kwestią życia. Gomułka, całkiem ,,niereprezentacyjny'' chociaż antentyczny przedstawiciel mas ludowych, przyniósł z sobą zapowiedź życia. Przemawiając ze stopni tak zwanego Pałacu, pożal się Boże, Kultury, magią słów i treścią którą one niosły, zamienił ponurą, mokrą i zimną jesienną noc w dzień wiosny i odnowy. W historii Polski zdarzały się już takie fenomeny jak wówczas kiedy Nike z Samotraki unosiła się nad Piotrem Wysockim i podchorążymi idącymi na Belweder przez ciemny Park Łazienkowski, omiatany listopadowym wichrem. Kiedy indziej Cezary Baryka, zdeklasowany szlachcic, szedł na czele pochodu, ale nie doszedł. Może dlatego że szedł w dzień. Było to zresztą tylko przedwiośnie. Wydawało się wszystkim 16 miesięcy temu iż Władysław Gomułka, zdeklasowany proletariusz, doszedł. Śpiewano mu ,,sto lat'', ofiarowano jednomyślną, spontaniczną różę prawdziwych uczuć wdzięczności i ulgi tonącego,którego w ostatniej chwili wyciągnięto na brzeg, chociaż za pomocą przysłowiowej brzytwy. To był autentyczny klimat ,,Polskiego Października''.



John Gunther, dziennikarz amerykański, napełnia mnie zazdrością i podziwem. Potrafi on zapoznać się z krajem czy narodem, ,,rozgryźć'' kontynent cały, w ciągu kilku krótkich tygodni. Przyjeżdża, rzuca okiem, czyta gazety i już jest, błyskawicznie: syntetyczny wizerunek od środka — *an inside story*. I jak pracowita pszczółka składa się w troki i jedzie dalej. Mój Boże, jakżebym chciał przyswoić sobie taką istotną, niezaprzeczalną zdolność określania sedna sprawy jeżeli chodzi o Polskę. Ale po siedemnastu latach z bólem stwierdzam, że nie mnie spodziewać się nagłych oświeceń w stylu Gunthera. Mechanistyczne formułki niczego w Polsce ani o Polsce nie tłumaczą.



Po ośmiu miesiącach nieobecności w Polsce głównym pytaniem dla mnie i przedmiotem zaciekawienia była kwestia: ,,co i jak z Gomułką''?

Zdumiony byłem chłodnym i obojętnym tonem odpowiedzi: cytaty o ,,les neiges d'antan'' to zbyt mało i zbyt blado w porównaniu ze zdawkowymi stwierdzeniami katastrofalnego obniżenia lotu październikowego orła.

Moja metoda dziennikarska jest na pewno ani nie najlepsza, ani najbardziej dokładna: polega ona na bezustannej rozmowie z przyjaciółmi, ze znajomymi, z nieznajomymi, z kimkolwiek kogo uda mi się chwycić. W tym nieustannym przepływie raczej

aniżeli konkrecie nawracałem stale do Władysława Gomułki. Zebrałem też całą kolekcję, najprzeróżniejszych wersji jego postaci.

Niektóre z nich muszę tu zacytować:

„Ten bidny Gomułka. On się tak dla nas tyrgał i starał. Teraz diabli go wzięli znowu i nic dalej nie potrafi".

(był to „vox populi". Myśli i uwagi polskich robotników, taksówkarzy i pokojówek napełniają mnie zawsze szacunkiem pomieszanym z przerażeniem. Ich makabryczny pesymizm łączy się nieomylnie ze wspaniale rozwiniętym „nosem", czyli wyczuciem istotnych realiów bieżącej polityki).

A oto inna wersja:

„Wie pan, to półinteligent i samouk. On nas nienawidzi. Kompleks niższości, wie pan. Zlikwiduje, panie, inteligencję, bo lepiej się czuje w otoczeniu chamów własnego kroju".

(Nie trudno domyślić się kto podziela to zdanie).

Trzecia wersja:

„Musi pan zrozumieć, że nasze położenie geopolityczne wcale nie jest takie proste. Z Rosjanami Gomułka ma piekielnie trudną grę. A do tego upiera się żeby rozgrywkę prowadzić na własną rękę, bez nieodpowiedzialnych kibiców i zapalonych młokosów"

(Tak mówią „mądrzy" i poważni obywatele szukający eufemistycznych wytłumaczeń wszelkich posunięć rządowych).

O wiele mniej sympatycznie wyraża podobną myśl następująca cytata:

„Polacy, panie, to paskudny i beznadziejny naród. Kłócą się. Pyskują. Pyskują niepotrzebnie. Niestety, wie pan, myśmy nie dojrzeli do tej angielskiej demokracji. Z Polakami tylko twarda ręka czegoś dokona".

(Ta gadatliwa odmiana tezy zasadniczej małomównego Nikodema Dyzmy rozszerza się w kołach zupaków partyjnych i „odgrodzonej" inteligencji).

Jedźmy dalej:

„Wiesz pan, strasznie zażydzona hołota... nawet żonę ma Żydówkę. Powiem panu co znaczy Wielki Wschód. Wiesz pan, że Gomułka, Chruszczow należą do jednej loży i nas, Polaków, trzymają za gardło".

Ale za to:

„To dla nas, wie pan, wielka tragedia. Myśmy się nigdy nie spodziewali, że nawet u takiego człowieka można się spotkać z tak strasznym antysemityzmem".

(Wydaje mi się iż co do źródła, powyższe dwie wypowiedzi nie wymagają komentarzy).

Mógłbym cytować dziesiątki, jeżeli nie setki podobnych zdań mniej poważnych i bardziej poważnych, odpowiedzialnych i nieodpowiedzialnych, dobrze poinformowanych i wprost przeciwnie.

Mnóstwo i rozmaitość poglądów na temat Władysława Gomułki nieuchronnie prowadzą do stwierdzenia zasadniczej cechy jego duchowej sylwetki: jego prawdziwej i szczerej skromności. Salazar i on są dzisiaj w Europie jedynymi sternikami naw państwowych, którzy nie korzystają z usług naukowej propagandy, tej, chwała Bogu, nieprzetłumaczalnej na polski jej odmiany, zwącej się po angielsku *public relations*.

Gomułka i Salazar są takimi jakimi są, a nie tworami sztucznymi, zlepkami świadomie i dobrowolnie dobranych, być może prawdziwych nawet cech, ale ułożonych na użytek publiczny w desenie służące ideologiom politycznym.

Z olbrzymiej mozaiki opinii, dowcipów i oskarżeń pod adresem Pierwszego Sekretarza jakie obiły się o moje uszy wytworzyłem sobie jednak opinię i o nim samym i o jego polityce.

Na potwierdzenie moich wniosków nie rozporządzam żadnymi solidnymi dowodami rzeczowymi. Niezbyt wstydzę się tego bo jestem przekonany, że nikt, czy prawie nikt z moich kolegów dziennikarzy, nie posiada ich także. Nawet ci zaliczający się do największych i grubo płatnych autorytetów.

Oto więc mój sąd o człowieku:

— jest to syn rozczarowanych re-emigrantów ze Stanów Zjednoczonych, bez znajomości Zachodu z pierwszej ręki. Musiało to w nim stworzyć określone predyspozycje psychiczne i intelektualne.

— człowiek głęboko przekonany o słuszności tez marksizmu i leninizmu, jest on niezdolny do wchłonięcia nowych ideologii, podobnie jak dobry płaszcz gumowy niezdolny jest do przepuszczenia deszczu.

— niektórzy więźniowie podczas zamknięcia przechodzą przełom wewnętrzny. Ale nie nastąpił on u Gomułki. Więzienie było dla niego po prostu lodówką, z której wyszedł z bagażem ideowym nienaruszonym i niezepsutym wątpliwościami.

Czasem wydaje się mi że Polski Październik po prostu składa się z wielkich nieporozumień. Gomułce przyświecał wówczas cel udoskonalenia i oczyszczenia systemu komunistycznego. Mówił o tym często i zupełnie szczerze. Polacy natomiast życzyli sobie raczej podstawowej zmiany ustroju. Po prostu nie mogli pojąć jak to się stało, iż Gomułka, który tak długo ,,siedział'' i tak bardzo cierpiał fizycznie i moralnie, mógł po Październiku szczerze wierzyć w treść swoich przemówień.

Należy zadać sobie w tym miejscu dalsze pytanie na czym polega w chwili obecnej linia postępowania Władysława Gomułki.

◆

Niewątpliwie Gomułka ten kłopot z Rosją ma. Podczas spotkania w Białowieży np. ogólnie mówiono że była to narada taktyczna sojuszników sprzymierzonych ze sobą w wewnętrznych rozgrywkach na Kremlu. Mówiono też, że Żukow za to wyleciał z posady, że parł ku ponownej okupacji wojennej Polski przez garnizony sowieckie. Skądinąd wiadomo jednakże, iż Rosjanie od chwili wybuchu powstania węgierskiego szalenie są wrażliwi. W socsecesyjnym gmachu Sowieckiej Ambasady w Warszawie siedzi kupa ludzi z nożyczkami, niebieskimi i czerwonymi ołówkami i z dostępem do teleprinterów bezpośrednio połączonych z Moskwą. Ich codziennym chlebem jest przeskrupulatne czytanie każdego słowa jakie drukuje się w Polsce i wyłapywanie najlżejszych drgnięć antyrosyjskich aluzji. (Sporo jest ,,materiału obciążającego''). Gomułka podobno dostaje po łbie, i to w formie bardzo dotkliwej dla siebie, na skutek tych po inkwizytorsku wnikliwych studiów.

Tu też należy szukać, częściowo przynajmniej, tłumaczenia represji stosowanych wobec młodych literatów i dziennikarzy. Rosjanie panicznie boją się rewizjonizmu — tzn. inteligentnego i europejskiego rozwinięcia socjalizmu. Dla nich ewolucja tego rodzaju stanowi zarazę grożącą podstawom nie tylko Sowieckiego Imperium Kolonialnego ale przede wszystkim systemu sowieckiego w ogóle.

Gomułkę dzieli od jego lat młodości zapobiegliwe i krzątające się życie zawodowego rewolucjonisty, pierwszorzędnego fachowca w swojej branży. Dla niego to chyba drugorzędna sprawa że literatura i myśl wystygną. Przebaczanie przychodzi mu z trudnością, tym bardziej jeżeli chodzi o pętackie wyskoki z piórem w ręku, godzące w jego ukochane dzieło. Bo Gomułkę obchodzi nade wszystko delikatna, ryzykowna i bardzo niepewna gra z Rosją, do której nie dopuści on żadnych postronnych wtrąceń.

W tym samym świetle — uważam — należy patrzeć na ponury spektakl jego rozgrywek wewnątrz partii. Dla oceny ich obojętne jest jakie są prawdziwe poglądy Gomułki na Polski Paź-

dziernik i czy zgadzają się one z westchnieniami i tęsknotami na ten temat, czy też są odmienne. Ale śmiało można przypuszczać, iż nie miał on na celu utrzymania na bardzo solidnych stanowiskach partyjnych swoich osobistych śmiertelnych wrogów, niedawnych gnębicieli, ideowych przeciwników a poza tym ostatnich i najgorszych wybiórków kadr tak ludzkich jak partyjnych. Wątpię czy wielu ludzi dzieliłoby dobrowolnie stołówkę z Kłosiewiczem, np. z serdecznej przyjaźni, czy dla uroku towarzyskiego obcowania z nim czy nawet przez kumoterstwo. Musi istnieć jakieś inne tłumaczenie dlaczego człowiek uważany do niedawna za bohatera narodowego, a ciągle jeszcze za jednostkę uczciwą, bezpretensjonalną i czystych rąk, mógł przyjąć do swojego rządu taką kreaturę znaną w całym kraju z okrucieństw i malwersacji pieniężnych. Poza tym jest rzeczą notorycznie znaną, iż to Kłosiewicz właśnie wystąpił w swoim czasie z tezą, iż inteligencja jest warstwą zbyteczną w zdrowym a socjalistycznym społeczeństwie i nigdy tej tezy nie odwołał. Znaczny odsetek kadr partyjnych nie nadaje się do innej roboty poza ,,dowodzeniem''. Tego odsetku nie można było się pozbyć bez kompletnego załamania partii. I ideologiczne ciągoty Gomułki i wymagania Racji Stanu (ohydnie te dwa słowa brzmią) nie zostawiły Pierwszemu Sekretarzowi Partii niczego innego do roboty, jak zatrudnić w dalszym ciągu złowieszcze figury, odtrącone ze wstrętem przez opinię publiczną i pogodzić się z ich obecnością w Aparacie. Byli oni wiernymi komunistami i to musiało wystarczyć.

◆

,,Polska to pole szparagów'' — poinformował mnie z bólem pewien młodociany redaktor, znajdujący się chwilowo bez posady, etatu i przydziałów. — ,,Bo proszę pana, jak tylko kto wyrośnie ponad przeciętność zaraz mu utną głowę''.

,,TAK pijemy, proszę pana'' — stwierdził inny dziennikarz jeszcze zatrudniony ale już ,,gorzki'', usiłując zamówić kolejną ćwiartkę wódki u zalatanego kelnera w Bristolu. — ,,Dlatego że dla nas nie ma horyzontów, nie widać dalszej perspektywy: nawet jutra nie ma''.

Na oko, rozgoryczony pesymizm tego gatunku — zjawisko bardzo szeroko rozpowszechnione w kraju — jest raczej przesadzone. Mimo wszystko dużo jeszcze zostaje z zysków październikowych. Nie wielu siedzi pod kluczem za nieprawomyślność, choć zwolna ale z niepokojącą systematycznością cyfra ta rośnie. Mimo że U. B. — teraz odnowione pod nazwą Wydziału Służby Bezpieczeństwa w M.S.W. — swoje robi, jednak nie rozrabia jeszcze dotąd jak dawniej.

Na pewno nikt z dawnych członków tej instytucji nie głoduje. Paczka ich znalazła cichą przystań w Państwowym Instytucie Handlu. Na tym stanowisku mogą utrzymać swoją facho-

wą sprawność, w oczekiwaniu na lepsze dla siebie czasy, obrzydzając życie nielicznej ale finansowo dobrze sytuowanej garstce pracowników prywatnej inicjatywy.

Osiemdziesięciu dawnych Ubeków, w nagrodę za wysługę lat, otrzymało przydział najnowszych taksówek. Z entuzjazmem zastosowali się do zwyczajów swojego nowego zawodu : pyskują na rząd akurat tak samo jak wszyscy inni taksówkarze warszawscy. Dla równowagi warto przypomnieć jednakże że udowodniono, iż niedawne a nagminne morderstwa taksówkarzy bez przeszłości politycznej były robotą innych, a mniej przez los uprzywilejowanych byłych członków Urzędu Bezp.



Należy przyznać że polityka rolnicza Gomułki odniosła pełne zwycięstwo i, być może, na skutek tego, nie ulega wątpliwości że stopa życiowa polepszyła się, nawet jeżeli nikt nie chce się przyznać, iż odnosi się to również osobiście do niego. Sklepy są znacznie lepiej zaopatrzone w towary i ludność znacznie więcej z nich korzysta. Znacznie mniej jest inflacji niż w Anglii. Ulica jest również dobrze ubrana; to ostatnie zjawisko tłumaczy się częściowo tym, iż nikt teraz nie obawia się wydawania pieniędzy, porządnego ubierania się, dbałości o ogólny wygląd zewnętrzny. Element walki klasowej ulotnił się z marksizmu à la Gomułka : brudny kołnierzyk, nieogolona twarz, a u pań włosy w strąkach i ohydne sandały bez obcasów nie są już dziś glejtami bezpieczeństwa.

Cudzoziemiec zauważa te różnice, ale najczęściej uchodzą one uwagi społeczeństwa polskiego, trwa ono niezmiennie na stanowisku kamiennej niewdzięczności, podejrzliwości i wrogości wobec wszystkich, czasami najszczerszych nawet, wysiłków systemu zmierzających do polepszenia sytuacji w kraju.

Tu nie chodzi o to czy Polacy mają tu rację czy nie, ważny jest fakt iż taki właśnie nastrój istnieje.

Osobiście jestem przekonany iż, być może, w różnym stopniu nastrój ten będzie trwał tak długo, aż nie zostanie wykonany w pełni program obietnic październikowych, tak długo aż demokratyczny socjalizm zachodniego typu nie zostanie w pełni wprowadzony w życie.

W rozmowach z robotnikami i z młodzieżą przebijają przebłyski doprawdy przerażającego gniewu, który tli się pod maską kpiarskiej i cynicznej bierności. Należy tu pamiętać o głębokim przemówieniu Stanisława Stommy, posła do sejmu z katolickiego ugrupowania ,,Znak''. Ujął on trafnie całokształt sprawy w jednym stwierdzeniu, iż bez powrotu wzajemnego zaufania między rządem a społeczeństwem nie można marzyć o istotnej naprawie stosunków. O głuchych ale potężnych pomrukach burzy wszyscy wiedzą. Każda grubsza nieostrożność ze strony władz mogłaby łatwo doprowadzić do wybuchu o nie dającej się przewidzieć gwałtowności.

Gomułka na pewno liczy się z tym, jak świadczy m. in. pośpieszne wycofanie potwornego paszportowego edyktu ministra Dietricha, który miał na celu zamknięcie ubogiej — to jest przeważającej większości Polaków w kraju możliwości wyjazdu i odcięcie ich raz na zawsze od ich rodzin i od Zachodu.

◆

Nie należy zamykać oczu na zjawisko godne najżywszego pożałowania: zarysowuje się niebezpieczeństwo sprymityzowania i schamienia socjalizmu. Rząd nieuchronnie zdąża ku temu przez utratę kontaktu z inteligencją, a przede wszystkim z młodzieżą akademicką. Należy tu ubolewać nad niedawnym wypuszczeniem ,,Sztandaru Młodych'', bezwzględniej najpoczytniejszej i najlepiej redagowanego pisma codziennego w Polsce, w pacht Zetempowskiemu odłamowi Z.M.S., nad zamykaniem pism lub ,,czystkach'' w poszczególnych redakcjach.

◆

Kiedy byłem w Polsce w r. 1955, a nawet i w zeszłym, emigracja polityczna była dla Polaków w kraju ośrodkiem przyciągającym i cieszyła się znacznym mirem. Wydaje mi się, iż trudno by było zaryzykować podobne twierdzenie dzisiaj. Nawalenie Zachodu podczas powstania węgierskiego, zbyt mało i zbyt późno pomocy amerykańskiej, zostawienie Polski w poniżającej sytuacji petenta Sowietów o pomoc po prostu na przeżycie, nie uszły ogólnej uwagi w kraju i były przedmiotem daleko idących komentarzy z wszelkich stron. Polska emigracja polityczna, siłą faktu, nie mogła na tym wyjść dobrze. Twarde przeszkolenie dziejowe uczyniło z Polaków pragmatystów a do tego, mimo wszelkich kurtyn i obostrzeń, Zachód — Anglia, Francja, Stany Zjednoczone, Ameryka Łacińska — nie są dziś w Polsce ani ,,Terra Australis Incognita'' ani krajem bajki i ułudy wykarmionej na filmach, jak to się działo w Polsce międzywojennej. Dziś kuzyn w Londynie, ciotka w Valparaiso, dziadunio w Caracas czy pociotek w Maisons Laffitte są tak codziennym zjawiskiem w Polsce jak bliżsi i dalsi krewni w Rodezji, Kanadzie czy na Fidżi u współczesnych Anglików.

Polacy w kraju oczekują od nas na Zachodzie trzeźwej i rozsądnej oceny zjawisk. Szukają praktycznych rad, stąd np. wnikliwe analizy Juliusza Mieroszewskiego cieszą się takim powodzeniem.

Polacy jednakże zdecydowanie odrzucają propagandę wszelkiego rodzaju. Cudów nie ma — przynajmniej w polityce, natomiast istnieje niepodfryzowana prawda. Właśnie jej Polacy szukają na Zachodzie, a nie niewykonalnych i nieodpowiedzialnych obietnic, kompensacyjnych kłamstw i nieścisłych relacji o bolączkach krajowych, o których oni właśnie wiedzą najlepiej.

Pisząc o stosunku między Polską a Zachodem należy zawsze pamiętać iż czapka z pawich piór została zgubiona ale róg ciągle jeszcze jest. Nie można na nim grać w tej chwili i nie jest to róg obfitości. Ale przy ostrożności i wysiłku może się z niego wyłonić skromny ale realny dobrobyt i chociażby minimum nieodzownej swobody.



Marksistowska szkoła życia i nauki z jej niesamowitym połączeniem ,,Il Principe'', Talmudu i ,,Matuszki Rassiji'' różni się zasadniczo od normalnych kanonów zachodniego i katolickiego typu myślenia. Czasami zadaję sobie pytanie czy przeciętny katolik, jak np. ja, w ogóle jest w stanie wniknąć w zwoje procesów umysłowych autentycznego, ortodoksyjnego, nie-rewizjonistycznego komunisty. Jeden z moich katolickich przyjaciół powiedział o tym, iż komuniści zdolni są do wywąchiwania gospodarczej treści i politycznego wydźwięku nawet w słowach ,,Dominus Vobiscum''.

Oby błędnie, ale niewątpliwie mam pewne zastrzeżenia co do trwałości porozumienia, czy ściślej *modus vivendi,* pomiędzy Kościołem a rządem. W teorii powinno by to było grać jak najlepiej. Kościół już nie jest czynnie prześladowany, religia jest wykładana w szkołach, a biedni wolnomyśliciele razem z ich pisemkiem ,,Argumenty'', są pośmiewiskiem. Pozostaje co prawda Piasecki, ten ,,servus servorum Satani'' i żałosna grupka pogrobowców Targowicy, wykonująca dla niego obrzydliwe a fachowe służebności w ,,Kierunkach''.

Stolicą duchową kraju staje się Jasna Góra. Jest to dziś ośrodek wielkiego dzieła odbudowy moralnie rozłożonego narodu wedle pozytywnych wytycznych, określonych przez X. Prymasa w Ślubach Jasnogórskich. Dalszym ich rozwinięciem są jego przemówienia do zjazdów prawników i lekarzy.

Partia komunistyczna i jej kierownictwo w katolicyzmie znalazło doktrynę niepomiernie silniejszą i bardziej wszechstronną od swojej własnej. W osobie X. Prymasa zaś, kierownika sumień, przerastającego o niebo pod każdym względem KC i resztę. Musiało to wywołać głęboki ferment w ich szeregach.

I znów pragnąłbym, aby moje przewidywania nie sprawdziły się. Ale obawiam się bardzo, iż właśnie z tych powodów, w miarę reform, dotarcia i usprawnienia partii, które mają miejsce obecnie, konflikt jej z Kościołem będzie wzrastał na sile. Ci z piszących zagranicą, którzy mówią z oburzeniem o powstawaniu w Polsce sojuszu pomiędzy Tronem a Amboną, nie rozumieją tego co się dzieje w kraju.



Na str. 38 I-go tomu ,,Złego'' Leopold Tyrmand pisze co następuje: ,,Dowcip był religią tych młodych ludzi. Nade wszy-

stko w świecie cenili dowcip, dla dowcipu gotowi byli uczynić wszystko, nawet krzywdę, nawet głupstwo''.

Jak wiele innych uwag tego inteligentnego znawcy chuliganów, tak i powyższa cytata jest niezmiernie celną obserwacją. Rzeczywiście dowcip jest w obecnej chwili w Polsce środkiem znieczulającym. Pozwala na przetrzymanie mniej przyjemnych aspektów rzeczywistości, na niezwracanie uwagi na krzyczące niewspółmierności. Ze wstydem przyznaję że mam strasznie słabą pamięć do kawałów i powiedzonek, ale tak jak pies, który nieuchronnie odnajduje swojego pana i składa u jego stóp ogryzioną kość, ofiarowuję oto czytelnikom ,,Kultury'' wybór dowcipów zapamiętanych w Warszawie:

,,Jeżeli Tatusia nie ma w domu i nie ma w biurze, to jasne jest że Tatuś znajduje się na drodze do socjalizmu''.

,,Rozmowa z Cyrankiewiczem: — Panie premierze, jak to jest? Wszystko się zmienia w Polsce a premier się nie zmienia? — Cyrankiewicz (oburzony): Cooo? Ja się nie zmieniam? Ależ Panie ja się ciągle zmieniam.

Autentyczny komentarz: Pijak w barze — ,,Wie Pan kim ja jestem? Nie? Otóż, drogi panie, ja jestem alfonsem wewnętrznej dywersji z Rzeszowa''.

Znamiona czasu: ,,królowa'' została wyrzucona na pysk z Bristolu i urzęduje w ,,Kaskadzie'' i ,,Warszawie''. Bristol nie jest jeszcze hospicjum dla świątobliwych dziewic ale przestał być jawnym domem publicznym. Chociaż jest tu nadal brudno i obdrapanie. Jeden z moich znajomych chciał gorącej wody, przynajmniej do golenia. Po wielogodzinnych skargach, błaganiach, groźbach i awanturach ,,numerowa'' przytaszczyła ogromny kocioł jasno żółtawego gorącego płynu o aromatycznym zapachu: był to wywar z ziół, zdaje się że z kwiatu lipowego. To nie był jakiś specjalny zabieg kosmetyczny ani szczególniejsza atencja dyrekcji Bristolu. Z niejasnych powodów był to jedyny gorący płyn jaki można było w danej chwili tam dostać. Chciałbym jednak podkreślić, iż osobiście nie mam po prostu słów na wyrażenie mojej wdzięczności i uznania za opiekę roztaczaną nade mną przez cały personel Bristolu z wyjątkiem może paru ob. ob. kelnerów.

Mój szwagier Evelyn Waugh rozsławił w swoim czasie bardzo niezwykły hotel w Addis Ababa. Hotel Bristol w Warszawie ciągle jeszcze czeka na swojego kronikarza.



Siedemnaście lat współżycia z Polakami. Ułan, starszy ułan, spadochroniarz. Podporucznik do specjalnych zleceń i — jakoś bardzo niespecjalnych osiągnięć. Sztabowy oficer i morze wypite

wspólnie wódki. Walka ze zdradą Jałtańską. Koniec wojny i Towarzystwo Angielsko-Polskie. Robiło się co się mogło, często głupio i prawie zawsze nie skutecznie, ale z całego serca. ,,O czym tu dumać na paryskim bruku''. Tylko gdzie jest ten Paryż i gdzie mnie równać się — nawet w najdzikszych snach. I jak tu wytłumaczyć durniom swoim i obcym, polskim i angielskim albo panu Cat-Mackiewiczowi że nigdy nie miałem nic wspólnego z żadnym łapsieniem się i interesownym myszkowaniem. Spowiedź dziecięcia wieku. Wieku aż zanadto dojrzałego.

Auberon HERBERT

Zjazd Stronnictwa Demokratycznego

Stronnictwo Demokratyczne odbyło swój zjazd krajowy w Warszawie w czasie od 15-18 stycznia. Dano mu numer kolejny V-VI. Ma to znaczyć że SD *nawiązało* do przeszłości, to jest do zjazdów powojennych dolicza się zjazd z 16 kwietnia 1939 roku. Troska o te tradycje pojawiła się dopiero po październiku 1956 roku. Do tego czasu historycy SD nie sięgali dalej jak do Komitetu (lubelskiego) Wyzwolenia Narodowego, a w związku z tym na ojców stronnictwa pasowani byli przybyli z Moskwy: sekretarz związku aplikantów sądowych Leon Chajn i Jan Karol Wende, którym w związku z zadaniem ustalonym w Moskwie stworzenia namiastki Jedności Narodowej przypadło w udziale formowanie burżuazyjno-lewicowych elementów w tym wachlarzu. Dobrano do tego Wincentego Rzymowskiego, przebywającego na Wołyniu i prof. Kulczyńskiego ze Lwowa. Nawiązanie w tym okresie do tradycji Klubów Demokratycznych i Stronnictwa Demokratycznego sprzed wojny było raczej niebezpieczne gdyż działaczy z owego okresu komuniści wciągali na czarną listę ,,agentów 2 Oddziału, szpiegów etc.''.

Po październiku te względy upadły w atmosferze tak zwanej ,,rehabilitacji'', z drugiej strony powstała konieczność szukania kontaktu z masami to jest popularności. W terenie okazało się, że nawiązanie do przeszłości, do starych działaczy, byłoby właśnie celowe, a więc pożądane z punktu widzenia realizmu politycznego. Nawiązanie do tradycji zostało przeprowadzone przez zorganizowanie uroczystego obchodu XX-lecia Klubów Demokratycznych, wmurowanie tablicy na Kamienicy Książąt Mazowieckich na Starym Mieście, gdzie zbierał się Klub Warszawski Michałowicza i Grzędzińskiego oraz przez otwarcie wystawy tego XX-lecia. Imprezy te noszą na sobie jednak tak wyraźne piętno kierowniczej ekipy tak zwanej ,,lubelskiej'', że zdeformowały obraz historyczny i minęły się z celem. Dopuszczono do takich absurdów, jak wyprowadzenie polskiego ruchu demokratycznego

z odezwy-plakatu ,,Polaków-czerwonoarmiejców" z 1919 roku nawołujących Polskę do przejścia na ich stronę, jak montaże fotograficzne sprzed drugie wojny światowej, mieszające w jednym tyglu Goeringa, Goebbelsa, Mościc kiego czy Piłsudskiego, z agitacyjnymi komentarzami-hasłami komunistycznych oficynek. A przy tym deklaracje Klubów Demokratycznych o zupełnie od miennym nastawieniu. Skutek wyszedł odwrotny. Tradycja, zamiast podtrzy mać teraźniejszość raczej ją skompromitowała. Realizm polityczny po paź dzierniku nakazywał przejść od fikcji (zwanej często tu fasadowością), do rzeczywistości. Struktura stronnictw politycznych w kraju jest odgórna, to jest nie wychodzi z podłoża publicznego, ale jest zawieszona na rusztowaniu rządowym, które jest w ręku PZPR. A więc tą drogą PZPR wyznacza fundusze państwowe na utrzymanie stronnictw ,,towarzyszących" a także określa procentowy udział tych stronnictw we władzach i organach życia publicznego, na co w nieznacznym tylko stopniu wpływać mogły liczebność i rozbudowa dołów partyjnych; ważniejsza była rola tak zwanego ,,aparatu" i ,,aparatczyków".

Ten system został zagrożony przez październik, w którym masy zawa żyły na sytuacji i na decyzjach samego PZPR. Wypełnienie próżni za partiami odciętymi od mas — tzw. ,,demokratyzacja" — stało się główną troską PZPR z tym jednak zastrzeżeniem, by doły nie mogły zaważyć na kierunku partii i nie zagroziły kierowniczej ekipie władzy. Tu sedno trud ności politycznych Gomułki, na którego spadło zadanie uratowania partii z październikowego kryzysu przez demokratyzację i równoczesną imunizację partii przed jej niebezpieczeństwami. To musi prowadzić do sprzeczności i pomieszania pojęć, a także do zakłamania i dezinformacji, które charakte ryzują obecny okres.

SD dostało również podobne zadanie — wzmocnienia szeregów. Pro blem ,,weryfikacji" to jest czystki ,którą przeprowadza u siebie partia PZPR aby wyeliminować elementy dynamiczne, które rozumieją zespolenie z lu dem, jako przyjęcie w samym założeniu rozbudowy ustrojowej miary moż liwości i wytrzymałości gospodarczej i fizycznej tego właśnie ludu, co pro wadzi do ostrej krytyki reżymu — dla SD nie istnieje. Nikt po paździer niku, z wyjątkiem Wacława Barcikowskiego, prezesa SD, nie poddał się ,,samokrytyce", nie przyznał się do odpowiedzialności za ,,okres błędów" stalinizmu czy beriowszczyzny i ekipa władz w stronnictwie pozostała na stanowiskach. Mimo zasadniczej zmiany sytuacji unikano tu jeszcze kon taktu z dołami, gdzie spotykały się zjawiska krytyki władz lub zniechęcenia oba jednakowo niebezpieczne. Odwleczono termin do ostatnich statutowych granic, a w międzyczasie sytuacja wewnętrzna zmieniła się na korzyść władz SD to jest w kierunku tak zwanego ,,zamordyzmu", likwidacji wszelkie krytyki (zamknięcie ,,Po prostu", ,,Czarno na Białym", ,,Europy", przy ciągnięcie cugli cenzury w prasie codziennej, filmie, teatrze), zwłaszcza od czasu wypuszczenia sputnika i wizyty Gomułki u Tito. W tych warunkach celem Zjazdu stało się przedłużenie mandatu kierowniczej ekipie na nowe trzy lata co w praktyce zapewni o wiele dłuższe korzyści, bo przed wygaś nięciem tego terminu skończy się kadencja Sejmu i tejże ekipie przypadn w udziale nowe wybory i nowe mandaty z odgórnie przeprowadzonego po działu.

Drugim celem zjazdu było znalezienie wyrazu dla ,,demokratyzacji" w nowych tezach programowych. Oczywiście tezy zostały ułożone w pełne

zgodzie z PZPR. Zarówno Gomułka w mowie na otwarciu zjazdu jak cała prasa PZPR w omówieniach uchwał podkreślili pełną zgodność postulatów SD z polityką programową PZPR. Do tych podstawowych należą na przykład uznanie przez SD, że PZPR jest napędową i kierowniczą siłą Polski, że SD „stoi na gruncie zasad odnowy październikowej, inicjowanej i prowadzonej przez PZPR, że zadanie swe określa jako „współudział" z PZPR i ZSL w budowie niepodległości Polski Socjalistycznej", słowem jest to akt hołdowniczy, zrzekający się wszelkiej samodzielnej roli.

Obrady były w tym właśnie prowadzone duchu, przemówienia krytyczne były gilotynowane, chociaż utrzymywano je w stylu bardziej niż umiarkowanym: mówcy nieraz nawet z góry przepraszali za swe krytyczne uwagi. Burzę wywołał jeden z nich, gdy w swej krytyce sytuacji wewnętrznej kraju oświadczył, że nie zasady socjalizmu temu są winne, bo w Czechach na przykład sytuacja jest nawet dobra, lecz fakt, że „durnie w Polsce robią socjalizm". Mówcy domagali się więcej samodzielności dla Stronnictwa, wychodząc z założenia, że „skoro odpowiadamy za błędy PZPR, to powinniśmy móc też wpływać by błędy się nie powtarzały" etc. Nawiązywano nawet do przemówienia Gomułki na otwarciu Zjazdu, że jest w polskiej rzeczywistości miejsce „na wszelkie twórcze poszukiwania i inicjatywy choćby szły nieraz torami myśli odmiennej". Jednakowoż ekipa kierownicza orientuje się w zwodniczej treści tych słów, za którymi idzie zastrzeżenie: „jeśli służą one zbogaceniu metod i dróg naszego wspólnego socjalistycznego budownictwa". Oczywiście arbitrem w tej sprawie jest nie kto inny jak PZPR, czyli samodzielność jest złudzeniem a wolność ogranicza się do „wolności robienia tak jak PZPR sobie tego życzy". Nieśmiało wystąpił jeden z delegatów, członków Centralnego Komitetu, w obronie wolności prasy żądając ustawy prasowej na miejsce arbitralnych rządów cenzury. W bardzo charakterystyczny sposób delegat ten zrobił zaraz zastrzeżenie, że oczywiście nie ma na myśli bronić warcholstwa prasowego, które by przeszkadzało w realizowaniu budownictwa socjalistycznego. Przypominało to tę banderię, która rzekomo wyjechała do Swarzędza na spotkanie jadącego do Poznania Napoleona, ale była ubrana w karnawałowe tureckie szaty i, zląkłszy się, by Napoleon nie wygarnął do nich, przez pomyłkę, z armat, wysłali do Cesarza delegację z wiernopoddańczym oznajmieniem: „Nie bój się Najjaśniejszy Panie, my nie Turki — my tylko Żydki swarzędzkie..."

Oświadczyny wzajemne Partii Stronnictwa na Zjeździe nie mają praktycznie wpływu na stosunek organów Partii i Stronnictwa w terenie. Tu, zamiast współdziałania na równej stopie Partia nie zrzeka się rozkazodawstwa — podkreślają to niemal wszyscy sprawozdawcy gdy mówią o wojewódzkich czy powiatowych „komisjach porozumiewawczych".

W układzie między Partią a Stronnictwem zasadniczą rzeczą jest rozgraniczenie strefy wpływów politycznych, pojęcie zgoła nieznane poza blokiem państw układu warszawskiego. Każda partia jest zazwyczaj wolna w zdobywaniu sobie adeptów w całym kraju, a nawet partii komunistycznej pretendującej do wyłączności klasowej, nikt nie przeszkadza w organizowaniu kół inteligencji społecznie do klasy robotniczej nie należącej. W Polsce — inaczej. Tu obowiązuje pojęcie partii, jako reprezentującej pewną klasę.

Ponieważ w bezklasowym społeczeństwie klas nie ma zastępuje się je śro dowiskami. W ten sposób Stronnictwo Ludowe (z nim łatwiej) dostało wieś a SD — rzemiosło i inteligencję. Układ ten obowiązuje tylko Stronnictw jako zakaz propagandy w innych środowiskach ale PZPR organizuje sw koła zarówno wśród inteligencji jak i rzemiosła. Stosuje nieraz ostre sankcj przeciw inteligentom zawodowym w zakładach przemysłowych jeśli należ do kół SD zamiast do PZPR. Sankcje idą aż do pozbawienia pracy.

Przed październikiem, gdy rzemiosło było tępione, była to pozycj martwa; po październiku, gdy rzemiosłu zostały przywrócone honory i mie sce w gospodarce, ten sektor SD ożywił się. Przywrócone do życia rzemic sło znalazło się w sytuacji zakłamania i braku linii politycznej: delega podkreślają fakt ciężkiego opodatkowania rzemieślników, obciążania ic wysokimi czynszami, dyskryminacji pomiędzy rzemieślnikami stref wiejskic i miejskich a w końcu perfidnej polityki dostaw surowca, gdy jest zmono polizowany przez państwo. Są wówczas dwie taryfy na surowiec. Jedn dla przemysłu państwowego czy uspołecznionego, druga dla sektora prywa nego. Różnice są takie jak 16 i 100 zł., 48 i 78 zł., 400 i 1.250 zł., etc

Polityka handlu (importu) zagranicznego nie troszczy się o interes rze mieślnika. Delegaci podkreślają nastrój tymczasowości jaki zapanował na tyn odcinku: mimo bardzo poważnych już osiągnięć na tym polu, proces te został zahamowany. Zresztą cofnięcie się od październikowych uchwał czuj się wyraźnie. Na przykład ustawa z dnia 15 listopada 1956 roku o odszko dowaniu obywateli i zwrocie skonfiskowanych w swoim czasie warszta tów prywatnych już w wykonaniu — została uchylona.

Ciekawe są tablice składu osobowego Stronnictwa według cyfr poda nych przez sekretarza generalnego Leona Chajna: 68 procent członków st nowi inteligencja, 31% rzemiosło i drobny handel prywatny i 1% mło dzież. Świadczy to, że młodzież jest przez Stronnictwo zaniedbana i do się nie garnie. Jest to dla Stronnictwa memento mori. W tym jest oczywiści pewna myśl ukryta: PZPR robi olbrzymie wkłady w młodzież. Utrzymuj dla niej gmachy, świetlice, kluby, prasę i całe organizacje, nie dopuszcz do formowania organizacji młodzieży demokratycznej. Takie organizacje zo stały rozwiązane, gdy stawiały pierwsze kroki w czasie wyborów na Sejm

Uniemożliwienie ruchu młodej demokracji stawia już nie tylko rzemic sło, ale i całe Stronnictwo pod znakiem tymczasowości.

Obrona interesów inteligencji zawodowej jest również niełatwa. 78% nauczycieli pobiera zaledwie 998 złotych miesięcznie i od października star się bezskutecznie o poprawę bytu, gdy tymczasem w zakresie cen towarów stosowana jest tak zwana „zwyżka bez wstrząsów", to jest utajona, be ogłaszania, a często przez pogarszanie jakości towaru. Z wstrząsem czy bez warunki bytu pogarszają się. Zafałszowanie na tym polu wzmaga poczuci niepewności, które przypomina już bardzo przedpaździernikowy stan umy słów. Trudno sądzić czy po Zjeździe SD ma szanse poprawienia swej sytua cji i czy „tezy" pomogą mu zdobyć członków. Między teorią i praktyką deklaracjami Gomułki, a utrudnieniami w terenie ze strony PZPR są i będ sprzeczności, a już dziś wiadomo, że Partia nie pozwala SD przyjmowani członków usuwanych z Partii. Prognostyki demokratyzacji dalekie są o optymizmu w czasie „dyktatury demokracji".

Ostrzeżenie

Przypadkiem wpadł nam do rąk numer pisma pod tytułem „Po Prostu", oznaczony jako Nr 1, datowany: Warszawa, dnia 30. I. 1958 roku, składający się z dwóch stron druku. Artykuł wstępny zaczyna się od słów:

„Przyjaciele! Tygodnik Wasz jest zakazany. Nasunęła nam się więc myśl ponowić jego wydanie w Wolnym świecie. Nie jako pisma emigracyjnego, lecz Waszego własnego. Czasopisma, w którym Wy będziecie wykładać swoje idee, które się będzie wśród Was rozpowszechniać — z rąk do rąk — które będzie służyło sprawie Waszej wolności".

Artykuł ten jest podpisany przez NTS, Sztab Główny. NTS to Narodowy Związek Pracy rosyjskich tzw. solidarystów, mający swoją siedzibę w Niemieckiej Republice Federalnej.

Sprawy emigracji rosyjskiej są nam zupełnie obce. Jej drogi były tragiczne i zawiłe, znaczna jej część, szukając za wszelką cenę sojuszników, sądziła przez czas pewien, że znalazła ich w ruchach faszystowskich, inna część ulegała w końcowej fazie ubiegłej wojny nastrojom dumy na widok chwały rosyjskiego oręża. Nie będziemy się tutaj zastanawiać nad niemniej zawiłymi ścieżkami solidarystów. Jakkolwiek zarówno charakter nazwy jak termin „sztab główny" nasuwają niezbyt miłe skojarzenia. Chodzi nam o zasadę.

Jesteśmy przeciwnikami działalności agenturalnej tj. takiej, w której odpowiedzialność za dane czyny jest nie do wyśledzenia. Dawaliśmy temu niejednokrotnie wyraz, chociażby z okazji afery Bergu. Los jakiegoś narodu nie może być igraszką w ręku ludzi, którzy, stawiając sobie cele, traktują taką czy inną grupę ludzką wyłącznie jako środek. Dotyczy to zarówno osób tej samej narodowości jak cudzoziemców, zwykle przy tym słabo zorientowanych w specyficznych cechach środowiska, jakim chcą się posłużyć.

W naszej pracy staraliśmy się unikać metod nasuwających niejasne podejrzenia. Dążyliśmy zawsze do takiej sytuacji, w której czytelnik krajowy, biorąc do ręki nasze pismo czy książki przez nas wydane, mógłby być pewny, że ma do czynienia nie z prowokacją ani z działalnością obcych wywiadów, ale z głosem ludzi niezależnych, liczących się z interesem dwudziestu ośmiu milionów Polaków. Potrafilibyśmy zresztą wiele opowiedzieć o próbach włączenia się w nasz dialog z czytelnikiem krajowym, robionych kilka lat temu przez tajemnicze instytucje działające anonimowo, w formie chociażby korsarskiego przedruku naszych tekstów, a nawet zrzucania ich na spadochronach. Nasza linia była jednak jasno określona przez polskie warunki. Działamy otwarcie. Za swą działalność bierzemy pełną odpowiedzialność. To nasze stanowisko upoważnia nas do zabrania głosu na temat podrobionego tygodnika.

Wydany w Niemczech numer „Po Prostu" jest na poziomie dziecinnym. Pomijając nawet język obficie usiany gramatycznymi błędami, jest to zwykła anty-komunistyczna gazetka, świadcząca, że jej redaktorzy mają słabe pojęcie o charakterze dyskusji toczonych w Polsce. Nie ratują jej fragmenty z książki Dżilasa (redaktorzy nie wiedzą, że istnieje ona w przekła-

dzie polskim). Najwyraźniej publikacja nie jest przeznaczona dla dawnych czytelników „Po Prostu". Stanowi jednak niemiłą dywersję, ale niemiłą tylko dla młodej polskiej lewicy, którą usiłuje skompromitować.

Jesteśmy niewątpliwie zwolennikami przyjaźni pomiędzy narodem polskim i rosyjskim. Uważamy ją nawet za konieczną. Sprzymierzeńców jednak widzimy w tej części młodej inteligencji rosyjskiej, z którą młoda inteligencja Warszawy i Krakowa, Poznania i Wrocławia łatwo uzyskuje porozumienie. Mamy szacunek dla tych Rosjan, którzy — wiemy to — z bólem przyjęli akcję tanków na Węgrzech. Natomiast zamiary pokierowania z zewnątrz rzeczywistą dynamiką przemian, jaka jest w Rosji, jak to robi NTS, budzą w nas tę samą nieufność co numer pseudo „Po Prostu".

Nowe pismo wzywa do nadsyłania „artykułów, listów, życzeń i odgłosów". Wypada stanowczo ostrzec lekkomyślnych przed współpracą z organem, nad którym nie mogą mieć moralnej kontroli. Prosimy krajowych czytelników „Kultury", aby rozpowszechniali to ostrzeżenie.

Być może ten drobny fakt skłoni do refleksji czynniki zajmujące się w Polsce cenzurą oraz nakładaniem embarga na periodyki i książki emigracyjne. Ostatecznie, zwykle tak bywa, że gdzie nie ma otwartej dyskusji, usługi swoje ofiarowują „specjaliści" od podziemnej roboty.

REDAKCJA

Najnowsza historia Polski

Więzienie sowieckie (dok.)

DROGA POWROTNA NA ZACHÓD

Jeden ze znajomych, którego poznałem w Buzułuku, oświadczył mi, że jest zdecydowany wracać do kraju. Człowiek ten przeszło rok był w obozie pracy nad Pieczorą i stamtąd przedostał się do Moskwy, a obecnie był w Buzułuku. Miał duże doświadczenie w poruszaniu się po Rosji Sowieckiej i szereg dokumentów, które były dobrą legitymacją w razie potrzeby. Ja, jako jedyny dokument, miałem paszport zagraniczny polski, wydany mi przez ambasadę w Moskwie, nie wizowany przez Sowiety. Zresztą żadnych innych dokumentów czy to polskich czy sowieckich nie posiadałem. Przy dokumentach jednak mego towarzysza powinno to było przypuszczalnie wystarczyć. Postanowiliśmy razem jechać i zależnie od okoliczności, albo przeczekać gdzieś na przyjście wojsk niemieckich, albo też przejść przez front.

Na bazarze udało mi się kupić wysokie buty, moje bowiem obuwie było w rozpaczliwym stanie. Zapłaciłem za liche buty 500 rubli. Prowiantu na drogę mogliśmy wziąć tylko bardzo mało, trochę chleba.

Dnia 27 października kupiliśmy bilety do Kujbyszewa i siedliśmy do pociągu, który szedł w zasadzie do Moskwy. Ruszając w drogę liczyłem, że wobec ewakuacji i związanego z tym nieładu, uda mi się przejechać przez Rosję Sowiecką. Liczyłem też, że Niemcy nie będą mi czynili trudności z powrotem do kraju. Na emigrację iść nie chciałem, a praca w kancelarii intendentury także mi nie odpowiadała. Sądziłem, że w kraju będę mógł być bardziej pożyteczny. Zdawałem sobie sprawę, że mam przed sobą ciężką i ryzykowną drogę, lecz że za to prowadzi mnie ona do kraju. Ściśle przemyślanego planu odbycia tej drogi nie miałem. Liczyłem, że w strefie przyfrontowej wy-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

padnie mi przeczekać kilka dni, aż zostanę zajęty przez wojska niemieckie. Takie rozwiązanie uważałem za najpomyślniejsze.

W drodze okazało się, że jedziemy tym samym pociągiem, w którym odbyliśmy podróż z Moskwy do Buzułuku. Pociąg ten doszedł do Taszkientu, a obecnie wracał. Każdy wagon osobowy w Sowietach posiada przewodnika, funkcja, której nie ma w Europie poza wagonami sypialnymi. Przewodnik poznał nas i przywitał bardzo życzliwie, objaśnił, że pociąg idzie do Penzy. Czy dalej pójdzie tego jeszcze nie wiadomo. W każdym razie do Penzy możemy dojechać. Wagon był prawie pusty. Na Zachód nikt nie jechał. Natomiast pociągi w odwrotnym kierunku były przepełnione i to zarówno osobowe jak i towarowe. Mieliśmy dużo miejsca, mogliśmy się położyć na ławce i spać. W nocy była kontrola dokumentów. Zjawił się przedstawiciel NKWD i sprawdzał dowody osobiste mego towarzysza. Dowiedział się, że jedziemy do Kujbyszewa do polskiej ambasady. Mnie nie budził i dokumentów nie sprawdzał. Rano stanęliśmy w Kujbyszewie. Kupienie biletów do Penzy było niemożliwe, ze względu na szalony tłok przy kasie. Zdecydowaliśmy się jechać dalej bez biletów. Zjedliśmy resztę naszych bardzo skromnych zapasów i pociąg ruszył w dalszą drogę. Przewodnikowi powiedzieliśmy, że biletów nie mogliśmy kupić. Nasze oświadczenie przyjął do wiadomości. Jechaliśmy do Syzrania.

Niedaleko Kujbyszewa przejeżdżaliśmy obok wielkich obozów pracy. Obozy te budują olbrzymią elektrownię na Wołdze, szereg fabryk przemysłu wojennego, tamę na Wołdze, oraz kanał przecinający kolano, które Wołga tworzy pod Kujbyszewem. Elektrownia i część fabryk jest już w ruchu. Z okien wagonu widziałem wielkie gmachy zakładów przemysłowych, otoczone drutem kolczastym i strażnicami, miasteczko baraków dla więźniów, a nawet pracujących przy torze skazańców. Tu widziało się jak na zupełnym pustkowiu, pracą więźniów powstają giganty socjalistycznego budownictwa. Cały Kujbyszew jest okolony obozami pracy, które są rozłożone wzdłuż Wołgi, od Syzrania aż do wylotu nowego kanału. Tu powstaje nowy potężny ośrodek przemysłu wojennego Sowietów. Obozy pracy przeprowadzają też regulację Wołgi, aby uczynić ją żeglowną dla okrętów morskich. Jest to ogniwo rozbudowy dróg wodnych w Sowietach. Projekt przewiduje połączenie 4-rech mórz kanałami: Bałtyku, Morza Białego, Czarnego i Kaspijskiego. Ten gigantyczny plan częściowo już wykonano pracą więźniów, przez przeprowadzenie kanału od Bałtyku do Morza Białego i kanału od Oki do Wołgi przez rzekę Moskwę i obecnie prowadzone prace regulujące Wołgę.

W Syzraniu stanęliśmy wieczorem. Było tu dużo wojska, a nad Wołgą przeprowadzano prace fortyfikacyjne. Szykowano nową linię obronną na wypadek, gdyby trzeba się było cofnąć. Wszystko co się dało, ewakuowano i wywożono z zachodu za Wołgę. Już w Syzraniu widziałem zwalone na rampę kolejową

maszyny ewakuowanych zdemontowanych fabryk, które tu rdzewiały i niszczały, przedstawiając w tym stanie tylko wartość szmelcu. W Syzraniu mój towarzysz wysiadł celem kupienia czegoś do jedzenia, byliśmy bowiem bardzo głodni, a spodziewaliśmy się, że pociąg stać tu będzie kilka godzin wobec zawalenia dworca pociągami ewakuacyjnymi, które szły dalej na wschód wywożąc ludzi i maszyny. Niespodziewanie, po krótkim postoju pociąg ruszył i zatrzymał się dopiero parę kilometrów dalej, przy wyjeździe ze stacji. O tym towarzysz mój nie wiedział, byliśmy więc rozdzieleni. Dalej do Penzy pojechałem już sam. W Syzraniu wagon się zapełnił. Zrobiło się ciasno. Do Penzy jechałem 24 godziny i dopiero wieczorem stanąłem na miejscu. Tu miałem oczekiwać na mego towarzysza. W drodze nic nie jadłem, bo nic kupić nie było można. Przed Penzą zjawił się konduktor by sprawdzić bilety. Była to pierwsza kontrola od Buzułuku. Biletu nie miałem, kazano mi więc zapłacić 19 rubli i na następnej stacji wysiąść. Moje dokumenty nie były w ogóle kontrolowane w czasie całej drogi. NKWD funkcjonowało tylko do Wołgi, dalej na zachód już się przedstawicieli tej instytucji nie widziało po stacjach. Urzędowała tylko milicja. Pod względem bezpieczeństwa podróż okazała się więc łatwiejsza niż przypuszczałem. Wszędzie widać było dużo wojska.

Było już zupełnie ciemno gdy przyjechałem do Penzy. Stacja była zaciemniona. Obawiano się już tu nalotów. Przedostałem się na dworzec i chciałem iść do bufetu. Był zamknięty. Miano go otworzyć dopiero za dwie godziny. Musiałem czekać przed wejściem. Zaczął się gromadzić tłum oczekujących na otwarcie jadłodajni. Zostałem tak zgnieciony i byłem tak głodny i zmęczony, że straciłem przytomność. Dzięki temu wpuszczono mnie do sali i dano wody. Za chwilę otwarto bufet i zaczęto wydawać gulasz z kaszą i po 200 gr. chleba na osobę. Po kolacji poinformowano mnie, że na górze są sale dla pasażerów tranzytowych. Tłok na dworcu był ogromny. Biletu nie miałem, więc nie miałem prawa przebywać na dworcu, a tym bardziej iść do sali dla tranzytowych pasażerów, ale mój polski paszport, którego nikt nie rozumiał, wyglądał bardzo solidnie, robił wrażenie i wszędzie mnie puszczano bez trudności. Położyłem się na podłodze w sali, gdzie w ten sposób nocowało paręset osób w tym wielu żołnierzy, i spałem.

Rano zacząłem się rozglądać po dworcu. Penza to duży węzeł kolejowy. Stacja zawalona była pociągami z ludźmi i maszynami. Maszyny były zwalone na plotformy wagonów i niczym nie przykryte. Przypuszczam, że przedstawiały już tylko wartość szmelcu. Ludzie jechali w tzw. Tiepluszkach, to znaczy w wagonach towarowych z piecykiem żelaznym. To byli uprzywilejowani. Inni jechali w zwykłych wozach, a bardzo wielu na otwartych platformach, na maszynach lub czepiając się wagonów. W nocy było już zimno, a i dniem na otwartej platformie też było trudno wytrzymać. Nieszczęśliwi ci ludzie jechali w ten sposób całe tygodnie na wschód za Wołgę w nieznane,

na tułaczkę i nędzę. Część były to załogi ewakuowanych fabryk. Widziałem także pociągi, w których wieziono porządnie opakowane maszyny, przykryte brezentami. Były to całe fabryki, które wraz z załogami ewakuowano. Myślę, że tylko mała część ewakuowanych fabryk będzie mogła być w krótkim czasie uruchomiona. Ogromna większość po zdemontowaniu i transporcie na otwartych platformach nie przedstawia żadnej już wartości.

Na dworcu były tysiące ludzi, częściowo byli to ewakuowani z zachodu, którzy czekali na dalszą ewakuację na wschód, przeważnie kobiety, dzieci i starcy. Mężczyzn w sile wieku wcielono do wojska. Tłum ten mieścił się w specjalnym baraku przy stacji. Sam dworzec był pełen podróżnych także ewakuowanych, lecz mających bilety lub dokumenty na dalszą drogę, oraz żołnierzy, którzy jechali w różnych kierunkach. Część żołnierzy należała do rozmaitych transportów, a część jechała samodzielnie. Na stacji widziałem tylko jednego przedstawiciela NKWD. Dokumenty sprawdzał personel stacji, głównie kobiety, przy wejściu i wyjściu z dworca. Jadałem w bufecie nieodmienny gulasz z kaszą i chlebem, czekając zawsze na swą porcję po parę godzin. Na dworcu spotkałem też paru Żydów polskich, których wcielono z mobilizacji na terenach okupowanych do armii sowieckiej. Obecnie przedostać się chcieli do Buzułuka. Odbyli już najdziwaczniejsze wędrówki po Rosji i poinformowali mnie, że bardzo dobrze można podróżować wędrując od kołchozu do kołchozu, że można się tam przeżywić i że dokumentów nikt nie sprawdza. Była to ważna i cenna wiadomość. Spotkałem też Polaka z Białegostoku, który był także poprzednio zmobilizowany, a obecnie jechał przed siebie. Poinformowałem go o Buzułuku i o tworzącej się Armii Polskiej. Postanowił przedostać się do polskich oddziałów.

Poszedłem w Penzie na bazar, gdzie podobnie jak w Buzułuku można było kupić nabiał, mięso i jarzyny, ale po znacznie wyższych cenach. Pieniądze traciły swą wartość z dnia na dzień. Napiłem się mleka i zjadłem parę jajek, chleba nie dostałem ani na bazarze, ani w mieście i wróciłem na dworzec. Wieczorem przyjechał mój towarzysz, który doganiał mnie towarówkami. Nocowaliśmy razem w sali tranzytowych pasażerów. Następnego dnia zjedliśmy śniadanie na bazarze i dzięki zawartym znajomościom i dokumentom mego towarzysza otrzymaliśmy chleb. Kupiliśmy następnie bilet na pociąg podmiejski, który szedł na zachód do Titowa. W pociągu jechały przeważnie baby, które przywoziły produkty na bazar, obecnie wracały. Wyjechaliśmy koło południa, a późnym wieczorem byliśmy w Titowie. Tu znów nocowaliśmy na dworcu i o świcie dostaliśmy towarówkę, która szła dalej na zachód. O dokumenty nikt nas nie pytał. Pociąg był zupełnie pusty.

W wagonie, do którego wsiedliśmy jechali ludzie, którzy, podobnie jak my, jechali na zachód do domu. Jechali też żołnierze, ci oczywiście twierdzili, że jadą do swych oddziałów, na front. Nikt się zbytnio nie wypytywał dokąd kto jedzie, bo

wszyscy byli bardziej lub mniej nie w porządku. Jechaliśmy cały dzień; po drodze udało się nam kupić coś nie coś do jedzenia. O dokumenty nie pytano. NKWD po stacjach nie było, jazda była bezpieczna, nabraliśmy pewności siebie. W razie czego, a mogło się to tylko zdarzyć na stacji, mieliśmy gotowe tłumaczenie, że jedziemy do Buzułuku. Po drodze udało się nam kupić 10 paczek machorki. Był to duży sukces, mieliśmy towar wymienny na chleb i mieliśmy czym częstować towarzyszy podróży, co bardzo upraszczało i ułatwiało stosunki. Wieczorem dojechaliśmy do Morszańska. Było zbyt zimno jechać dalej, należało też coś zjeść. Poszliśmy na stację, zjedliśmy znowu w bufecie sakramentalny gulasz z kaszą i wyszukaliśmy sobie miejsce na podłodze do spania, przywiązawszy się do walizki. Tłok na dworcu był olbrzymi i bardzo ściśnięci przespaliśmy do rana.

Rano ruszyliśmy w dalszą drogę, znów towarówką. Okazało się, że jeden za drugim idą na zachód zupełnie puste pociągi po ewakuujących się. W czasie całej drogi spotkaliśmy tylko jeden pociąg amunicyjny idący na zachód, wszystkie inne były puste i miały zabierać ewakuowane fabryki. Pociągi na wschód były wyłącznie ewakuacyjne, lub sanitarne. Mogliśmy stwierdzić, że ewakuowana jest Tuła i jej wielkie zakłady przemysłu wojennego. Czy Tuła jest już zajęta przez wojska niemieckie czy nie, dowiedzieć się nie mogłem. W czasie podróży gazet nie czytałem, bo ich nie mogłem dostać. W Buzułuku w sztabie wywieszano komunikat, który podawał komunikat angielski i najważniejsze wiadomości polityczne. Teraz byłem wiadomości pozbawiony, a wśród ludzi krążyły najdziksze wersje i trudno było ustalić coś pewnego. Jedno było jasne, że Sowiety przygotowane są ewakuować cały teren na zachód od Wołgi, oraz że wojska niemieckie podeszły już bezpośrednio pod Moskwę.

W podróży orientowałem się na podstawie mapy Rosji, którą miałem ze sobą. Jechaliśmy do Riażska i tam mieliśmy zdecydować co dalej robić. Z Buzułuka do Riażska mieliśmy przejechać ponad tysiąc kilometrów. Po drodze spotykaliśmy wzdłuż toru pędzone stada bydła. Były to ewakuowane kołchozy i sowchozy. Stada karmiły się po drodze tym co było po polach. Ciągnęły też na wschód sznury wozów. Pola były przeważnie nie sprzątnięte, zboże stało jeszcze na pniu lub leżało na pokosach, względnie w snopach. Więcej jak połowa pól była nie sprzątnięta. Zasiewów jesiennych prawie nie zrobiono. Orki były dokonane tylko w małych procencie i jak mogłem stwierdzić, bardzo źle. Wszystko robiło wrażenie, że Sowiety cały kraj po Wołgę są zdecydowane oddać i bronić się będą dopiero na Wołdze. Za Wołgą wszystko funkcjonowało mniej więcej normalnie, choć i tam bardzo znaczna część urodzajów była nie zebrana. Na zachód od Wołgi, w miarę jak posuwaliśmy się w tym kierunku, ewakuacja przybierała coraz większe roz-

miary. Na stacjach i po miastach coraz trudniej było dostać cokolwiek do jedzenia, a pieniądze utraciły wszelką wartość.

Wieczorem przyjechaliśmy na jakąś stację, która miała bufet. Postanowiliśmy tu nocować. Nadspodziewanie dostaliśmy tu po parę kawałków pieczonej gęsi i znaleźliśmy miejsce do spania na podłodze. Był to pierwszy spotkany dworzec, na którym nie było przepełnienia. Dopiero w czasie nocy napłynęli podróżni i wypełnili szczelnie poczekalnie stacyjne. Zjawiła się też grupa kilkudziesięciu dziewiętnastoletnich chłopaków powołanych do wojska. Zaczęli robić awantury i przyczepiać się do podróżnych. Przyczepili się i do mnie. Wzięli mnie za Żyda i zaczęli wymyślać, że Żydzi sprzedali Rosję, że oni są winni klęsce itd. Takie głosy słyszałem już po drodze. Nie było NKWD, więc ludzie śmiało wymyślali i przypisywali klęskę wojenną Żydom, którzy rządzą Rosją. Ataki stawały się coraz bardziej natarczywe i położenie zaczynało być niebezpieczne, trzeba było decydować się. Zwróciłem się wobec tego do posterunku milicji, oświadczyłem, że jadę do Buzułuka i jestem atakowany. Milicja natychmiast wystąpiła i wzięła mnie w obronę. Miałem spokój i mogłem spokojnie zjeść w bufecie śniadanie, tę samą gęś co wieczorem.

Gdy nadszedł pociąg towarowy idący na zachód pojechaliśmy dalej i wieczorem stanęliśmy w Riażsku. Jest to wielki węzeł kolejowy z obszernym dworcem, który był przepełniony ludźmi. Z trudem znaleźliśmy miejsce do spania na podłodze i coś do jedzenia. Byliśmy zdecydowani jechać dalej w kierunku Tuły, trzeba się było tylko zorientować w pociągach, które szły w różnych kierunkach i z dworców osobowego i towarowego. Rano zaczepiła nas milicja. Kazano się nam legitymować. Sytuacja była nieprzyjemna. Przyprowadzono nas do biura i zaczęto rozpatrywać nasze dokumenty. Dokumenty mego towarzysza uznano za wystarczające. Co do mego paszportu miano wątpliwości, ale wobec tego, że jechaliśmy razem, a politycznych czynników NKWD na stacji nie było, puszczano nas wolno. Szczęśliwie nawinął się pociąg podmiejski, który szedł w kierunku Tuły. Postanowiliśmy skorzystać z okazji i jechać w tym kierunku. Pociąg był pełen pasażerów, ale nie przepełniony. Wlókł się jeszcze wolniej jak towarówki i stał godzinami po stacjach. W pociągu mówiono, że Tuła jest wzięta, co było nieprawdą. Minął dzień, nastąpiła noc, nikt nie wiedział jak daleko pociąg dojdzie.

PIESZA WĘDRÓWKA PO KOŁCHOZACH

O świcie przyjechaliśmy do stacji Uzłowaja. Pociąg dalej nie szedł. Była to stacja węzłowa położona 40 km na wschód od Tuły, a więc w obrębie przemysłowego okręgu moskiewskiego. Jest to stary okręg przemysłowy, związany z pokładami węgla brunatnego i złożami rud. Te złoża, jeszcze za carskiej Rosji, stały się podstawą rozbudowanego przemysłu wojenne-

go, którego centrum stanowiła Tuła. Za czasów sowieckich powstało wiele nowych zakładów przemysłowych, a stare bardzo znacznie rozszerzono i zmodernizowano, tak że okręg moskiewski jest jednym z bardzo ważnych ośrodków przemysłu wojennego sowieckiego i musi być stawiany na równi z Zagłęgiem Donieckiem, Okręgiem Uralskim i Okręgiem Leningradzkim. W danej chwili znaczna część tego okręgu była już w posiadaniu wojsk niemieckich, a pozostała część bezpośrednio zagrożona. Zarówno Tuła jak i inne ośrodki przemysłowe były gwałtownie ewakuowane, a wielkie giganty przemysłu rozmontowywane, czyli praktycznie niszczone.

Stacja była ewakuowana. Podobnie jak i dworzec, który był pusty. W poczekalni było zaledwie kilkanaście osób, które z nami przyjechały. Tu przeczekaliśmy aż zrobił się dzień i wyszliśmy na osiedle, aby poszukać jakiejś jadłodajni. Okazało się, że wszystko jest zamknięte. Przez osiedle przechodziły liczne drobne oddziały wojskowe, a okolica stacji nosiła ślady bombardowań lotniczych. Wszystkie domy kolejarzy były zamknięte i puste, i nigdzie nie można się było ukryć, ani też dostać cokolwiek do jedzenia. Zaczęto nas nadto legitymować. Było to nie groźne, ale mogliśmy być zaczepieni przez patrol polowy NKWD, a wtedy mogło być niedobrze. Od mieszkańców dowiedzieliśmy się, że wojska niemieckie stoją o 16 km od stacji, w Didłowie. Należało się stąd jak najszybciej ulotnić i iść na wieś. Legitymujący nas patrol wojskowy polecił nam iść do komendy placu. Tak też zrobiliśmy, chcieliśmy się czegoś dowiedzieć, zyskać na czasie, nadto uzyskać legitymację pobytu oraz zdobyć prowiant.

Na komendzie placu oświadczyliśmy, że jedziemy do Buzułuka i prosiliśmy o przydzielenie nas do transportu i zaopatrzenie w prowiant. Prowiant nam wydano i wskazano transport, którym mamy odjechać. Z komendy placu poszliśmy ku torom kolejowym, aby zobaczyć, gdzie stoją wagony transportu, do którego nas przydzielono. Po drodze zaczepiła nas żandarmeria polowa. Zaprowadzono nas do biura i zaczęto legitymować. Fakt że byliśmy już na komendzie placu i należymy do transportu wyjaśnił położenie. Poddano nas jednak rewizji, zabrano nam mapę Rosji, którą mieliśmy ze sobą i puszczono wolno. Był to niewątpliwie najniebezpieczniejszy moment w naszej podróży. Skończył się bardzo szczęśliwie. Nasza bezczelność zgłoszenia się na komendę placu i pobrania prowiantu ocaliła nas. Udaliśmy się do stołówki, którą właśnie otwarto. Była 11-ta rano. Stołówka, podobnie jak wiele innych budynków, miała wszystkie szyby wybite. Tu otrzymaliśmy zwykły gulasz z kaszą.

Na nasze szczęście przyszedł nalot lotniczy. Zarządzono alarm. Korzystając z zamieszania, po opuszczeniu stołówki szybko poszliśmy wzdłuż toru naprzód, aby wyjść z osiedla. Dzień był pochmurny. Zdawało się nam, że idziemy na zachód, w rzeczywistości szliśmy na południe. Wkrótce byliśmy poza

osiedlem, które było silnie bombardowane. Bomby zapaliły skład z benzyną i magazyn płonął. Za osadą zaczepił nas posterunek wojskowy, który łatwo dał się przekonać. Wkrótce zaczepił nas drugi posterunek. Z tym wdaliśmy się w rozmowę. Żołnierz otrzymał machorkę, zapaliliśmy i dowiedzieliśmy się, że niedaleko stoją Niemcy, że tu stoi sowiecka artyleria, a że on stoi jako zasadzka. Istotnie zasadzka była groźna dla następujących wojsk niemieckich. Dalszy marsz torem uznaliśmy za niebezpieczny, skręciliśmy więc w bok od toru i ruszyliśmy polami na przełaj. Doszliśmy do samotnie stojącej chaty. Chata była pełna uciekinierów, którzy czekali na przyjście Niemców, aby następnie wrócić do domu. My również zamierzaliśmy zrobić to samo. Powiadomiono nas, że niedaleko stąd jest wioska, że żadnego wojska tam nie ma i że tam znajdziemy nocleg. Tak też uczyniliśmy. Przez pola doszliśmy do niewielkiego kołchozu i znaleźliśmy chatę gdzie można było nocować.

Chata, jak ogromna większość chat Wielkorosji, była jednoizbowa z obszerną sienią, która była równocześnie pomieszczeniem dla krowy i składem. W izbie stał ogromny piec, na którym koncentrowało się życie rodzinne. Spano za piecem i na piecu. W chacie zastaliśmy gospodynię, starą babę, trzech podrostków i brata gospodyni, robotnika z pobliskiej fabryki z żoną. Po zawarciu znajomości i zdobyciu sobie zaufania, co przyszło nam, jako Polakom, łatwo, robotnik poinformował nas, że front na tym odcinku jest bardzo słabo obsadzony, wojsk sowieckich w okolicy prawie nie ma i że idąc wsią, bez większych trudności dostaniemy się do wojsk niemieckich. Z naszej strony mówiliśmy prawdę, że jesteśmy Polakami, że zostaliśmy wywiezieni z kraju, że chcemy wrócić do domu, to budziło do nas zaufanie i było zrozumiałe.

Zrobiła się tymczasem zima. Spadł śnieg i zaczął chwytać mróz. Postanowiłem możliwie długo przeciągnąć pobyt w tej chacie, w nadziei, że wojska niemieckie przed zimą zajmą węzeł kolejowy Uzłowaja, jako ważny punkt strategiczny. Wojska niemieckie były oddalone wszystkiego o 16 km od tego węzła. Wieczorem zobaczyliśmy w Uzłowej wielki pożar. Okazało się, że płonie elewator zboża z zapasem 25 tys. ton, podpalony przez bolszewików. Ludności chcącej ocalić trochę zboża, nie dopuszczano. Byli nawet zabici wśród tych, którzy rzucili się, by ratować płonące zboże. Podpalenie elewatora upewniło mnie, że bolszewicy mają zamiar oddać ten węzeł kolejowy.

Na kolację gospodyni ugotowała szczy na mięsie: we wszystkich kołchozach ludność wyrzynała bydło, aby je ocalić przed rekwizycją. To samo zjawisko obserwowałem w czasie całej podróży, wszędzie było bardzo dużo mięsa. Bardziej na wschód główną przyczyną był brak paszy na zimę, tu, obok tego czynnika, działała jeszcze obawa przed rekwizycjami. Na noc posłano nam na podłodze. Słomę gospodynie przyniosła z pola. Było to nie zebrane zboże, które leżało w snopach. Tym zbożem palono także w piecu. Było zrośnięte i nie przedstawiało już żad-

nej wartości. Wówczas, gdy zboże nie było jeszcze zmarnowane, mimo że pole przylegało bezpośrednio do wsi, ludzie nie mogli go zebrać i znieść do chat. Zboże należało do kołchozu, który pól nie uprzątnął. Obecnie zarządu kołchozu już nie było, ewakuowano go na wschód. To co zostało z bydła wyrżnięto, nieliczni tylko chłopi zachowali swe krowy. Pozostały majątek kołchozu, a więc niewymłócone zboże w stertach, dzielono między członków kołchozu. Znajdowałem się w najbogatszej części Wielkorosji, w centrum wielkiego przemysłu wojennego z masą kopalń i zakładów przemysłowych rozrzuconych po całej okolicy. Glebę stanowił czarnoziem niezmiernie urodzajny. Można więc było oczekiwać, że rolnictwo powinno w tych warunkach dobrze się rozwijać i że urodzaje w tych warunkach musiały być lepsze aniżeli w okolicach nieuprzemysłowionych i o gorszych glebach. Na polu widziałem leżące snopy. Obecnie przyjrzałem się dobrze samemu zbożu. Było to niskie żytko, o małym, krótkim, cienkim kłosie. Z hektara nie można było oczekiwać większego plonu jak 10-12 q metr., gdy normalny urodzaj w tych warunkach, przy jakiej takiej uprawie i ziarnie siewnym, powinien być co najmniej dwa razy większy. Podobnie wyglądały i inne urodzaje, które widziałem na polu.

Moi gospodarze, jak na stosunki sowieckie, żyli dostatnio, mieli bowiem mięso, na którym gotowano szczy (kapuśniak), mieli kartofle i czarny chleb. Rano jedli kartofle z solą, na obiad i kolację szczy z chlebem. Był to jednak dobrobyt chwilowy, póki był zapas mięsa z zarżniętej krowy. Normalnie jedzono kapuśniak niemaszczony mięsem, kartofle i chleb, nadto kaszę. Ludność rosyjska w porównaniu z innymi krajami jada więcej chleba, a mniej kartofli. Kartofel został w Rosji wprowadzony właściwie dopiero w 19 wieku i nie zyskał tego rozpowszechnienia co w Europie, a zwłaszcza w Polsce i Niemczech. W tej części Rosji — w Okręgu Podmoskiewskim — kartofle są bardziej rozpowszechnione niż w innych częściach. Niemniej i tu podstawą pożywienia jest razowy chleb i kapuśniak na mięsie, względnie postny z kaszą.

Na moim posłaniu było mi bardzo wygodnie; cały tydzień spać musiałem na gołych deskach, więc teraz odpoczywałem po trudach podróży. Na drugi dzień poprosiłem gospodynię o przepranie bielizny, która była w strasznym stanie. Do chaty zachodzili chłopi i baby, zwłaszcza wieczorem na pogawędkę. Mówiono o kołchozie, który był właściwie zlikwidowany przez dokonany podział wspólnego majątku i o wojnie. Zastanawiano się nad przyszłością i pytano mnie czy Niemcy zniosą kołchozy i czy przywrócą prywatną własność. Moje zapewnienie, że kołchozy będą zlikwidowane i że zostaną wprowadzone indywidualne gospodarstwa, bardzo pocieszało moich rozmówców. Wszyscy byli z kołchozów bardzo niezadowoleni, a po ucieczce zarządu przystąpili natychmiast do dzielenia tego co pozostało. Każdy robił zapasy, aby przetrzymać zimę i narzekał na fatalną

gospodarkę, którą kołchoz prowadził, na wielkie podatki i złą administrację.

Bielizna musiała wyschnąć, mieliśmy więc czas. Poinformowano nas jednak, że po wsiach chodzą patrole i wyłapują dezerterów, których wszędzie jest pełno. Długo więc na jednym miejscu siedzieć nie było można. Uzłowaja była zbyt blisko. Nadto Niemcy nie posuwali się naprzód, a tu nadchodziła już rosyjska zima i było jasne, że front teraz się ustali, oraz że luka, którą mamy przed sobą, wypełni się. Trzeba było ruszyć naprzód i starać się przejść przez nią na drugą stronę frontu. Przepędziliśmy w chacie dwa dni i w piątek rano ruszyliśmy w dalszą drogę, mimo śnieżnej zadymki. Mapy nie mieliśmy, mogliśmy się tylko orientować według słońca, które obecnie rzadko bardzo wyglądało spoza chmur. Była już zima, pola pokrył śnieg, mróz nie był jednak jeszcze silny. Mrozów rosyjskich spodziewano się dopiero za parę tygodni. Wyszliśmy ze wsi i ruszyliśmy przed siebie. W polu straciliśmy kierunek i posuwaliśmy się nie na południe, jak należało, ale na wschód. Doszliśmy do małego kołchozu. Zaszliśmy do jednej z chat, aby się zagrzać i zdobyć informacje. Zastaliśmy w niej bartnika, który został wraz z całym sowchozem ewakuowany i tu czekał teraz na możność powrotu do domu. Przyjął nas herbatą, chlebem i miodem i wskazał drogę na południe. Pod wieczór doszliśmy do innego kołchozu. Tu postanowiliśmy przenocować. Wojska sowieckiego we wsi nie było. Chaty były pełne ewakuowanych. Z trudem dostaliśmy nocleg. Byliśmy już 17 km od Uzłowej. Rano ustaliliśmy strony świata i poszliśmy na południowy-zachód, a potem wykręciliśmy wprost na zachód. Szliśmy ciągle polami, w połowie nie sprzątniętymi. Zasiewów jesiennych prawie nie spotykaliśmy. Po polach było masę myszy, które się straszliwie rozmnożyły. Dawniej nigdy nie miały w polach tyle żeru. Idąc wprost na zachód doszliśmy do toru kolejowego idącego na południe od Uzłowej. Zrobiliśmy więc wielkie półkole i byliśmy znowu zaledwie o 10 km od Uzłowej, ale nie więcej jak 10 km od wojsk niemieckich. Odgłosy strzałów słychać było wyraźnie i mogliśmy się już z tego orientować, gdzie stykają się wojska nieprzyjacielskie. Widzieliśmy też dużo patrolujących aeroplanów niemieckich i znacznie mniej rosyjskich; te przeważnie krążyły nisko. Wojska sowieckiego nie spotykaliśmy, raz tylko widzieliśmy patrol konny jadący drogą, którą przecięliśmy.

W chatach wszędzie spotykaliśmy masy ewakuowanych i dezerterów. Mężczyźni wzięci byli do wojska. W chatach zostały kobiety z dziećmi. Dzieci półnagie biegały po chacie i jak wróble z gniazda wyglądały, z pieca na którym żyły. Wszędzie jedzono mięso z wybitego inwentarza i ludność zajęta była podziałem majątku kołchozów, który nie został ewakuowany. Robiono zapasy na zimę i zwożono sterty z pól do chaty. Ta likwidacja kołchozów przebiegała zgodnie i sprawnie. Niezadowoleni byli tylko robotnicy fabryczni, którzy wrócili na wieś do swych

rodzin i których nie dopuszczono do podziału. Uważali oni to za niesprawiedliwe i niezgodne z zasadą równości. Kołchoźnicy stali na stanowisku, że własność kołchozu może być dzielona tylko między członków kołchozu. Z likwidacji kołchozów byli zadowoleni i pytali czy Niemcy to potwierdzą. Pieniądze straciły wszelką wartość. Miałem przy sobie sporo sowieckich pieniędzy, nic jednak za nie nie mogłem kupić. Mimo to wszędzie otrzymywałem to samo jedzenie co jedli wszyscy, a więc kartofle z solą rano i kapuśniak oraz chleb na obiad i kolację. Mleka prawie nigdzie nie było, jajek też nie można było dostać. Rzecz ciekawa, prawie nigdzie nie jedzono kaszy, widocznie jej nie było.

Po przejściu toru nocowaliśmy w odległym o 2 km kołchozie. W nocy przechodził patrol poszukujący dezerterów. Nasz gospodarz oświadczył, że u niego nie ma nikogo. Miał rację, nie byliśmy dezerterami, ale uważał słusznie, że i dla niego i dla nas lepiej jeżeli nie będziemy legitymowani. Rano ruszyliśmy na zachód. W południe dowiedzieliśmy się, że wojska sowieckie stoją w odległym o kilka kilometrów Didłowie i że część wsi zajęta jest przez Niemców. O Didłowie słyszeliśmy już będąc w Uzłowej. Słyszeliśmy też już wyraźnie strzały artyleryjskie, trzeba było Didłowo okrążyć.

Ruszyliśmy na południe przez pola, na których panował ruch, to chłopi zwozili zboże ze stert. Porzucone maszyny rolnicze, spotykaliśmy wszędzie po drodze — traktory, żniwiarki, kopaczki i motory, wszystko stało po polach i niszczało, nikt się o nie nie troszczył, nikomu nie były potrzebne. Po polach chodzili pojedyńczo lub po dwóch mężczyźni w sile wieku. Byli to dezerterzy, którzy, tak samo jak my, mieli zamiar przejść przez front. Byli dziwnie poubierani, starali upodobnić się do kołchoźników, ale można ich było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Podchodzili ostrożnie a gdy się upewnili, że idący naprzeciw to nie patrol wojskowy, przystępowali bliżej i następowała wymiana informacji. Kto stoi w pobliskiej wiosce i jak do niej daleko? Podróżni zastępowali telefon i mapę. Byli drogowskazem na tych pustowiach. Tą drogą mieliśmy informacje co dzieje się wkoło i mogliśmy się śmiało posuwać naprzód.

Wieczorem doszliśmy do wsi, gdzie z wielkim trudem dostaliśmy nocleg, tak była przepełniona ewakuowanymi i dezerterami. Poinformowano nas, że przechodził tędy patrol kawaleryjski niemiecki i że nocuje on o 3 km dalej, już za nami. Nocowaliśmy więc na linii frontu. Sąsiednie wsie, na południe i zachód, nie były w ogóle przez żadne wojska obsadzone. Rano, 10 listopada, ruszyliśmy dalej i doszliśmy do dużej osady, gdzie znajdowały się kopalnie rudy. Obeszliśmy ją w koło. Była wprawdzie wolna od wojska, ale woleliśmy przez nią nie przechodzić. Znaleźliśmy się znów w czystym polu, pokrytym śniegiem i doszliśmy do małego lasku. Lasów w tej okolicy nie ma prawie zupełnie. Nagle usłyszeliśmy strzały z karabinu maszynowego i polowej artylerii. W pobliżu stało więc jakieś wojsko

i zapewne ostrzeliwało aeroplan nieprzyjacielski. Należało się dowiedzieć co to za wojsko. Ostrożnie wysunęliśmy się z lasku i zobaczyliśmy chłopów, którzy zajęci byli rozbiórką i rozwózką stert. Podeszliśmy do nich i otrzymaliśmy wiadomość, że w pobliskiej wiosce stoją wojska niemieckie. Poszliśmy we wskazanym kierunku. Tu spotkaliśmy pierwsze oddziały niemieckie. Zgłosiliśmy się do oficera. Ten wskazał nam komendę pułku.

Raj sowiecki miałem za sobą.

Leon KOZŁOWSKI

Nagroda plastyczna "Kultury"

Nagrodę plastyczną ,,Kultury'' za rok 1957 przyznaliśmy młodej rzeźbiarce krajowej, Alinie ŚLESIŃSKIEJ. Wystawa jej prac odbyła się w Paryżu, w styczniu rb., w galerii Simone Badinier. Nazajutrz po wernisażu wystawy zakomunikowaliśmy p. Ślesińskiej naszą decyzję, podyktowaną uznaniem dla jej talentu, widocznego zarówno w solidnie realistycznych, ale nie akademickich, portretach jak w aktach i postaciach odlanych w żeliwie, świadczących o nowoczesnym i osobistym odczuciu klasycyzmu, — a wreszcie w organicznych formach jej rzeźb gipsowych łączących rytmy lasu i architektury. Dążeniem naszym było również poparcie indywidualnej inicjatywy młodej i zdolnej polskiej artystki, której wystawa odbyła się poza oficjalnym kręgiem wymian kulturalnych.

Wystawie p. Ślesińskiej patronował — z własnej inicjatywy — Jean Cassou, dyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu, które zresztą zakupiło jedną z jej rzeźb. Prace naszej laureatki spotkały się z dużym uznaniem całej paryskiej krytyki artystycznej i wywołały żywe zainteresowanie również i poza Paryżem. ,,Le Monde'' poświęcił jej osobny artykuł, co jest zupełnie wyjątkowym zjawiskiem przy pierwszej wystawie w Paryżu. Znany krytyk Michel Seuphor prosił Ślesińską o dane biograficzne i reprodukcje jej rzeźb, aby zamieścić je w je ,,Słowniku Nowoczesnej Rzeźby'', który obecnie przygotowuje. Ponadto zaproszono Ślesińską do udziału w kilku wystawach międzynarodowych: w tegorocznym ,,salonie'' rzeźby współczesnej w Musée Rodin, w wystawie współczesnej sztuki sakralnej w Rzymie i w ,,salonie'' francuskim w czasie wystawy światowej w Brukseli w bieżącym roku.

Wreszcie Rząd francuski przyznał p. Ślesińskiej kilkumiesięczne stypendium artystyczne, co znowu jest wyjątkowym wyróżnieniem.

Cieszymy się, że nagroda ,,Kultury'' była dla Aliny Ślesiń-skiej, u progu wystawy, szczęśliwą wróżbą powodzenia, którego jej z całego serca gratulujemy.

Zgodnie z regulaminem nagrody, ,,Kultura'' zakupiła ,,Akt'', którego reprodukcje zamieszczamy w bieżącym numerze. Ponadto zakupiliśmy głowę Marii Dąbrowskiej. Niestety kategoryczny zakaz tutejszej ambasady nie pozwolił artystce na pozostawienie nam tych rzeźb.

◆

Decyzja w sprawie przyznania Krajowej Nagrody Literackiej ,,Kultury'' za rok 1957 — z przyczyn niezależnych od Redakcji — będzie ogłoszona dopiero w następnym numerze.

Henry James

,,Mamo, popatrz! Jaki elegancki ptak!''. Ten podziw kilkoletniego syna Józefa Conrada-Korzeniowskiego odnosił się do wspaniałej postaci sąsiada Conradów, w czasie gdy mieszkali oni na południu Anglii, w roku 1902. Tym sąsiadem i przyjacielem Conradów był pisarz amerykański Henry James.

Henry James naprawdę wyglądał imponująco, ze swą ,,głową rzymskiego senatora, dobrodusznego Napoleona czy spensjonowanego admirała''. Ten o piętnaście lat starszy od Józefa Conrada, pokaźnej postury stary kawaler, był sobie materialnie niezależnym panem o nieposzlakowanych manierach, ubierającym się z wyszukaną elegancją. Znajomości, stosunki po obu stronach Atlantyku, reputacja pisarza, przyjaźń z wysoko postawionymi ludźmi Ameryki, Francji i Anglii, która od lat była dla niego drugą ojczyzną, czyniły go jedną z najpopularniejszych postaci tak zwanego towarzystwa i kół artystycznych Nowego Jorku, Paryża i Londynu. Dobrymi znajomymi a często przyjaciółmi Amerykanina byli, w latach wcześniejszych, paryskich i Turgeniew i Flaubert i Maupassant, Renan, Daudet, bracia Goncourt, Zola, a później, w Anglii Bernard Shaw, Wells, Barrie, Hardy, Hugh Walpole, Conrad, Ford Madox Ford.

A jednak, pomimo tego że pozostawił on kilkadziesiąt powieści, nowel, opowiadań, dramatów, essayów, wspomnień, pomimo woluminów listów i korespondencji, pomimo niezliczonych o nim relacji osób które go znały, pomimo tomów jakie o nim i o jego dziele napisano, Henry James do dnia dzisiejszego jest postacią tajemniczą, kontrowersyjną, pełną przeciwieństw, nieznaną i zagadkową.

Czyż nie zastanawia przeciwieństwo, że ten expatriata, który więcej niż połowę życia spędził na dobrowolnym wygnaniu

w Europie pozostał do głębi Amerykaninem. Wnuk Irlandczyka, który dorobił się w Ameryce fortuny, właśnie na przekór i pod prąd wielkiej fali, nowoczesnej wędrówki ludów za ocean, wraca do starej Europy. Syn amatora-filozofa, brat słynnego twórcy ,,pragmatyzmu'' i psychologa Williama, związany węzłami porozumienia z wybitnymi intelektualistami Nowej Anglii, przełożył życie wpośród pewnej klasy ludzi starej Anglii i dopasował się do tego życia z taką zdolnością mimicry i to z takim gustem, że niektórzy postawią mu z tego powodu zarzut grubego snobizmu. A jednak gra przeciwieństw sprawi, że równocześnie, od swych pierwszych powieści podejmuje temat, który wówczas nikogo nie ekscytował, a jest nim stosunek Ameryki do Europy i reszty świata, ,,odwracalny dualizm Ameryki i Europy''. Dzisiaj ten sam problem przejmuje wszystkich, bo kiedy na pytanie: ,,Jaki jest najważniejszy kraj Europy?'' pada odpowiedź ,,Ameryka!'', nikogo ten paradoks nie zaskakuje. Czym jest Ameryka? Oto drugie z kolei pytanie, jakie się nasuwa. Odpowiedzi szukamy w poezji Walta Whitmana, w nieuczonym arcydziele Marka Twaina, w prozie realistów amerykańskich. Interpretacji Ameryki doszukujemy się w relacjach wojażerów, kompetentnych jak Alexis de Tocqueville, niedojrzałych jak Henryk Sienkiewicz, współczesnych i uprzedzonych jak Simone de Beauvoir. W tych poszukiwaniach może nam pomóc niedocenione dzieło, które zostawił Henry James.

O innych przeciwieństwach tak ciekawych u tego ,,eleganckiego ptaka'' literatury amerykańskiej mówią inne fakty. Wbrew temu że przyszło mu pisać w epoce niewolniczych konwenansów w sztuce, jej sztywnych reguł, fałszu, pruderii, zakazów i tabu, i kiedy życie w pewnej zamkniętej sferze ograniczało jego pole obserwacji do tego tylko środowiska, Henry James nie tylko zachował godną postawę moralną, ale i tej moralności umiał dać wyraz. Jego dzieło, pomimo pozorów konwencjonalnej powieści jest po prostu anarchistycznym buntem przeciw prawom i rodzajowi moralności środowiska wpośród którego wyznaczył sobie drogę życia — buntem w imię godności ludzkiej, wierności, wolności, indywidualizmu i honoru. Biorąc to jako miarę jego powieść można przyrównać do dokonania Flauberta i Dostojewskiego (nie darmo w swojej powieści ,,Princess Casamassima'' Henry James dał jedną z postaci przypominającą Stawrogina z ,,Biesów'').

Konfrontując Amerykę i świat Henry James ,,konfrontował to co szczególne z ogólnym''. A obserwując wybrane przez siebie środowisko potrafił ukazać inne szczególne wobec wszechogarniającego. Miał nie tylko artystyczną zdolność widzenia rzeczy niewidzialnych dla innych, umiejętność odnajdywania śladów tych rzeczy, ale odgadując z fragmentów sens całości wydawał o niej zastanawiające sądy.

Nie znaczy to ażeby powieści jego miały być popularne. Przez dziesięciolecia uważano je za nieczytelne. W nieporozumieniu jeszcze i dzisiaj mówi się o nich że to okazy muzealne,

a przyznając im pewne wartości zastrzega się że obudowane są one wokoło martwego środka. Mówi się że tak jak jest kategoria ,,poety poetów" tak Henry James jest takim ,,writers writer". Ale i pośród współczesnych sobie i dzisiaj zyskał sobie tytuł Mistrza przez wielkie M. Józef Conrad-Korzeniowski kiedy pisał do niego lub kiedy dedykował mu swe książki to zawsze przez — *Cher Maître.*

Jednym z powodów niezrozumienia wielkości tego pisarza był język jakim się Henry James posługiwał. Bogactwo, subtelność, precyzja, oryginalność, wyszukaność tego języka sprawiały zawsze wrażenie pisarskiego trudu, tortury słów, uciążliwego poszukiwania ,,mot juste". To samo mówią relacje tych co uczestniczyli w rozmowach i konwersacjach z pisarzem. Były to raczej kunsztowne soliloquia, jakie Henry James wygłaszał czy to kiedy był rozrywanym biesiadnikiem u stołów, bywalcem salonów, poszukiwanym członkiem klubów czy wreszcie gdy występował w roli ujmującego gospodarza we własnym domu. Zachowała się na ten temat niezliczona ilość autentycznych i zmyślonych anegdot i relacji. Ktoś z jego słuchaczy zapisał, że ,,motyw zdań wypowiadanych przez pisarza był wyzuty zupełnie ze słów niepotrzebnych, skontrolowany, rozwinięty, udoskonalony, wzbogacony i przy tym zawsze 'kontrapunktowy' ".

To samo można powiedzieć o jego prozie, zwłaszcza prozie ostatniego kilkunastolecia twórczości. Dialog tych ostatnich powieści, jak na przykład ,,The Golden Bowl", w swej konstrukcji i wzajemnych zależnościach znaczeń ,,magnetyzuje czytelnika tak jakby miał przed sobą nie utwór literacki ale rozprawę z zakresu logiki matematycznej". Artystyczne osiągnięcia amerykańskiego pisarza zbiegają się dziwnie z rezultatami myśli filozofii neopozytywistycznej, jej teorią języka naukowego do której neopozytywiści sprowadzają całą filozofię.

W tej chwili odbywa się proces rehabilitacyjny niedocenionego geniusza pisarskiego Ameryki, jakim jest Henry James. Rośnie o nim ogromna literatura krytyczna, przyczynkowa, studia, ukazują się nowe wydania jego powieści, zbiory listów, wspomnień, każdy miesiąc przynosi coś nowego. Po zmarłym niedawno doskonałym krytyku F.O. Mathiessen, badaczu twórczości James'a, prace kontynuują inni. Ślady i wpływ prozy Mistrza, o której mówią że nikt jej w literaturze mowy angielskiej nie prześcignął od czasów 17-go wieku, widać na najnowszej prozie amerykańskiej, czego przykładem jest Hemingway i Francis Scott Fitzgerald.

O jednym z przeciwieństw jakie znaczą zjawisko tego wielkiego pisarza Ameryki świadczy to, że kiedy przy jego ambicjach dramatopisarskich sztuki te ,,nie szły" za życia autora, to w tej chwili Henry James jest stałą pozycją repertuaru teatrów nowojorskich. Są to przeważnie udramatyzowane jego powieści i opowiadania. Przed paru laty taka wersja dłuższego opowiadania czy też nowelety ,,The Turn of The Screw", pod zmienio-

nym tytułem ,,Innocents" szła naprzód w Londynie, a potem w Nowym Jorku. Ten ,,dreszczowiec", niesamowita opowieść o duchach i dzieciach, jest może najbardziej znanym utworem pisarza. Sam Henry James lekceważył sobie tę historię, mówił o niej że to ,,potboiler" (rzecz napisana na zamówienie, albo jako rezultat zakładu). Jeżeli opowiadanie to miało być tylko rodzajem ,,jeux d'esprit", to Henry James, przy wielkiej oszczędności środków, umiejętnym stopniowaniu efektów stworzył atmosferę grozy do jakiej Egar Allan Poe czy Villiers de L'Ile Adam dochodzili bardzo skomplikowaną drogą. Czytelnikowi i widzowi pozostawia wolny wybór i do dzisiaj pomiędzy kompetentnymi toczą się spory uczone czy w historii tej mamy widzieć kliniczny przypadek z psychoanalizy (opisany przed Freudem !), czy, odrywając oczy od stron książki, szukać nam po nocy za szybą okienną upiornych twarzy potępieńców.

W ostatnich latach wystawiono również na Broadway'u udramatyzowaną wersję ,,Washington Square" (tytuł teatralny ,,The Heiress"), potem ,,Europeans" (tytuł teatralny ,,Eugenia") a ostatnio ,,Portrait of The Lady".

O ile mi wiadomo jedyną powieścią Henry Jamesa, tłumaczoną na język polski jest rzecz napisana w roku 1903, nosząca tytuł ,,The Ambassadors".

Zygmunt HAUPT

"Ale nas to obchodzi..."

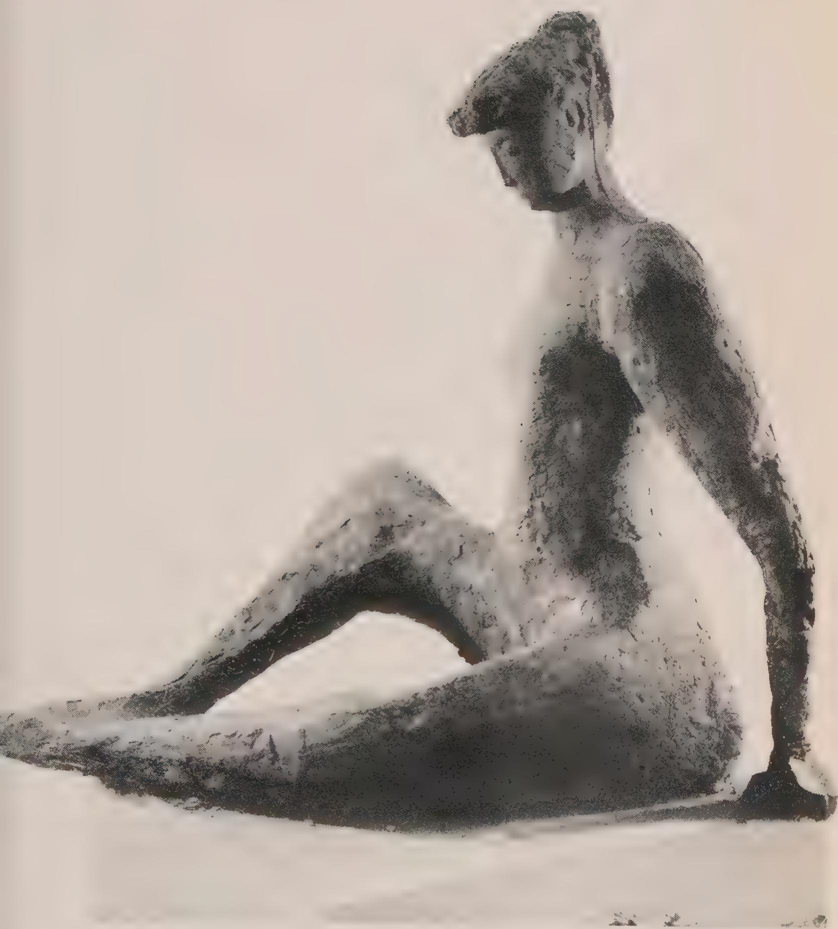
(POLAK ANGIELSKIM DRAMATURGIEM)

Naprzeciw najstarszego i największego w Londynie teatru *Drury Lane* (poświęconego dziś wyłącznie komedii muzycznej) znajduje się mniejszy teatr pod nazwą *Fortune*. Gdy w połowie grudnia 1956 ukazały się tam afisze zapowiadające nową imprezę, zatytułowaną *Who Cares?*, można było mniemać, że przybyła Londynowi nowa rewia lub farsa. Sugeruje to właśnie ów tytuł, który przełożyć można jako ,,Kogo to obchodzi?" A jednak — ku zdumieniu krytyków — kryła się za nim poważna — zbyt poważna, jak na gust londyńskiej publiczności — sztuka, poświęcona jednemu z najboleśniejszych problemów naszych czasów. Młody autor, Leo Lehman, rzucił ten tytuł publiczności jako wyzwanie. Tematem sztuki jest niemożność zrozumienia przez ludzi na Zachodzie przeżyć i problemów ludzi ,,za żelazną kurtyną" w czasach stalinizmu. Zaiste, kogo te sprawy w Anglii mogą obchodzić?! Sztuka traktująca o sprawach dalekich i smutnych nie mogła liczyć na zbytnie zainteresowanie ze strony londyńskiego widza. Nie znaczy to, by nie miała ona powodzenia. Szła przez pełny miesiąc przy

względnie pełnej sali, co uważa się za spory sukces. (Trzeba wziąć pod uwagę, że w Londynie sztuka, która się nie podoba, plajtuje natychmiast, bez względu na nazwisko autora Np. *No Sign of a Dove* Ustinowa zdjęto z afisza po ośmiu przedstawieniach, a *The White Countess* Priestley'a po czterech). Sztuka Lehmana zasługuje z wielu względów na zapoznanie z nią polskiego czytelnika, a z pewnością zaciekawiłaby też polskiego widza. Bo Polaków na pewno obchodzą poruszone w niej prblemy. Myślę także, że i sama osoba autora zainteresuje czytelników w Kraju.

Leo Lehman może być przykładem pozytywnego wkładu emigrantów z ostatniej wojny do kultury krajów osiedlenia. W r. 1939 jako mały chłopiec opuścił z rodzicami Polskę i w r. 1943 osiedlił się w Anglii. Tu ukończył gimnazjum i odbył studia uniwersyteckie w Southampton, po czym uczył się matematyki i języków w różnych szkołach, pracował w biurze kolejowym, w agencji turystycznej itd. Przez cały czas nie tracił jednak z oczu swego głównego powołania, za jakie uważał twórczość literacką, zwłaszcza dramatyczną. Twórczość swą zaczął co prawda pisaniem poezji po polsku, ale wcześniej wyrwany z polskiego środowiska, przerzucił się najpierw na francuski (we Francji przebywał w czasie wojny), w końcu na angielski. Trzy lata temu otrzymał nagrodę Arts Council za najlepszą sztukę początkującego autora. W ciągu paru ostatnich lat kilka jego sztuk było wystawionych w Anglii i czynione są przygotowania do wystawienia w najbliższym czasie jego sztuki *Epitaph* w Nowym Jorku. Sztuka ta, której jedna ze scen dzieje się w Warszawie podczas powstania, wystawiona była w telewizji B.B.C. Rolę główną grał Trevor Howard, przewidziany również do wystąpienia w inscenizacji nowojorskiej. Prapremiera „*Who Cares?*" odbyła się w lutym 1956 w awangardowo nastawionym teatrze Kew na przedmieściu Londynu. We wrześniu 1957 *Who Cares?* grano także w telewizji w obsadzie podobnej, jak w inscenizacji na West Endzie (w teatrze Fortune). Przedstawienie telewizyjne zostało nader pozytywnie ocenione przez krytyków, a telewizja brytyjska zamówiła u Lehmana kilka dalszych sztuk. Dzięki ostatnim sukcesom 28-letni autor mógł się w końcu poświęcić wyłącznie pisaniu. Sztuki Lehmana dotyczą problemów współczesnych, choć czasami sięga on do historii (np. w sztuce, którą zamówiono od niego i wystawiono na festiwalu w katedrze w Lichfield). Wśród nie wystawionych jeszcze sztuk Lehmana znajduje się zarówno komedia osnuta na tle przygód turystów angielskich w Hiszpanii, jak i dramat o wyłącznie polskiej tematyce.

Jeśli się zważy, że Lehman opuścił Polskę jako dziecko, a powojennej Polski nie zna zupełnie, uchwycenie przez niego „atmosfery" i odrębnej mentalności „dwu światów" jest może najbardziej uderzającym osiągnięciem *Who Cares?* Akcja sztuki rozgrywa się kilka lat temu w domu profesora anglistyki w małym angielskim mieście uniwersyteckim. Profesor Peterson, dystyngowany starszy pan, żyje w świecie średniowiecznych manuskryptów, zagłębiony w badaniach nad staro-angielską literaturą, a niezbyt orientuje się w problemach współczesnego mu świata. W dniu, w którym zaczyna się akcja, profesor jest szczególnie podniecony, ma się bowiem ziścić jedno z największych marzeń jego życia. Oto otrzymał wiadomość, że tego dnia zostanie mu doręczony rękopis zawierający trzy wcześniejsze pieśni anglosaskiego poematu „Judith", z którego dotąd znane były tylko pieśni 9-12, resztę uważano za zaginioną. Profesor Peterson przyjaźnił się





przed wojną ze światowej sławy znawcą literatury staroangielskiej, profesorem Wileńskim z Krakowa. Nieraz brał z nim udział w międzynarodowych zjazdach i gościł go w swoim domu. Niedługo przed wybuchem wojny Wileński znalazł w jakimś środkowo-europejskim klasztorze trzy pieśni zaginionego poematu. Wojna jednak przerwała kontakt między obu uczonymi, zanim zdołano manuskrypt zbadać. Peterson słyszał, że Wileński przebywał w obozie koncentracyjnym w Niemczech, a po wojnie wrócił na swą katedrę. Kontaktu z nim jednak nie odzyskał, przypuszczał zresztą że rękopis nie przetrwał wojennej zawieruchy. I nagle przyszła lakoniczna wiadomość, że rękopis znajduje się w drodze do Anglii. Peterson jest w siódmym niebie i martwi się jedynie myślą, że Wileński zapewne rękopis opracował już tak dokładnie, iż jemu pozostanie tylko napisać przedmowę.

W określonym terminie przybywa do domu profesora młody Polak z walizeczką. Profesor sili się na konwencjonalne przywitanie, zerkając niecierpliwie na walizkę. Potykającą się, ale dziwnie urzekającą angielszczyzną Polak krótko i rzeczowo odpowiada profesorowi, pytającemu, jak się miewa „old boy" — profesor Wileński: „Old boy nie żyje". On sam jest synem profesora, nazywa się Stefan Wileński. Z Polski podróżował nielegalnie. Jak? Szedł przez pole minowe, jechał pod pociągiem. Manuskrypt? Tak, przywiózł w walizeczce, ze swoimi łachami. Co z ojcem się działo? Trzy lata spędził w niemieckim kacecie. Pracował w kopalni soli, gdzie stracił niemal zupełnie wzrok. „Jakto — przerywa profesor — i żaden z niemieckich naukowców - przyjaciół nie interweniował?" „Pamięć im się popsuła". „A przecież prof. X był po wojnie w Londynie i w odczycie swoim z uznaniem wspominał Wileńskiego". „Po wojnie pamięć im się polepszyła" — z niezakłóconym spokojem odpowiada Stefan. Po wojnie prof. Wileński wrócił na uniwersytet i objął swą katedrę — na dziesięć miesięcy. Był zresztą ruiną człowieka. „No, ale miał swoją pracę" — wtrąca Peterson. „Miał, ale interesowały go już tylko prostytutki, nic poza tym". A potem nastąpił proces o szpiegostwo („Kogo on tam mógł szpiegować, skoro był ślepy jak nietoperz?"). Oczywiście został uznany winnym i zasądzony na obóz karny. Jak umarł? W rowie irygacyjnym, przy budowie zapory.

Jakoś z mniejszym entuzjazmem wziął profesor Peterson do ręki rękopis „Judyty" i szybko odłożył na bok. Naiwny pacyfista uważał dotąd za propagandę to, co się mówiło o prześladowaniach „po tamtej stronie". Młody chłopak słowami okrutnymi i bezwzględnymi w swej szczerości zmusił profesora do przyznania, że niewiele ze spraw życia rozumie: „Ja nigdy w życiu nie cierpiałem, a tylko analizowałem styl i poetycką formę cierpienia w literaturze". A jednak — usiłuje się bronić w jednej z dalszych rozmów — i w Anglii nie było sielanki: z dziesięciu studentów, którzy w ostatnim roku przed wojną uzyskali dyplomy anglistyczne na jego uniwersytecie, dwóch zginęło na wojnie, a trzeci w japońskim obozie. Ale i na to ma Stefan odpowiedź: „U nas wszystkich dziesięciu zmarło, choć tylko jednego czy dwóch pochowano". Wszak umiera się nie tylko fizycznie. A na pierwsze zapytanie o przyczynę śmierci ojca odpowiada, że ojciec zmarł na raka umysłu. „Chyba raka mózgu", zauważa profesor. „Umysłu" — powtarza Stefan. „Nie ma takiej choroby". „Może w Anglii, bo u nas jest".

Stefan pozostaje przez kilka dni w domu profesora, którego spokój zaburzył swoim przybyciem do głębi, także i pod innymi względami. Żona profesora, znudzona ospałym życiem prowincji, zadurzyła się w Stefanie i zrobiła mu niesmaczną scenę zazdrości o pasierbicę. Może najłatwiej jest Stefanowi porozumieć się właśnie z córką profesora młodą studentką Bubbles — której dziecinna bezpośredniość i brak zakłamania fascynuje go przez kontrast z jego młodzieńczymi latami, które jakże inaczej wyglądały... Ale i ona nie jest w stanie go zatrzymać. Stefan opuszcza dom profesora w chwili, gdy spodziewane jest najście reporterów i ekspertów dla celebrowania słynnego rękopisu. Nie może pozostać w wygodnym zaduchu angielskiej prowincji. Musi być ciągle w drodze, bo nie wolno mu zapomnieć o rodakach w Kraju. Gdyby został, opanowałby go bezwład wolnego życia. „Wie się doskonale czym jest wolność, gdy jej nie ma. Gdy się ją ma — nie widzi się jej". Tak samo przecież jest i z powietrzem. Czy żegnająca Stefana rodzina Petersonów zrozumiała, że odjeżdża on dlatego, iż solidarność z „tamtymi" wymaga od niego wyrzeczenia się wygodnego życia, to już inna sprawa. Faktem jest, że Stefan coś zmienił w ich życiu. Rękopis „Judyty" okazuje się podrobiony (stary Wileński widocznie już tego po wojnie nie zauważył), ale jak mówi profesor Peterson: „To już jest bez znaczenia. Człowiek, który go przywiózł, nie był podrobiony".

Tematyka *Who Cares?*, która polskiemu czytelnikowi może wydać się dość zwykła, na angielskim terenie jest niecodzienna.

Teatrowi angielskiemu przybył nowy dramaturg, a ponieważ jest on z pochodzenia Polakiem i interesuje się problemami, które i nam leżą na sercu, powinniśmy się zainteresować bliżej Jego osobą i twórczością.

Bolesław TABORSKI

Głos rozsądku

Biblioteka Polska w Paryżu mieści się w uroczej dzielnicy starego Paryża, niedaleko budzącego tyle w swoim czasie nadziei, a dziś tyle wspomnień Hôtel Lambert. Swego czasu w czasie szlachetnych lat emigracyjnych XIX wieku była centrum życia i polityki polskiej. Skarby i zasoby jej są ogromne, aczkolwiek dużo ucierpiała od Niemców w czasie ostatniej okupacji Paryża.

Mała anegdota, przykra dla pisarzy i publicystów: jak wiadomo, najwybitniejszym publicystą dłużącej się emigracji paryskiej był Julian Klaczko, z pochodzenia Żyd z ulicy Szklanej z wileńskiego ghetta, wielki znawca nie tylko polityki zagranicznej, ale i literatury i sztuki, polski Thiers i Taine w jednej osobie. Opowiadano co prawda tylko o ile wiem w sferach polskich, że Bismarck bardzo się interesował zdaniem Klaczki i pilnie śledził jego

działalność publicystyczną. O Klaczce istnieje w Polsce szereg rozpraw i rozprawek, jego działalność była niewątpliwie przedmiotem wielu opracowań w seminariach historycznych i polonistycznych, dysertacji doktorskich. Otóż w pierwszym roku drugiej wojny światowej biorę do ręki w Bibliotece Polskiej w Paryżu kapitalne dzieło Klaczki „Dwaj kanclerze" i otrzymuję egzemplarz żółty, zeschnięty i... nie rozcięty. W centrum polskich studiów nad emigracją, książka najwybitniejszego emigracyjnego publicysty leżała przez lat kilkadziesiąt nietknięta. Ileż w tym miejscu mam postawić wykrzykników. Książkę tę rzekomo pilnie wertował Bismarck, ale nie czytali jej rodacy.

Ale zapomnijmy o tej przykrej anegdocie. Łudźmy się, że wydano mi jakiś pamiątkowy egzemplarz ,że dzieła Klaczki były pilnie czytane co najmniej przez osoby, które za pisanie o nim otrzymywały naukowe stypendia.

Otóż statut Biblioteki Polskiej w Paryżu jest dotychczas nie uregulowany. Był o jej własność proces, który wygrały koła opiekujące się Biblioteką na emigracji. Biblioteka jest poza zasięgiem opieki roztaczanej przez Akademię Nauk.

Tego rodzaju placówki naukowe o tyle mają przyszłość przed sobą, o ile mają dużo pieniędzy. Oczywiście że koła emigracyjne tych pieniędzy dostarczyć nie mogą. Jestem przeciwnikiem tego, aby ze sprawy Biblioteki Polskiej w Paryżu czynić sprawę polityczną, albo kwestię prestiżową.

Placówka ta potrzebuje dwóch rzeczy, to jest pieniędzy i kierownictwa obiektywnie naukowego, najbardziej związanego i zżytego z czasami emigracji Adama Czartoryskiego i Joachima Lelewela. Sądzę, że w Paryżu mieszka dużo Polaków mających w tym kierunku dostateczne przygotowanie naukowe, jak również ośmielam się wypowiedzieć zdanie, że obecne naukowe kierownictwo Biblioteki stoi na najwyższym poziomie i jest zupełnie bez zarzutu. Ale kwestia pieniężna może się w przyszłości odbić bardzo ujemnie na losach tej Biblioteki.

Moje zdanie, człowieka z ulicy, w tej sprawie jest, aby nadal tej sprawy nie prowadzić przez sądy francuskie, ani wiece, ani demonstracje polityczne. Uważam, że byłoby najlepiej, aby Biblioteka znalazła się w zasięgu Akademii Nauk, ale by jej była pozostawiona jakaś daleko idąca autonomia, aby stworzono jakąś fundację dla zapewnienia jej niewzruszalnych podstaw prawnych.

Pożartujmy trochę w tych smutnych czasach : oto jeśli plan Rapackiego dąży do załagodzenia sytuacji przez częściową dezatomizację naszego kontynentu, tak samo ten „plan Cata" powinien zdążać do usunięcia zadrażnień drogą przypomnienia, że wszyscy jesteśmy Polakami. Oczywiście sprawę powinni wziąć w ręce uczeni i tylko uczeni. Rozmawiać w tej sprawie powinni wyłącznie historycy i bibliotekoznawcy — nikt inny. Sprawa jest może nie najważniejsza, ale dostatecznie ważna.

(„Słowo Powszechne", 24. 1. 1958).

CAT

Eichlerówna w Londynie

Landyński występ Ireny Eichler i Władysława Seybala, wspólna ich praca z aktorami emigracyjnymi nad przygotowaniem sztuki dla sceny polskiej w Anglii jest w skromnym zakresie dobrym przykładem naturalnego współdziałania, autentycznego „dialogu", chociaż ograniczonego do słów Shawa.

Do Londynu Eichlerówna przyjechała na zaproszenie zespołu wystawiającego „Profesję Pani Warren". Wieczorem grała Fedrę w Teatrze Narodowym w Warszawie, a już następnego dnia próbowała „Profesję Pani Warren" w londyńskim 20th Century Theatre. Przy tej sposobności poznała niełatwe warunki życia naszego aktorstwa w Anglii, jego energię, upór, wytrwałość w coraz bardziej niewdzięcznych obowiązkach, a zarazem brak wszelkich praktycznych możliwości rozwoju. Sama tym razem pracowała w Londynie w warunkach gorszych od przeciętnych nie tylko dlatego że emigracja nie zdobyła się mimo swej niewątpliwej zamożności na Dom Aktora, ale też i z tego powodu, że duże kluby polskie uparcie odmawiają sali na występy gości z kraju. Czasami dochodzi nawet do tego, że zacietrzewione stowarzyszenia w źle pojętej obronie własnych partykularnych interesów odmawiają sprzedawania biletów w polskim środowisku albo też stosują represje wobec ich sprzedawców, jak to było podczas wizyty Teatru Polskiego w ubiegłym sezonie. Tu przynajmniej zadośćuczynieniem dla sympatycznej pary polskich aktorów stało się gorące przemówienie Hemara przed pierwszym ich występem i obfitość kwiatów zasypujących scenę po ostatnim akcie.

Sztuka Shawa nie była najszczęśliwszym wyborem. Ale już samo zobaczenie po tylu latach tej oryginalnej artystki, odnalezienie jej magii z przedwojennej sceny warszawskiej, wpatrzenie się w patetyczną, wyrazistą twarz, grę bolesnych ust i pałających oczu, wsłuchanie się w ciepły, głęboki, aksamitny głos należało do najprawdziwszych przyjemności jakie może ofiarować teatr.

Odtwórczyni Szimeny i Judyty przed wojną, a postaci francuskiego i polskiego repertuaru romantycznego — po wojnie, jest pasjonującą indywidualnością, idealnym materiałem aktorskim, lecz tylko dla takiego reżysera, który potrafi okiełznać jej bujność biologiczną. Wtedy Irena Eichler może się pokusić o wiele ról szekspirowskich, stać się wspaniałą Lady Macbeth, w komedii — lepszą być w „La Carosse de Saint-Sacrement" od powściągliwej, przestylizowanej Edwige Feuillère. Bogactwo głosu i gestu stworzyło ją do rzucania wielkich słów romantyzmu, do grandilokwencji i ostentacji V. Hugo. Gdyby przeszła dobrą szkołę nowoczesnego traktowania roli, za kilka lat można ją sobie wyobrazić także i w wielkich rolach Brechta, rolach zarówno matek jak i kochanek. Trzeba jednak na to stałego obcowania z teatrem europejskim, dostępności grywanego tam repertuaru, występów zagranicznych i podróży. Nie wiele się osiągnie, wciąż ucząc się tylko od samych siebie.

Kiedy dowiedziałem się że był to pierwszy po wielu latach wyjazd Eichlerówny za granicę, zrozumiałem czemu w Warszawie „Titus Andronicus" w inscenizacji Brooka wywołał taką furorę i czemu Eichlerówna, przy wszystkich swych naturalnych darach, stała się w tytułowej roli „Profesji Pani Warren" uderzającym nieporozumieniem. Popełniła tam zasadniczy błąd, dawno już wypleniony na dobrych scenach, postawienia siebie

ponad teatr a wirtuozerskiego popisu ponad wymagania sztuki. Urządziła występ gwiazdy, najazd burzliwego, rozrzutnego talentu na trzeźwy, realistyczny dramat, co od razu przerzucało wszystko w sferę fikcji, w świat pojęć, stanów uczuciowych i gestów obcych tej sztuce i po prostu nie istniejących w Anglii.

Najprostsze zdanie podbarwiała patosem i ukrytym znaczeniem, robiła nieoczekiwanie znaki krzyża i okazywała wzruszenie tam, gdzie właśnie zadowolona z siebie obojętność powinna być wykładnikiem „zdrowego" cynizmu Shawa, obliczonego na zaskoczenie publiczności. Anglik nie rozeznałby się w tak zagranej sztuce, a Polak, nie znający „Profesji Pani Warren" gotów by podejrzewać, że patrzy na nieznaną, wydobytą z zapomnienia i starannie odkurzoną sztukę Zapolskiej.

A równocześnie przy całej rozrzutności gry Eichlerówny przepadł słynny dialog z drugiego aktu, w którym matka przyznaje się przed córką do prostytucji i prowadzenia domów publicznych jako do najrozsądniejszego wyjścia dla kobiety z nizin społecznych. Ta apologia prostytucji jako obrony przed nędzą, gruźlicą, anemią i przedwczesną śmiercią była pomyślana przez Shawa jako prowokacja Anglii Wiktoriańskiej, wstrząsająca opisem losu sióstr pani Warren i leniwym jej ziewnięciem na końcu tyrady, będącej dla niej jedynie exposé zdrowego rozsądku. Dziś sztuka Shawa, w zmienionych warunkach życia straciła charakter prowokacyjnej eksplozji, jaki miała kiedyś na zamkniętym, czytanym przedstawieniu w tej samej sali przed z górą 50 laty. W Polsce, w 63 lata po najbezwzględniejszym w teatrze ataku na prostytucję wywoływaną miejską biedą, zagadnienie nadal jest aktualne pośród niedostatecznie zarabiających dziewczyn mieszkających w przetłoczonych miastach. Zdawałoby się, że właśnie artystka z Polski znów potrafi poruszyć widownię, nadając cechy prawdy temu wybuchowi kobiety skrzywdzonej przez społeczeństwo i dlatego właśnie przez społeczeństwo pogardzanej. Shaw odwoływał się tu do inteligencji widza, do jego sumienia i zdolności rozumowania, przeciwstawiając się przelotnej, łatwej emocji — Eichlerówna zamazała, zatarła główną scenę sztuki zbędnym sentymentalizmem.

Otoczyła panią Warren aurą tajemniczej melodii głosu, powtarzającym się rytmem modulacji zdań, co w mym przekonaniu pokrywało po prostu fakt, że nie zrozumiała roli i nie stworzyła sobie konsekwentnej koncepcji odtwarzanej postaci. Ten gretogarbizm może zniewalać i znieczulać widzów i krytyków, przyjmujących występ uroczej artystki jako sublimację erotyzmu, ale nie ma nic wspólnego ani z nowoczesnym stylem gry ani też z nowoczesnymi zadaniami sceny, narzuconymi już chociażby przez fakt zdobycia sobie w całej Europie nowej publiczności.

Rzecz szczególna, artystka kraju kultury socjalistycznej nie jest w stanie ani poddać się wymaganiom gry zespołowej ani też wyrazić społecznego sensu sztuki. Być może, że jest to reakcja wywołana przez komenderowanie teatrem i artystą, przez przekarmianie ludzi znaczeniem społecznym tam gdzie sens był raczej anty-społeczny. Być może także, że ogólna długotrwała atmosfera kultu hierarchii i autorytetu sprzyjała coraz dalszemu wywyższaniu wybitnych, a lekceważeniu szarych pracowników sceny: amerykański system gwiazdorów zastosowany w walce z kulturą *made in Hollywood*. Cóż za farsa!

Wydaje mi się że nie jest dziełem przypadku, iż styl rozsądnego, umiarkowanego realizmu, troszczącego się o pełnię każdego epizodu, o celowość każdego szczegółu przedstawienia i służenie intencjom autora rozwinął się przede wszystkim w atmosferze demokracji. Brak demokracji sprzyja tworzeniu się bóstw w każdej dziedzinie życia, nawet za kulisami teatru. Wtedy przeciwnicy lokalnego „kultu jednostki" chcąc nie chcąc przyjmują broń, jaką się z nimi walczy i z kolei sami tworzą konkurencyjne słońce.

Kto wie czy talent Ireny Eichler nie padł do pewnego stopnia ofiarą właśnie takiej sytuacji, od lat dokuczającej.

Osobna pochwała należy się Krystynie Dygat, grającej Vivię. Dygatówna nie ma tak bogatej indywidualności aktorskiej jak Eichlerówna, ale w roli córki pani Warren pokazała ile znaczy kultura sceniczna i dobra współczesna szkoła. Eichlerówna była chwilami olśniewająca a zarazem prowincjonalna, zdawało mi się, że na zakończenie sztuki rozda napiwki swoim partnerom. Dygatówna była skromna, zwyczajna i europejska.

Za reżyserię był odpowiedzialny Sheybal, choć podejrzewam, że tylko w teorii. Zdaje się, że i znacznie wytrawniejsi reżyserzy również nie radzili sobie w podobnej sytuacji. Czy wszystko to było skutkiem przypadku, czy stanowiło jakieś istotne i charakterystyczne odbicie stosunków teatralnych w kraju — trudno powiedzieć na odległość. W zestawieniu jednak z niektórymi występami polskimi („Grzech", „Lato w Nohant") na dorocznych festiwalach międzynarodowych w Paryżu budzi to niepokój i podejrzenia iż polski teatr odszedł od swej naturalnej drogi rozwoju.

Zdzisław BRONCEL

Jan Galinowski

W nocy z 13-go na 14-ty grudnia 1957 r. zmarł w Paryżu śp. inż. arch. Jan Galinowski, którego nazwisko mówi bardzo wiele całemu pokoleniu architektów polskich.

Po ukończeniu wydziału architektury na Politechnice Lwowskiej w roku 1935-ym Jan Galinowski przeniósł się do Warszawy, gdzie w bardzo krótkim czasie zyskał sobie imię jednego z czołowych architektów swojego pokolenia. Wraz z architektem Cybulskim, Jan Galinowski uzyskał nagrodę za projekt pawilonu polskiego na wystawie światowej w Nowym Jorku i chociaż nie była to nagroda pierwsza, właśnie ten projekt doczekał się realizacji w roku 1939-ym.

Nie jest to ani jedyny konkurs, ani jedyna nagroda o znaczeniu światowym, jaką uzyskał Jan Galinowski. Już po wojnie, pracując w Paryżu gdzie się osiedlił, zdobył drugą nagrodę na konkursie na gmach pałacu Rady Europy w Strassburgu. Projekt ten został zrealizowany. W tym samym konkursie nagrodę czwartą uzyskał Le Corbusier, powszechnie uważany za jednego z najwybitniejszych architektów świata.

W latach powojennych Jan Galinowski mieszkał i pracował w Paryżu współpracując z całym szeregiem wybitnych architektów francuskich, jak Claude Beraud, Bertrand Monnet, Jean Demaret i Lucien Zehrfus. Owocami tej współpracy jest szereg budowli, z których sam twórca najwięcej cenił szkołę w Cholet. Ponadto stworzył bardzo ciekawy projekt nowoczesnego garażu w St. Nazaire. Gmach ten znajduje się jeszcze w budowie. Szereg bloków mieszkalnych w La Rochelle powstał również według projektu Jana Galinowskiego, podobnie jak wiele domów mieszkalnych w Paryżu i w osiedlach podstołecznych.

Grono bardzo bliskich przyjaciół, odprowadziło Jana Galinowskiego na cmentarz w Thiais, gdzie pochowany został na Kwaterze Polskiej.

J. L.

Książki

Korespondencja Stalina

STAIN I CHURCHILL

Dość nieoczekiwanie Związek sowiecki uchylił rąbka krytych dotychczas szczelnie w jego archiwach tajemnic. W Moskwie wydano korespondencję wymienioną w okresie wojny 1941-1945 między szefami trzech rządów (1). Zbiór zawiera 900 listów i depesz, i sądząc ogólnie, wydaje się dość kompletny, a w każdym razie dystansujący wszystko, co było dotychczas ogłoszone w tym zakresie na Zachodzie. Tym samym Sowiety wydają się powracać od stalinowskich obyczajów trzymania wszystkiego co dotyczy ich państwa w ,,najsurowszym sekrecie'' — do leninowskiej zasady publikowania dokumentów tajnych kancelarii dyplomatycznych nawet z najnowszych czasów. Jednakże biorąc do ręki to wydawnictwo, nie należy ani na chwilę zapomnieć, że materiał przez nie dostarczony jest jedynie częścią dokumentacji stosunków sowiecko-anglo-amerykańskich z tej epoki. Na całość, choćby zredukowaną tylko do spraw dyplomatycznych, musiałyby się złożyć protokóły konferencyj — z licznych zebrań i spotkań jedynie jałtański został dotychczas ogłoszony przez Departament Stanu — oraz relacje ambasadorów i wymienione przez nich noty. Historyk współczesności będzie długo jeszcze operować materiałem niekompletnym: do jakich zaś omylnych wniosków to prowadzi, świadczyć może próba syntezy alianckiej kooperacji, dokonana przed czterema laty przez Królewski Instytut Brytyjski (2).

Z tym ograniczeniem publikacja ,,Państwowego Wydawnictwa Literatury Politycznej'' stanowi ważny krok ku poznaniu

---

(1) *Pierepiska Priedsiedatielia Sowieta Ministrów SSSR z Priezidientami SSzA i Premier-Ministrami Wielikobritanii wo wremia wielikoj otieczestwiennoj wojny* 1941-1945. Tom I. *Pierepiska z W. Churchill'em i K. Attlee'm...* Ministierstwo Inostrannych Dieł SSSR Gosudarstwiennoje Izdatielstwo Politiczeskoj Litieratury, Moskwa 1957.

(2) *America, Britain and Russia,* Survey of Internat. Affairs, 1939-1946. Por. moją recenzję, ,,Bellona'', 1954, I.

ludzi kierujących w czasie Drugiej Wojny Światowej polityką wielkich państw i ich wzajemnego stosunku. W szczególności poznaje się Stalina — a nigdy nie jest wystarczające zgłębianie jego umysłowości i charakteru — tę nową plagę, jaka nawiedziła ludzkość, bezpośrednio w ślad za Hitlerem. Społeczeństwa — w szczególności ,,demokratyczne'' i oplątane demagogią — ugięły się przed prestiżem siły, i na Zachodzie, do czasu ogłoszenia mowy Chruszczowa, nie śmiano mówić o przewrotności tyrana. Co gorsze, sami mężowie stanu lękali się prawdy o ,,generalissimusie'', kłamali lub dawali się okłamywać. ,,Nie zazdroszczę panu mówienia z tym bandytą'', brzmiało wczesne, z marca 1935, ostrzeżenie Piłsudskiego, skierowane do Edena.

Negocjatorzy wielkiej wojny, Churchill i Roosevelt, nie orientowali się jednak wcale z kim mają właściwie do czynienia. Churchill zużył całą swą niepośledną siłę charakteru na walkę śmiertelną z Hitlerem. Nie tylko nie dostrzegł groźniejszego jeszcze na dalszy dystans niebezpieczeństwa dla Brytyjskiego Imperium w osobie swego mimowolnego sojusznika, ale nie zorientował się wcale w jego charakterze, choć miał przecież po temu czasu i dostatecznych środków więcej niż Piłsudski. Przybrał od razu ton osobisty, zaufany ,,nieformalny; dojrzał w Stalinie pokrzywdzoną niewinność, odwołał się do jego uczuć. Wraz z Rooseveltem uznał, że najlepiej jest mu we wszystkim zawierzyć, ofiarować mu z góry nieograniczoną pomoc, nade wszystko nie stawiać żadnych warunków. Stąd wynikł na samym początku fatalny krok, przesądzający o wszystkim: kapitulacyjna mowa Churchilla, wieczorem 22 czerwca. Churchill tym samym zamknął sobie odwrót, zrezygnował z negocjacji.

Zdumiewające jest śledzić, jak w ciągu roku odwróciły się wzajemne pozycje kontrahentów. Stalin w krótkim czasie z proszącego staje się wymagający, dłużnik przeobraża się w wierzyciela. Niezadługo, od początku 1943, pojawiają się groźby. Zaiste, nie mają czego się wstydzić następcy i uczniowie Stalina, wydawcy *Pierepiski* z potentatami Zachodu, ludźmi wykształconymi, politykami urobionymi w życiu parlamentarnym, negocjatorami na najwyższych szczeblach hierarchii europejskiej i światowej. Stalin, samouk, dialektyk ze szkółki prawosławnej, wyrobiony na kółkach doktrynerów, praktyk od spisków i zamachów, grał tamtymi mężami, jak pionkami na swej szachownicy. Odznaczał się zimnym opanowaniem, świadomością celów własnych, niewybrednością stosowanych środków. Nie używał mowy wyszukanej, rąbał słowa brutalnie proste i wyliczał kolejno pozycje rachunków z czelnością orientalnego kupca. Kiedyś, zagubiony w tych nieznanych mu dziwnych osobach i stosunkach, zacny Sekretarz Stanu Byrnes, dawny sędzia, zastanawiał się głęboko, gdzie by miał szukać wzorów dla tych niełatwych sowieckich negocjatorów: czy między adwokatami, czy urzędnikami rachunkowości, czy pośród śliskich polityków; zapomniał jedynie o ich pierwowzorze na ławach podsądnych.

Na próżno więc Churchill starał się Stalina, jak mało znane mu zwierzę, obłaskawić. Może odegrała tu pewną rolę zadawniona pro-rosyjskość Anglika, który nie darmo chciał za czasów pierwszej wojny wyciągać kasztany z ognia — zdobywać Dardanele — dla Caratu; który potem tak bardzo angażował nadwyrężone finanse brytyjskie w wyprawie interwencyjnej przeciw bolszewikom, który jednakowoż wcale nie sprzyjał jedynemu realistycznemu rozwiązaniu zagadnień rosyjskich, inicjowanemu przez Piłsudskiego, popieranemu przez MacKindera. *Tempora mutantur* — i oto Churchill stał się od serca sojusznikiem najgorszego rodzaju sowieckiej dyktatury. Na próżno jednak starał się niewygodną przeszłość zatuszować wspomnieniem aliancko-rosyjskiej solidarności z 1914 roku. Na próżno starał się Stalinowi wygodzić, komplementować, winszować jemu, jego planom i inicjatywom, jego i Krasnej Armii powodzeniom. Na próżno popisywał się swą szczerością, próbował tonu bezceremonialnej serdeczności, nazywał go ,,swym przyjacielem''. Stalin pozostał zimny, sucho rzeczowy w swych wymaganiach; jako największy ze swej strony gest raz jeden tylko ,,uścisnął mocno rękę'', poza tym zbył wszelkie czułe słowa. Żądał pomocy jako swej należności. Żądał ,,drugiego frontu'', i każdą zwłokę traktował jako naruszenie żywotnych interesów Związku, z którym tenże ,,nie myśli się pogodzić''. Po kolei w sprawach Francji, Włoch, Persji Bliskiego Wschodu, w zagadnieniach wzajemnej informacji, w terminach i miejscach spotkań, obstaje przy swoim i w końcu zawsze wygrywa. Nie czyni z zasady nigdy żadnego ustępstwa, nie zmienia w niczym ustalonego raz postępowania, a wszelką uwagę czy jakibądź nacisk uważa za osobistą zniewagę lub obrazę ,,honoru'' Związku Sowieckiego.

Prawdziwy niesmak muszą wzbudzić ustępy tej wysoce urzędowej korespondencji, dotyczące innych, mniejszych państw i narodów: Turcji, Persji, Francji Walczącej, Jugosławii. Churchill przybiera w nich nie tylko rolę mentora, rozporządzającego się z lekkim sercem cudzymi sprawami, ale zdradza prowadzone z nim w ich imieniu poufne rozmowy. O Turcji, po spotkaniu z Ismetem w Adanie (styczeń 1942), opowiada otwarcie, jak boi się ona Rosji, i wplątuje jej mężów stanu w niepożądane i śliskie pertraktacje z zawziętym jej wrogiem. Z równą otwartością odkrywa trudności swych stosunków z Francją, dając Stalinowi okazję do gry i korzyści. Króla Jugosławii określa jako niesfornego młodzieńca, dając tym znowu tylko sposobność temu, który w tejże chwili trzyma wszystkie nici intryg — Tito i Szubaszicza. Stalin trzyma się z większą rezerwą i nie odkrywa przed Premierem brytyjskim swych kart; ale korzysta z tych okazji, aby wprowadzić zwyczaj omawiania i rozstrzygania światowych spraw we trzech. Nie ma w tej korespondencji najmniejszego śladu rzekomej brytyjskiej inicjatywy, o której wiosną 1943 roku słyszał od Edena Sikorski, tworzenia jakiegoś gremium siedmiu państw, mającego prowadzić wojnę i przygotowywać pokój. Wprost przeciwnie, już 22 listo-

pada 1941 Churchill mówi Stalinowi o „trzech głównych uczestnikach" przyszłej Konferencji pokojowej. Ta podstawowa zasada ustala się z chwilą wejścia Stanów Zjednoczonych do wojny, i odtąd, jak gdyby nieumyślnie, bez żadnego formalnego aktu, wchodzi w zwyczaj, że wszystkie sprawy większej wagi, między innymi sprawy innych narodów walczących czy neutralnych omawiane są bez ich udziału i nawet wiadomości w zamkniętym gronie „Trzech". Na tym szczeblu, jako najwyższej instancji spraw światowych, zapadają główne i nieodwołalne decyzje. Stalin wygrał tę partię przy pomocy Churchilla bez żadnego nacisku ze swej strony i mógł pozostawić demokracjom całe odium tej niedemokratycznej procedury.

W takich warunkach sprawy polskie były z góry stracone i przegrane. W szczególności przegrana była sprawa granicy polsko-sowieckiej, niejasno wyrażona w układzie Sikorskiego z Majskim 31 lipca 1941. O tym zresztą układzie, zawartym przez stronę polską pod silnym naciskiem angielskim, korespondencja Churchilla ze Stalinem milczy.

Sprawy polskie miały być odtąd omawiane poza Polską samą, przeważnie — jak o tym świadczy korespondencja — bez jej wiadomości. Dyskutowane i decydowane być miały w gronie trzech, w którym zasiadała strona druga, bezpośrednio przeciw Polsce działająca od czasu układu Mołotowa z Ribbentropem. W ten sposób państwo zainteresowane miało współ-decydować o państwie nieobecnym.

Z ogólnej liczby 381 omawianych tutaj numerów korespondencji Stalina z Churchillem około 46 listów dotyczy spraw polskich. Z tych jedynie kilka, odnoszących się do krytycznego roku 1944 i do Powstania Warszawskiego, ogłosił Churchill w swych kronikach. Reszta, czyli *gros* tych dokumentów, było dotychczas nieznane, wszystkie więc polskie opisy tego okresu muszą być w ich świetle zrewidowane (3).

Pisząc w kilka lat po wojnie, Churchill skonstatował ten prosty fakt, że „postawa Rosji względem Polski leżała u podstaw wczesnych (anglo-sowieckich) stosunków". Toteż od razu w pierwszej wymianie listów Stalin przewidująco sugeruje, że Niemcom łatwiej byłoby atakować na linii Mińska i Kamieńca, aniżeli w „rejonie" Lwowa i Białegostoku, usprawiedliwiając tym sposobem *post factum* linię podziałową Ribbentrop-Mołotow; zaś Churchill zadziwiająco łatwo poddaje się tej sugestii, pomijając kwestię podziału Polski. Taki był zdradliwy początek. O następnych epizodach polskich trudności *Pierepiska* zachowu-

(3) Większy stosunkowo procent — około trzeciej części — korespondencji ogólnej i nie dotyczącej spraw polskich, ogłosił Winston Churchill w swej 6-tomowej kronice wojny, zatajając oczywiście bardziej drażliwe i wyraźniej niegrzeczne.

je dyskretne milczenie: nie mówi nic ani o układzie Sikorskiego z Majskim (31 lipca 1941), ani o niedojściu do porozumienia w rokowaniach z Mołotowem w Londynie i w Waszyngtonie w sprawie zachodniej granicy Rosji (kwiecień-maj 1942). Churchill nie waha się jednak stwierdzić w liście z 24 maja, że trudność polega na istnieniu zobowiązań brytyjskich wobec Polski i na opinii publicznej angielskiej. Następnie, 27 maja, dziękuje Stalinowi za ustępstwa w układach, zaś w dwa miesiące później, w lipcu — za ,,tak łaskawie zaofiarowane trzy polskie dywizje'', stwierdzając tym samym sowiecką inicjatywę ewakuacji polskich wojsk z Rosji. Natomiast kroki nieśmiałe przedsięwzięte ku poparciu ewakuacji cywilnej, lub kontynuowaniu wojskowej, najwidoczniej natrafiły na niezwyciężone sprzeciwy i rozmowy Churchilla w Moskwie nie dały rezultatów: sprawy te toną najwidoczniej wśród nawału zagadnień: dostaw, konwojów i ,,drugiego frontu'' (4).

Pierwszy kryzys polski, odzwierciadlony w *Pierepiskie* wynika w związku z rewelacjami niemieckimi o Katyniu. I tym więc razem uderzenie niemieckie sprzyja uderzeniu sowieckiemu i odżywa pomimo woli solidarność spontaniczna przeciw Polsce. 21 kwietnia Stalin konstatuje ,,wiarołomny cios'', zadany Związkowi sowieckiemu przez... Polaków, oskarża rząd Sikorskiego, z powodu jego apelu do Czerwonego Krzyża, o ,,kontakt i zmowę'' z Hitlerem, a Rząd brytyjski — co najmniej o współwiedzę; równocześnie, nie czekając na żadne wyjaśnienie, jak gdyby tylko szukając okazji, zrywa z Polską stosunki. (Trzeba prawdziwej odwagi ze strony redaktorów wydawnictwa, aby przy tej okazji mówić w przypisku o ,,wrogiej Sowietom oszczerczej kampanii zainaugurowanej przez hitlerowców z powodu przez nich samych zabitych polskich oficerów''). Rozszerzając groteskowe oskarżenia, Stalin dopiął swego: zredukował reakcje Churchilla do zakłopotanej obrony. ,,Nigdyśmy nie aprobowali żadnych pertraktacji z Niemcami, ani jakiegobądź kontaktu z nimi'' — oto był pierwszy, bezpośredni odzew na zarzuty. ,,Polacy nie uprzedzili Rządu brytyjskiego'' o swojej akcji — taki był główny kłopot Premiera. Wyrażał wprawdzie ,,żal i rozczarowanie'' z powodu zbyt pośpiesznego postępowania Sowietów, ale zadowolnił się wykrętem Stalina o ,,nacisku kolegów'', oburzonych ,,niewdzięcznością i wiarołomstwem Rządu polskiego'', a puścił płazem insynuację, iż trudno uwierzyć, aby Rząd brytyjski nie był informowany zawczasu o zamiarze Polaków. Bronił jeszcze wprawdzie Sikorskiego — ,,to najpotrzebniejszy człowiek'' — ale równocześnie przez Edena zażądał cofnięcia apelu do Czerwonego Krzyża i rozważał ,,możliwość nakazania mil-

---

(4) Mimochodem *Pierepiska* zawiera (przypis 38) interesujący, a nieznany dotychczas szczegół: W ,,konspekcie oświadczeń'' złożonych gen. Ismetowi przez Churchilla na spotkaniu w Adanie (30-31 stycznia 1943) znajduje się zapewnienie przysłania do pomocy Turcji ,,polskiego korpusu''. Strona polska nie została o tym zapewnieniu uwiadomiona.

czenia pismom polskim, które napadały na Rząd sowiecki''; po czym 30 kwietnia, zawiadamiał o gotowości gabinetu brytyjskiego ,,zaprowadzenia niezbędnej dyscypliny w prasie polskiej''; w końcu, 12 maja, zapewnił Stalina, że prasa polska i inne cudzoziemskie wydawnictwa będą odtąd ,,pod kontrolą'', a jednocześnie przyznał, że ,,można ulepszyć skład Rządu polskiego'' i obiecał naradzić się nad tym z Rooseveltem. Stalin natomiast nie przestawał wygrywać osiągniętego tak łatwo zwycięstwa i pomstował nadal przeciw ,,Polakom-hitlerowcom'', przeciwko polskiej prasie, i rządowi Sikorskiego, który, ,,choćby chciał'', pozostawał ,,bezsilny'' i ,,zastraszony przez pro-hitlerowskie elementy'' i nie daje żadnej gwarancji ,,lojalności'' wobec Sowietów.

Zastraszony okazał się sam Churchill. W korespondencji nie znajdujemy żadnego śladu ówczesnej wersji polskiej, jakoby starał się o ułatwienie Sikorskiemu, w czasie jego podróży na Wschód, widzenia ze Stalinem. Podobnież nie ma echa tragicznej śmierci Sikorskiego (4 lipca), choć brak jego aktywności zaciążył tak fatalnie na okresie zjazdu ministrów w Moskwie i konferencji w Teheranie (październik — koniec listopada 1943). Stalin mógł się już śmiało zastrzec (12 listopada), iż ,,udział jakichbądź innych państw winien być z góry wykluczony''. W Teheranie właśnie, na pierwszym spotkaniu ,,trzech'', wydobyta została z zapomnienia ,,linia Curzona'', tak bliska wspólnictwa Mołotowa z Ribbentropem, i Stalin mógł się w następnej wymianie listów powołać na zawarte tam z Churchillem i Rooseveltem porozumienie o zaprzedaniu wschodnich dzielnic Polski: zostało ono starannie zatajone przed Rządem polskim. Wkrótce po Teheranie, Churchill przyjmuje w Afryce Benesza i z góry rozgaduje się przed Stalinem o celu spotkania z tym ,,mądrym człowiekiem (5 stycznia 1944): ,,powinien pomóc nauczyć rozumu Polskę''.

Zaraz też, po powrocie do Londynu, zabrał się Churchill do uczenia Polaków.

27 stycznia 1944 odbyła się w Londynie konferencja z ich przedstawicielami, której treść pozostała dotychczas nam nieznana, natomiast była zakomunikowana w liście z 1 lutego Stalinowi. Churchill wysunął tam, jako swoje własne, wszystkie argumenty stalinowskie: bezpieczeństwo Rosji, jej ,,przystanie'' na linię Curzona, gotowość kompensaty dla Polski na zachodzie, i mógł donieść Stalinowi, że ministrowie polscy bynajmniej nie odrzucają propozycji, domagają się tylko czasu do namysłu. Stalin odpowiedział brutalnie (4 lutego): zgoda na linię Curzona jest ,,wielkim ustępstwem'' wobec Polaków, oni natomiast prawią nadal o ,,narzuconej nam'' granicy ryskiej; konieczne jest aby sojusznicy pokierowali Polakami, aby zmienili ,,faszystowski'' charakter Rządu polskiego, zażądali usunięcia generała Sosnkowskiego, ,,włączenia ludzi demokratycznie myślących''. Tymczasem Churchillowi zdawało się, że był bliski rezultatu: przez cały luty ,,bez przerwy walczył z Polakami'', a deklara-

cją publiczną o brytyjskim uznaniu linii Curzona (22 lutego) zagrodził im drogę odwrotu. W pięć dni potem mógł donieść Stalinowi triumfalnie o kapitulacji Mikołajczyka: ,,Rząd polski, pisał 27 lutego, gotów jest oświadczyć, że linia ryska nie odpowiada już teraz istniejącemu położeniu i że gotów on z naszym udziałem rozważyć wraz z Rządem sowieckim zagadnienie nowej granicy''. Dodane były wprawdzie pomniejsze wybiegi: Wilno i Lwów miały oczywiście przypaść Rosji, ale chwilowo, ze względu na ich ludność, zachować administrację polską; dla niektórych innych rejonów na wschodzie miała być przewidziana administracja z udziałem Narodów Zjednoczonych; zresztą, zanim jeszcze list ten został odprawiony, komentarze prasy londyńskiej mówiły o tymczasowej ,,linii demarkacyjnej'', jako projekcie wysuniętym przez czynniki polskie w odpowiedzi na żądania Stalina.

Nic nie jest bardziej znamienne dla zachłannej i bezkompromisowej taktyki Stalina, jak jego odpowiedź Churchillowi. Nic nie było mu bardziej wstrętne, jak poddanie zagadnienia polskiego pod kontrolę międzynarodową, nic dalsze od jego polityki jak przyjęcie pośrednictwa zachodniego, a nade wszystko brytyjskiego w tej sprawie. Więc 3 marca pisze: ,,Jeszcze raz doszedłem do wniosku, że tacy ludzie nie są zdolni ustalić normalnych stosunków z ZSSR... Nie tylko nie chcą oni uznać linii Curzona, lecz jeszcze pretendują do Lwowa i Wilna. Co się zaś tyczy kontroli międzynarodowej niektórych sowieckich terytoriów, to tego rodzaju podgryzań (*podpołznowienia*) nie możemy rozpatrywać, gdyż samo ich postawienie uważamy za obrazę Związku sowieckiego''.

Churchill w swej odpowiedzi (7 marca) dziękował Stalinowi za to pogardliwe zbycie jego uzgodnionej z Rządem polskim propozycji i wycofywał się niezgrabnie: ,,wyjaśniłem Polakom, że nie otrzymają Lwowa ani Wilna''''; poza tym zarzekał się, że nie chciał obrażać. Jednakowoż, mimo wszelkich ustępstw, pochlebstw, komplementów Churchill nie mógł pominąć okazji do ekskursji w dziedzinę filozofii historii: ,,siłą można osiągnąć wiele, zwracał uwagę sowieckiemu władcy, — ale siłą popartą dobrą wolą całego świata — jeszcze więcej''. Tutaj z kolei Stalin nie wytrzymał i sięgnął do cięższej amunicji (23 marca): ewentualne oświadczenie brytyjskiego Premiera, że nie uznaje zmian spowodowanych siłą byłoby wrogim wystąpieniem i obrazą Związku sowieckiego, aktem niesprawiedliwości i nieprzyjaźni; ,,obawiam się dodawał, że metoda gróźb i dyskredytowania, jeżeli będzie stosowana nadal, nie będzie sprzyjała naszej współpracy''.

Churchill uległ zbyt wyraźnej groźbie i zamilkł. Ostatnia próba pośrednictwa brytyjskiego między Polską a Sowietami spełzła na niczym. Ostatni wysiłek, aby coś zrobić, coś przedsięwziąć, by ocalić chociaż pozory honorowego wyjścia z aliansu z Polską, kończył się mizernie. Churchill nie odegra już żadnej roli samodzielnej w tym sporze: stanie się po prostu rzecznikiem

i chwalcą sowieckiego na Polskę zamachu. Ten stary praktyk debat i polemik, zaznajomił się przy tej okazji z nową metodą, zwaną w pseudo-nauce marksowskiej dialektyką. Polegała ona na wykręceniu treści na opak i użyciu chwytów drugim końcem. Rezygnacja Mikołajczyka z obrony całości Polski nazwana była odmową porozumienia z Sowietami. Pośrednictwo Churchilla między dwoma rządami — niedyskretną ingerencją w prawa i interesy sowieckie. Zrzeczenie się przezeń pośrednictwa — obrazą. Gdy z przyzwolenia Churchilla Sowiety zagarniały ziemie polskie, było to pokojowym układem. Gdy Polacy żądali odłożenia sprawy granic do pokoju, było to aktem nieprzyjacielskim, bo przecież ,,Sowiety żadnej wojny z Polską nie prowadziły''. Wyrazy przestały mieć obiegowe znaczenie, pojęcia o trwałym dotąd znaczeniu odwracano swobodnie na opak. aZchód ze swą wiekową kulturą słowa i prawa okazał się bezsilny. Dialektyka miała się stać śmiertelną bronią, gdy pochwycona przez bandytę zdołała usprawiedliwić zbrodnię.

STALIN I ROOSEVELT

Korespondencja Generalissimusa sowieckiego z Prezydentem Stanów Zjednoczonych (1) nosi inny, zrazu poważniejszy charakter aniżeli wymiana listów z Premierem brytyjskim. Jeszcze raz konstatujemy kameleonową umiejętność u gruzińskiego diaka w przystosowaniu do każdej życiowej sytuacji i na wszelkim szczeblu ludzkiej drabiny. Poza tym w Churchillu Stalin ani na chwilę nie przestał upatrywać wroga; we władcy Stanów widział, o ileż wnikliwiej niż Hitler, potęgę wojenną, a nade wszystko równą jego własnej żądzę władzy. Roosevelt wydać się mógł właściwym kandydatem do współpanowania nad światem; prócz tego trzymał on w ręku swym pieniądze i środki materialne, co dla realisty na Kremlu miało wartość główną.

Nie tylko więc Stalin umie zachować dystans właściwy w stosunku do głowy wielkiego państwa, ale w odróżnieniu od zaczepnej oschłości tonu użytego wobec Churchilla zdolny jest wyrażać wdzięczność, być serdeczny, niemal miękki. Ani razu w stosunku do Anglika nie zniżał się do prośby, ani razu w nagłówkach lub zakończeniach listów nie użył tych wyrazów przyjacielskich

(1) *Pierepiska Priedsiedatielia Sowieta Ministrow SSSR* (jak wyżej). Tom wtoroj, *Pierepiska z F. Rooseveltom i H. Trumanom* (Awgust 1941-Diekabr' 1945). Gosudarstwiennoje Izdatielstwo Politiczeskoj Litieratury, Moskwa 1947. Ministtierstwo Inostrannych Dieł. Str. 296.

i serdecznych, jakie rezerwował dla Prezydenta. Ze swej strony Roosevelt, przynajmniej w pierwszej fazie, umie zachować sztywną rzeczowość, obowiązującą na jego wysokim urzędzie, i nie pozwala sobie na te żarciki i dobroduszne poufałości, jakich pełno w podchlebiających się epistołach zbyt obytego z literaturą premiera Wielkiej Brytanii.

Pierwsze wymiany listów (1941-1942) pełne są komplementów, wrajemnego sobie dogadzania, podziękowań. Obaj, Roosevelt i Stalin, gotowi są wspólnie pracować nad neutralizacją Finlandii — nawet szczegół dotychczas nieznany — z gotowością do ustępstw terytorialnych ze strony Sowietów. Obaj zgadzają się w zasadzie na spotkanie ,,we trzech''; obaj, z łatwością, na podróż, niewinną zresztą. W. Willkie do Rosji. Bez trudności uzgadniają, wedle wczesnej prosowieckiej inicjatywy Hopkinsa, rozmiary pierwszego etapu ,,nieograniczonej'' pomocy amerykańskiej : już w pierwszych dniach listopada 1941, a więc zanim Stany znalazły się w wojnie, Stalin mógł dziękować za pierwszy miliard; 13 lutego 1942 wyraża swą wdzięczność za drugi (2). Tylko stopniowo, jakimś długodystansowym węchem, Stalin zdołał się zorientować w słabostkach partnera, w jego lekkomyślnej gotowości do jednostronnych ofiar, w jego łatwowiernym przyjmowaniu słów za prawdę. Wówczas od razu staje się ostrożny : w grudniu, bezpośrednio po wybuchu wojny z Japonią, odrzuca śmieszny pomysł Roosevelta wciągnięcia go w konflikt na Dalekim Wschodzie; w miesiąc potem jeszcze bardziej stanowczo odrzuca podejrzane próby udzielenia mu nieproszonej pomocy ,,na wypadek japońskiego ataku''. — ,,W obecnym czasie, przypomina Prezydentowi, potrzebna nam pomoc nie na Dalekim Wschodzie, gdzie Związek Sowiecki wojny nie prowadzi, a na froncie najokrutniejszej wojny z Niemcami''. Gdy zaś Roosevelt, pomimo tych zastrzeżeń chce bardziej krętym sposobem wprowadzić Amerykanów do wojsk syberyjskich pod pretekstem ,,inspekcji'' generała Bradley'a, Stalin nie bez ,,zdumienia'' poucza Prezydenta, że ,,rosyjskie obiekty wojenne mogą być inspekcjonowane jedynie przez Rosjan'', i że ,,w tym przedmiocie nie można pozwolić na żadne niejasności''.

W ten sposób Roosevelt rozbudził przyrodzoną, podejrzliwą nieufność władcy na Kremlu, i od wiosny 1943, gdy jasne się staje, że strategia Zachodu ustalana jest na płaszczyźnie narad z Churchillem, wymiana listów po stronie Stalina nabiera jednostajnych cech upominania się, potem domagania, o drugi front. Faktem jest, że staranie o obłaskawienie Stalina ze strony Churchilla doprowadziło do udzielania gołosłownych obietnic, a potem do odkładania ich wypełnienia : Stalin rejestruje obietnice (styczeń 1943), trwoży się o wykonanie (marzec), wreszcie

(2) W sierpniu 1942 Roosevelt odprawia ponad tysiąc tanków; 16. X. donosi o przekazaniu 2 milionów ton pszenicy, oraz kwot miesięcznych 10 tysięcy ciężarówek i po 10-15 tysięcy ton mydła, mięsa i tłuszczów.

twardo formułuje swój zawód i oburzenie tym, co uważa za decyzje powzięte bez jego udziału i zezwolenia, wyraźnie już grożąc „ciężkimi następstwami” (czerwiec). W tych warunkach przepuszcza niezwykłą okazję: 5 maja 1943, w przede dniu spotkania z Churchillem, Roosevelt wysyła do Stalina jako swego zaufanego Josepha Daviesa z propozycją spotkania we dwóch, jedynie w obecności Harry Hopkinsa, pozostawiając do ustnego uzgodnienia wybór miejsca i to takiego, gdzie można by „uniknąć zaproszenia Churchilla”. Stalin nie odmawia, sugeruje (niewymienione) miejsce, lecz samo spotkanie odkłada; tymczasem 13 maja zjawia się w Waszyngtonie Churchill, okazja intrygi zostaje stracona, i odtąd, przez długie miesiące lata i jesieni, idą kulawe narady nad nieuniknionym spotkaniem we trzech. Ich historia, prowadząca do Teheranu, jest ze źródeł anglo-amerykańskich dosyć dokładnie znana.

Pomimo tych zgrzytów, nieporozumień i często niedomówień, korespondencja z Rooseveltem pozostaje, aż do tragicznych dni po Jałcie, odmienna od prowadzonej równocześnie z Churchillem: nie jest zwalczaniem wroga, pozostaje jednaniem sobie wspólnika. Nawet w najdrażliwszych sprawach polskich ton Stalina pozostaje perswazją, pouczeniem, uświadamianiem ignoranta. Churchilla Stalin obezwładnia przez wytrącenie mu poparcia Prezydenta; Roosevelta — łowi na wędkę „demokracji”: demokratycznego załatwienia, wysłuchania prawdziwych „demokratycznych przedstawicieli polskich”. Brzmi prawie jak nuta triumfu, gdy 6 maja 1944 Stalin dziękuje z wylaniem Prezydentowi za pomoc okazaną w sprowadzeniu Orlemańskiego do Moskwy, i po raz pierwszy i jedyny nazywa Roosevelta w nagłówku listu „Mój dorogoj Druh”. Wędka chwyciła upatrzoną ofiarę.

Poprzez rozmaite epizody stosunku „trzech” przewija się złowrogi wpływ Hopkinsa. Jak wiadomo, do lata 1943, w ciągu półczwarta roku, mieszka on w Białym Domu i jest nierozłącznym doradcą Prezydenta. Bezpośrednio po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, wysłany został do Moskwy i zetknął się ze Stalinem; odtąd z Waszyngtonu kierował olbrzymim dziełem pomocy dla Rosji. Jego inspiracji przypisać należy przewrotny pomysł spotkania „we dwóch”, z maja 1943. Na jesieni tegoż roku on jest, u boku Prezydenta, sprężyną zjazdu w Teheranie i jego inicjatywie należy przypisać dziwny telegram z 24 listopada, w którym Roosevelt radzi się Stalina co do własnej rezydencji, czym oczywiście wywołuje zaproszenie; dotychczas sądzono, iż niebezpieczny pomysł zamieszkania w naszpikowanej szpiegami ambasadzie ZSSR powstał z inicjatywy Stalina. Podobnież w rok potem, gdy chodziło o drażliwą i ważną sprawę wyboru miejsca na ponowne spotkanie „trzech”, Stalin mógł już 19 października, na cztery miesiące przed Jałtą, powołać się na to, że to Hopkins zaproponował Morze Czarne, czyli terytorium rosyjskie; dotychczas sądzono, że pomysł Krymu należał wyłącznie do Stalina. Analizując korespondencję dyktatora

Moskwy z Prezydentem Stanów, należy mieć wciąż na uwadze doniosły fakt, że przez cały niemal czas cieniem Roosevelta był tym szkodliwszy, że zapewne dobrowolny — agent Stalina.

◆

Pierepiska nie rozstrzyga sama przez się wszystkich zawiłych kwestii, związanych ze stosunkiem sowiecko-amerykańskim, i nie daje również całkowitego materiału do polityki polskiej Roosevelta. Nie ma nawet wzmianki o pobycie generała Sikorskiego w Waszyngtonie (grudzień 1942), choć niewątpliwie dla tej polityki miał on znaczenie. Protokóły rozmów z Mołotowem w Londynie nie są znane, a notatki ogłoszone przez Sherwooda z jego rozmów w Waszyngtonie nie są zupełne (maj-czerwiec 1942), a przecież zawierały one klucz do niebezpiecznego, a niezrozumianego w swym niebezpieczeństwie przez Polaków, odłożenia politycznych problematów na ,,po wojnie'': zaledwie rąbek tych tajemnic odsłania znane brutalne wypowiedzenie Prezydenta do Edena (14 maja 1943): ,,mocarstwa będą decydowały o tym co Polska ma mieć... na Konferencji Pokojowej nie będzie targowania się z Polską, ani innymi małymi państwami... ważne jest (jedynie) Polskę urządzić w taki sposób, jaki się przyczyni do utrzymania pokoju świata'' (3). Poza tym, zerwanie przez ZSSR stosunków z Polską Roosevelt traktuje z nieangażującą się ostrożnością, zaś zagadkowa śmierć Sikorskiego nie znajduje u Prezydenta Stanów żadnego oddźwięku.

Pierwsze telegramy w korespondencji z Rooseveltem, dotyczące Polski, wymienione zostały dopiero w połowie lutego 1944, a zatem Konferencja w Teheranie i powzięte na niej decyzje ,,trzech'' nie znalazły w niej żadnego echa. Odtąd jednak, i do swej śmierci, z ogólnej liczby wymienionych przez Roosevelta ze Stalinem 140 telegramów-listów 30 dotyczy Polski.

Za moment tedy przełomowy i za chwilę wspólnej decyzji ,,trzech'' okrojenia i obezwładnienia Polski należy uznać Teheran. Roosevelt, zgadzając się tam na szantaż Stalina i wstydliwie zastrzegając tajemnicę dla swej decyzji przed własnym Kongresem i społecznością wyborców, odjął sobie prawo i możność interwencji, jakie w tymże czasie, w sprawach francuskich czy włoskich, arogował sobie w pełni Stalin. Toteż, kiedy Rząd polski, nieświadomy zupełnie tej sytuacji, zwrócił się oficjalnie, 15 stycznia 1944, o mediację do Rządu Stanów, Roosevelt znalazł się w potrzasku: prośbę polską przyjął, ale wobec Sowietów pozostał związany i utracił możność wpływu na ich decyzję. Toteż zaraz w odmownej nocie Mołotowa wystosowanej do Hulla 23 stycznia a ogłoszonej w przypisach *Pierepiski,* brzmi ton drwiny: ,,Rząd sowiecki poszedł na ustępstwa, uznając gra-

---

(3) Robert E. Sherwood, *Roosevelt and Hopkins,* New York 1948, str. 710, według protokółów zestawionych współcześnie z rozmów Prezydenta z ministrem Edenem przez Harry Hopkinsa.

nicę z 1939 roku za podlegającą zmianom''; tymczasem ,,Rząd Mikołajczyka, zamiast się wyprzeć faszystowskich aktów Rządu Sikorskiego, ogłosił, że będzie kontynuować jego politykę''; swój zaś projekt mediacji wysunął nie w celu porozumienia, ale ,,aby pogłębić konflikt i wciągnąć doń sojuszników''. Roosevelt przez długie dwa tygodnie zwlekał z odpowiedzią na te wymysły; w końcu przekazał cały kłopot Churchillowi, sam zaś zwrócił się do Stalina po raz pierwszy z niegodnym Prezydenta listem: wyrażał w nim nadzieję, że Rząd polski pod naciskiem angielskim ,,zgodzi się na omówienie zmian terytorialnych'', że Mikołajczykowi uda się ,,przeprowadzić zmiany'' w swym rządzie, ,,nie wywołując wrażenia nacisku ze strony obcego państwa''; jednakże w całym swym długim wywodzie nastawał na bezpieczeństwo i ,,interesy Rosji'', podnosił ,,sprawiedliwość' jej żądań, wyrażał ,,zrozumienie'' dla argumentacji Mołotowa. Dał tym okazję Stalinowi do wzmocnienia tonu: w liście z 16 lutego stwierdza on, że ,,zgadzając się na linię Curzona... poszliśmy na bardzo znaczne ustępstwa w sprawie granic''; poza tym zaś, że Rząd polski, ,,w którym główną rolę odgrywają elementy wrogie Związkowi sowieckiemu, profaszystowskie, imperialistyczne, i w którym nie ma prawie elementów demokratycznych, nie posiada gruntu w samej Polsce'' i zdolny jest jedynie ,,wnieść nieporozumienia wśród demokratycznych państw''; stąd, ,,podstawowe naprawienie składu Rządu polskiego stało się kwestią dojrzałą''. Jednym pociągnięciem Stalin odwrócił sytuację: zamiast przyjąć dyskusję nad stosunkiem swym i Sowietów do Rządu polskiego, otworzył między-aliancką dyskusję nad jego składem.

W ten sposób, uchyliwszy ingerencję czynnika trzeciego, Stalin mógł skoncentrować się na Churchillu i w marcu swą wyraźną groźbą zmusił go do zamilczenia w sprawie polskiej. Roosevelta odtąd się nie obawiał. Wymógł na nim lekką ręką (marzec-maj 1944) przysłanie mu zwerbowanych przez jego własne agentury prawdziwych polskich ,,demokratów'' — Langego i Orlemańskiego. Mógł przyjąć z zadowoleniem przysłane mu 19 czerwca sprawozdanie z wizyty w Waszyngtonie oszukanego Mikołajczyka: ,,nie była ona związana, pisał Prezydent, z jakąbądź próbą z mej strony mieszania się w treść nieporozumień... nie podjęto żadnego określonego planu ani propozycji, dotyczącej w czymkolwiek polsko-sowieckich stosunków''. Wystarczy spojrzeć na polskie sprawozdania z ówczesnych waszyngtońskich rozmów, aby zmierzyć głębię fałszu w nowoczesnych międzynarodowych stosunkach.

Wszystko, ku latu 1944, zapowiadało się pomyślnie dla wielkiego planu Stalina: włączenia Polski, a poprzez ujarzmioną Polskę, całej środkowo-wschodniej Europy, w ramy sowieckiego imperium. W lutym powstała komunistyczna ,,polska rada narodowa''. W czerwcu ogłosiła się ,,reprezentacją'' Polski. W lipcu wyłoniła ,,Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego'', ustanowiła ,,Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich'' i skonsta-

towała porozumienie z Rządem sowieckim. Armia Czerwona wkraczała szeroką ławą do Polski. W obliczu tych wydarzeń premier Mikołajczyk, nie orientując się w wytworzonej sytuacji, a namówiony przez Churchilla, wybierał się do Moskwy. Podróż ta była poparta prośbami zarówno premiera brytyjskiego, jak Prezydenta Stanów, i otrzymując je Stalin mógł sobie wyobrazić, że wystąpi w roli pacyfikatora między zwaśnionymi rzekomymi dwoma obozami opinii polskiej i że pokojowo, ,,demokratycznie'', przełknie Polskę. W tym, jak to dzisiaj można skonstatować z własnych jego wypowiedzi, przeszkodziło mu Powstanie w Warszawie.

Jeszcze 23 lipca zachwala on Churchillowi ,,Polski Komitet Oswobodzenia Narodowego'', rezydujący w Lublinie: ,,żadnych innych organizacji nie znaleźliśmy'', donosi z pełną pewnością siebie: ,,tak zwany ruch podziemny emigracyjnego rządu okazał się efemerydą, pozbawioną wpływu...''; a 28 lipca, więc niemal w przede dniu powstania upewnia Churchilla, że ,,utworzenie Komitetu (złożonego) z demokratycznych sił... będzie dobrym początkiem dla zjednoczenia Polaków, przyjaźnie usposobionych dla Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego'', a równocześnie wyraża gotowość ,,współdziałania ze wszystkimi Polakami i pośredniczenia w... ich zjednoczeniu''. Powstanie Warszawskie zdziera maskę z tej próby pokojowego owładnięcia Polską za zgodą ,,wszystkich Polaków''. Przez pierwsze dwa tygodnie Stalin próbował ignorować powstanie, zaprzeczać nawet jego istnieniu i tworzyć sobie dymną zasłonę z rozmów z bezradnym Mikołajczykiem. Dopiero gdy fakty stały się zbyt oczywiste, dał ujście swej niepohamowanej wściekłości. ,,Prędzej lub później, tak odpowiedział 22 sierpnia na łączną depeszę Churchilla i Roosevelta (4), prawda o garstce przestępców, którzy spowodowali, celem zagarnięcia władzy, warszawską awanturę, stanie się powszechnie wiadoma''. Na parę dni przedtem uwiadamiał, że ,,dowództwo sowieckie doszło do wniosku, iż musi się odgrodzić od warszawskiej awantury, nie mogąc ponosić ani bezpośredniej, ani pośredniej (za nią) odpowiedzialności''. Teraz próbował dowieść sojusznikom, że wytworzone powstaniem położenie jest ,,krańcowo niedogodne dla Czerwonej Armii'' albowiem ,,przyciąga wzmocnioną uwagę Niemców do Warszawy'' (4). Wszystkie te dialektyczne krętactwa nie były w stanie zasłonić groźnej wymowy wypadków: zrywu polskiego dążenia do niepodległości, zmagania się Warszawy z koncentrującą się przemocą niemiecką, braku wszelkiej próby ze strony wojsk sowieckich strategicznego wyzyskania tej sytuacji. Fakty te składały się wyraźnie na obraz hitlerowsko-sowieckiego współdziałania przeciw Polsce. Konflikt między zachodnimi Aliantami a Związkiem Sowieckim wydawał

(4) Wszystkie te trzy telegramy: Stalina z 16. VII.., Churchilla i Roosevelta z 20. VIII., i Stalina z 22. VIII. zostały już ogłoszone przez Churchilla, VI. 134 sqq.

się nieunikniony. Naprężoną sytuację uratował — według do tychczasowego stanu źródeł — Roosevelt, odmawiając zastoso wania środków represyjnych, proponowanych przez Churchilla W ciągu półtrzecia miesiąca miały nastąpić wybory w Stanach i Prezydent nie mógł przyznać się wyborcom do zobowiązań za ciągniętych w Teheranie, ani ryzykować ich ujawnienia prze Stalina.



Na popielisku Warszawy, jesienią 1944, rozstrzygnięte zo stały sprawy polskie, a tym samym usunięta główna przeszkod ścisłej jedności między trzema aliantami. Zdarzały się wpraw dzie jeszcze nieporozumienia — w sprawach jugosłowiańskich rumuńskich, włoskich, zawieszenia broni — załatwiane one był jednak przez Stalina według wypróbowanej metody : z powod nieporozumienia *a* wysuwał pretensję *b* i załatwiwszy ją n swoją korzyść, powracał do *a* i rozwiązywał je po swojemu, gro żąc wysunięciem *c*. Stosunki między-alianckie z tego okresu — ostatniego roku wojny — znane są na ogół z powojennych rekry minacji, z książek Churchilla, Deana, Byrnes'a i Stettiniusa z opublikowanych w Ameryce papierów jałtańskich : dramati personae są już ustalone i poznane, a faktów nowych znajduj się w tej części *Pierepiski* mało. Można więc tylko ograniczy się paru uzupełniającymi uwagami.

Sprawy polskie dostarczają aż do samego końca tematu d zupełnie bezpłodnej polemiki. O duchu i tonie jej prowadzenia o sposobie załatwiania spraw polskich bez Polaków świadcz dyskusje o demokratycznej prawowierności tych czy innych pol skich działaczy, a w szczególności argument Churchilla, wysu nięty w liście z 28 kwietnia 1945 za konsultacją Mikołajczyka odpowiada on całkowicie nowym warunkom wysuniętym prze Stalina, gdyż wespół ze Stańczykiem i Grabskim ,,wystąpił z opozycją... ponieważ nie podobał im się stosunek do Rosji a nade wszystko sprzeciwianie się uznaniu wschodniej granicy'' Tę kompromitującą obronę Mikołajczyka wobec Moskwy zacho wał Churchill, najwidoczniej dla potomności, opuszczając j w tekście ogłoszonym w swej książce. Ze swej strony listy Sta lina twierdzą o przechwyconej korespondencji Mikołajczyk z Krajem, zawierającej rzekome dowody popierania aktów ter roru przeciw sabotażystom sowieckim : niestety, *Pierepiska,* doś szczodra w przypisach, tym razem nie uzupełnia twierdze Stalina dowodami; tymczasem spełniły one jednakże swą rolę gdyż Roosevelt wziął je na serio.

Okres po Jałcie — ostatni miesiąc życia Roosevelta i tak zwane ,,wykonanie umowy jałtańskiej'' w sprawie polskiej — wymagają jeszcze zbadania oraz opracowań monograficznych Korespondencja Stalina dorzuca tu szereg ważnych szczegółów i kwestii dziś nie ulega, iż Roosevelt, zadrażniony szeregiem epi zodów czysto amerykańskich — sprawą jeńców, odmową podró

ży generała Deana do Polski, zatargiem o kapitulację południowych armii niemieckich, niedelegowaniem Mołotowa do San Francisco — postanowił sprawę polską wytoczyć na nowo. W zasadniczym piśmie z 1-go kwietnia zbija po kolei wszystkie wykrętne interpretacje Stalina, nastaje na konieczność sprawiedliwego rozstrzygnięcia — gdyż inaczej ,,wszystkie trudności i niebezpieczeństwa zagrażające jedności alianckiej... odżyją na nowo w jeszcze ostrzejszej formie''; wreszcie ostrzega Stalina przed niedocenianiem podstawowego faktu, że ,,naród amerykański'' jest istotnym kierownikiem swej polityki.

Było jednak już za późno — i dla Roosevelta, i dla świata.

Michał SOKOLNICKI

Pisma polityczne Norwida

Na 2 lata przed ostatnią wojną odkrywca NORWIDA (1821-1883), Zenon Przesmycki (Miriam), przystąpił z mym udziałem do wydania PISM WSZYSTKICH tego poety i myśliciela. Wydawnictwo to — podobnie, jak poprzednie, zaczęte w roku 1911 — przerwała wojna światowa. Z 9-ciu planowanych tomów ukazało się jednak tomów 7 (przeszło 2500 stron, petitem), w tym nieoceniony dotąd skarb, gromadzony przez Miriama w ciągu całego życia: 846 przeważnie nieznanych listów Norwida. Warto dodać, że zaledwie w 2 lata po wydrukowaniu tej korespondencji, wielka ilość listów Norwida (oryginałów) spłonęła w Warszawie, w zbiorach po-rappers（wilskich (1939 r.). Tragiczny los płonącej Warszawy podzielił również (w 1944 r.), cały nakład 7-go tomu PISM WSZYSTKICH, a mianowicie PISMA POLITYCZNE I FILOZOFICZNE C. Norwida.

Po wieloletnich zabiegach w Londynie, udało mi się wydać ponownie ten tom w Londynie (z egzemplarza korektowego) *). Tom poprzedza Przedmowa, oparta na zapiskach i moich wspomnieniach z rozmów, jakie miałem z Miriamem na temat poglądów politycznych Norwida. Jest to więc niejako ,,pośmiertny'' wstęp Miriama do tego tomu.

Poglądy te, wynik dojrzałych przemyśleń dziejów i człowieka, pogłębione doświadczeniami ciężkiego życia Norwida jako emigranta w Europie i w Ameryce, być mogą (i powinny!) drogowskazem w chaosie i fermencie przemian historycznych, które przeżywamy. Fakt, że przeszły one zwycięsko próbę czasu, czego nie można powiedzieć o poglądach żadnego innego poety polskiego z tego okresu — mówi sam za siebie najwymowniej.

Norwid przeciwstawiał się zarówno biernemu wyczekiwaniu cudu wyzwolenia jak i egzaltowanej ,,pewności'', iż jedyną drogą do wolności jest ,,ofiara krwi na ołtarzu ojczyzny''. Norwid twierdził, że ,,zmartwychwstać jest bolesnym trudem — *pracą* człowieka z Bożym dokonaniem: cudem''.

---

*) PISMA POLITYCZNE I FILIZOFICZNE. Wydał i przedmową poprzedził Z. Zaniewicki. Druk Oficyny Poetów i Malarzy. Londyn. Str. 288, 4 ilustracje, papier bezdrzewny. Cena 16 szylingów lub równowart.

Toteż, gdy dokoła niego wołano na emigracji: „zwyciężyć albo zginąć!”, czy „zemsta na wroga!” — on prostował: „pracować albo zginąć”, zemsta jest bronią niewolników, walczmy *prawdą*, krew rozrzutnie wylana na pewno Ojczyzny nie zbawi. Łatwo jest ginąć dla kraju — mówi — trudniej jest żyć i poświęcać się nieustannie, a tylko „poświęcenie się codzienne, i co-godzinne, i co-chwilowe, i to widzenie w każdej dobie narodowego interesu podoła tak wielkiej sprawie jak nasza”. Nie przeciwstawiał się Norwid idei walki zbrojnej, ale pod warunkiem, by „obok powstania mieczem — powstać siłą myśli”, by walkę poprzedził ofiarny trud duchowego i materialnego przygotowania się do walki i wyczekanie cierpliwe (nieraz męczeńskiej) na moment właściwy przez historię zesłany. A „tam, gdzie energia jest 100, a inteligencja 3, tam będzie co kilkanaście lat wyskok i *rzeź* jednego pokolenia”.

Nie proroków, wieszczących bliskie cudy (dla pokrzepienia słabnących serc) Polsce potrzeba, ale „cichych apostołów” prawdy, nawołujących do natchnionej pracy; nie ciągłych ofiar brak krajowi ale — Miłosierdzia i Sprawiedliwości społecznej. Norwid jest sam „kaznodzieją” pracy, pojętej jako twórczość na każdym, choćby najniższym szczeblu działania. „To pojęcie moje o pracy” — mówi Norwid w wydanym właśnie tomie — „*całe* jest, bo od brukującego ulicę — aż do Kopernika też same i jedne i zupełne”. I tylko taka „Praca jest *naprzód!* — wszystko inne jest wyzysk i próżniactwo”. Sztuka jest tylko „chorągwią na prac ludzkich wieży”.

W sumie, przeczył Norwid zarówno romantykom, którzy w życiu i historii dostrzegali tylko ducha, idee, natchnienia (Słowo), pomijając ciało i obowiązki doczesne, jak i — materialistom, którzy poza pracą codzienną, chlebem i mieczem — nie dostrzegali rzeczy wiecznych. Gani obie skrajności lapidaryzmem: „słowo co nic nie *czyni*, a czyn, co nic nie *mówi*: równa czczość”. Trza być „trzeźwym w rzeczach potocznych”, ale „zachwyconym w wieczne”, „treść niewidzialną z onych zgadując widocznych”.

Uważanie Polski za „naród wybrany”, za „Chrystusa ludzkości” uważał on za objaw „oślepienia rozpaczą” po stracie Ojczyzny. Dlatego wielokrotnie przestrzega przed rozpaczą, która jest matką błędów i tylko wrogom pożytek przynosi. („Strzeż się rozpaczy: ta jest nieprzytomność albo niepamięć o Najbliższym: Bogu!”) A przecież samo „życie jest to *przytomność*, a przytomność — obecność, a obecność jest jawność, z której rośnie sumienie, więc moc”.

Wielokrotnie nawołuje Norwid w PISMACH POLITYCZNYCH do zgody w kraju i na emigracji. „Bo Ojczyzna — ziomkowie! — jest to moralne *zjednoczenie*, bez którego partyj nawet nie ma, bez którego partie są jak bandy lub koczowiska polemiczne, których ogniem niezgoda, a rzeczywistością dym wyrazów”. Na próżno jednak pragnął Norwid, rodaków zaczarowanych poezją romantyczną, niby goście „Wesela” muzyką chochoła, „do rzeczywistości z marzeń wrócić — zmężnić — usumiennić”.

Poeta przestrzega w PISMACH przed zbliżającą się groźbą rasizmu (panslawizm uważał za jedną z jego odmian), który „burzy tylko — zaprzecza tylko — potem niknie”, jak i przed groźbą rewolucji, która jeśli nie jest tylko „stanem przechodnim” — musi „przemienić się w rozbój”.

Ludzkość („braterstwo ludów”) według Norwida jest jedynie „świętą abstrakcją”, jest pobożnym życzeniem udręczonych, ideą „na końcu narodów świata świtającą”. Poświęcanie interesów narodowych dla tego ideału jest straszliwym błędem, albowiem rzeczywistością historyczną są tylko narody: „te są, te żyją, cierpią, drgają — te istniejąc prawdziwie nie *inspirują* tylko jak ludzkość, ale obowiązują rzeczywiście”. Jedynie poprzez własny naród wiedzie droga do służenia innym narodom i ludzkości. Jeśli „minąwszy

naród" swój — padniesz w ramiona idei międzynarodowej „dasz jeść wszystkim, pić wszystkim na niedługo, ale, co *życia jest* to zgaśnie, ale twoje wojska ze sztandarami ogołoconymi z narodowego blasku *pierzchną*, a hetmany *pójdą w policjanty* z głodnym się ludem znów potykać, a pisarzom i mędrcom piersi weschną,a sztukmistrze nie znajdą już co począć — i nastąpi znowu rozłamanie, znów niejawność — Intryga".

Te kilka myśli wyjęliśmy z PISM POLITYCZNYCH, Norwida, by pokazać ich aktualność a często — nowość mimo, iż pisane były sto lat temu.

Zbigniew ZANIEWICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

TUREK (Wiktor). *Sir Casimir S. Gzowski*. Str. 109. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Instytut Polski w Kanadzie, 1957).

Wincenty Witos. W 60-lecie Ruchu Ludowego. Str. 64. (Wyd. Nakł. Polskiego Stronnictwa Ludowego, Londyn, 1957).

CZAYKOWSKI (Bogdan). *Reductio ad absurdum i Przezwyciężenie*. Str. 16. (Wyd. nakładem autora, Londyn, 1958).

GIERTYCH (Jędrzej). *Wrześniowcy*. Str. 276. Tom XXXV Serii Czerwonej Biblioteki Polskiej (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1957, cena 15 sh.).

MANNING (Clarence A.). *History of Slavic Studies in the United States*. Str. 117. (Wyd. The Marquette University Press. Milwaukee, Wis., 1957) cena 4,20 dol.

OBERTYŃSKA (Beata). *Ziarnka piasku*. Opowiadania i nowele. Str. 258. Tom XXXIV Serii Czerwonej Biblioteki Polskiej (Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas" Londyn, 1957, cena 15 sh.).

ARCISZEWSKI (Franciszek). *Cud nad Wisłą*. Rozważania żołnierza. Str. 196. Tom V. Serii Zielonej Biblioteki Polskiej. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1957, cena 15 sh.).

Readings in Canadian Slavic Folklore. Opr. i red. J.B. Rudnyćkyj. Str. 192. (Wyd. The University of Manitoba Press, Winnipeg, 1958).

Readings in Ukrainian Folklore. Opr. i red. J.B. Rudnyćkyj. II wyd. Str. 32. (Wyd. The University of Manitoba Press, Winnipeg, 1958).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

RYMKIEWICZ (J.M.). *Konwencje*. Str. 30. (Wyd. Biblioteka Poetów, Wydawn. Łódzkie, 1957.)

FICOWSKI (Jerzy). *Moje strony świata*. Str. 75. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957).

FRASIK (Józef Andrzej). *Śpiewny czas*. Str. 62. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957).

PIECHAL (Marian). *Ognie*. Str. 31. (Biblioteka Poetów. Wydawnictwo Łódzkie, 1958).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Byłbym rad gdyby Pan znalazł możność zamieszczenia paru uwag nasuwających się przy czytaniu doskonałego artykułu A. Hertza ,,Zmieniająca się Ameryka'' w styczniowym zeszycie ,,Kultury''.

Biologowie coraz częściej dochodzą do przekonania, że ewolucja gatunków — jakkolwiekbyśmy konstruowali sobie hipotetyczne modele jej mechanizmów i przyczyn — nie przebiegała nigdy jako proces jednostajny, lecz objawiała się w szeregu ,,wybuchów''. Analogiczne zjawisko można, jak się zdaje, wyznaczyć również w ewolucji — rozwoju procesów kulturalno społecznych, przynajmniej w zakresie naszego systemu kultury europejskiej. (A także w dziejach ewolucji psychiki. Jest to bowiem złudzenie, że psychicznie, w zakresie nawet najbardziej podstawowych reakcji, odczuć, spostrzeżeń, afektów czy instynktów człowiek nie zmienia się w sposób wyznaczalny z danych historycznych, literackich itd.). I tu, zmiany ewolucyjne ujawniają się w sposób ,,wybuchowy''. Temat ten jest bardzo kuszący, choć w warunkach emigracyjnych nie łatwo jest zdobyć możliwości mozolnych studiów i badań, aby zagadnienie takie rozwiązywać.

Artykuł Hertza nasuwa myśl, że może temat ewolucji naszej kultury, a choćby jej obecnego okresu ,,wybuchu'' dałby się podjąć wysiłkiem zbiorowym? Że materiały do jakiegoś sympozjonu w tym zakresie dałyby się zgromadzić z obserwacyj cząstkowych, zbieranych w różnych środowiskach cywilizacyjnych? W tym, nasze rozproszenie emigracyjne mogłoby być użyteczne.

Artykuł Hertza (łącznie zresztą z jego książką o Amerykańskich Stronnictwach Politycznych, wydaną ostatnio w bibliotece ,,Kultury'') jest znakomitym przyczynkiem do takiego właśnie, zbiorowego badania przemian kulturalnych na szerokim terenie kultury białej rasy. Naturalnie, można by sobie życzyć, aby autor tego znakomitego artykułu miał sposobność kontynuować swe studia. To co nam Hertz tu dał jest strawą doskonałą, ale tylko podnieca nasz apetyt. Powiedział on nam jak wygląda tam przemiana świata kapitału, oraz przemiany zorganizowanej warstwy robotniczej, chcielibyśmy jednak od razu dowiedzieć się więcej, podejrzewając, że ma on materiały, lub przynajmniej możliwości ich zdobycia, aby powiedzieć nie tylko, że zmiany takie zachodzą, ale też przedstawić w danych dokumentarnych zakresy tych zmian, ich tempo i ich tendencje.

Artykuł dotyka tylko, jakby przelotnie, zmian dotyczących świata rolnictwa, ale mimo gwałtownego uprzemysłowiania się naszej cywilizacji (a może właśnie dlatego?) zagadnienia rolnictwa, oraz ogólnie gospodarki surowcowej i energetycznej, oraz ewolucyjne zmiany nastawień i metod pracy w tych zakresach, są sprawą ogromnej wagi.

Wreszcie pozostaje niemałe zagadnienie zmian w świecie nauki, sztuki artystycznej i sztuki rozrywkowej. Są to wszystko pytania, na które dobrze byłoby mieć odpowiedzi i to, oczywista, nie tylko z terenu Ameryki,

ale i innych ośrodków cywilizacyjnych kultury białej rasy, zarówno przodujących jak zacofanych. Dopiero wtedy można by zacząć zastanawiać się zbiorowo, dyskusyjnie, nad wyprowadzeniem uogólnień i poszukiwaniem przyczyn, parametrów i układów odniesienia. Tymczasem takie próby muszą być przedwczesne. Słusznie też Hertz ich na ogół unika, w tych jednak wypadkach kiedy próbuje szkicować sytuacje społeczne jako przypuszczalne uwarunkowanie zjawisk — tam od razu budzi wątpliwości.

Powiada on, na przykład, że charakter ruchu robotniczego, wyrażający się w Ameryce w formie opierania się związków zawodowych na zasadach ,,techniki" przemysłowo-handlowej i kierowanego przez wyspecjalizowanych ,,managerów" (nie zaś techniki politycznej, przy kierownictwie ,,ideologów") wynika jakoby z bezklasowego, czy egalitarno-demokratycznego charakteru społeczeństwa amerykańskiego. Wniosek taki narzuca się po prostu naturalnie, jeżeli materiał obserwacyjny ograniczony jest wyłącznie do terenu amerykańskiego. Złudność takiego przypuszczenia ujawnia się jednak natychmiast, przy porównaniu z innymi terenami. Na przykład, zupełnie analogiczny charakter cechuje związki zawodowe brytyjskie, choć rozwijają się one na terenie społeczeństwa o zabytkowym systemie klasowym, a w każdym razie w warunkach społecznych jaskrawo różnych od amerykańskich. (Ten charakter brytyjskich związków zawodowych podkreślałem już w broszurce informacyjnej, drukowanej przed dziesięciu laty w Londynie). Tu również związki zawodowe noszą zasadniczo charakter organizacyj nie-politycznych, kierowanych przez zawodowo, w tym specjalnym kierunku, kształconych fachowców. Zdaje się, że w krajach skandynawskich ruch zawodowy również przybiera podobne formy.

Naturalnie, istnieją znaczne różnice pomiędzy ruchem zawodowym w W. Brytanii i USA, ale uderzają również pewne cechy zbieżne i byłoby rzeczą interesującą wyanalizowanie przyczyn tych zbieżności. Czy ich podłożem są wspólne pierwiastki tradycji świata anglo-saskiego, czy też są to cechy głębsze, obecne w całej kulturze białej rasy i ujawniające się na odpowiednim poziomie cywilizacyjnym, niezależnie od miejscowych różnic społecznych ?

Temat ten jest tym bardziej interesujący, że również w zakresie kapitału przemysłowego i kapitału finansowego przemiany zachodzące na terenie W. Brytanii są analogiczne do tych przemian, jakie na terenie amerykańskim notuje Hertz, a może nawet są bardziej zdecydowane.

Myślę, że nie trzeba tu dodawać argumentacji, że studia z tego zakresu mają nie tylko czysto akademickie znaczenie.

Łączę wyrazy poważania

J. HORZELSKI



Szanowny Panie Redaktorze!

W ogłoszonym w grudniowym zeszycie *Kultury* studium z okazji 40-lecia ,,Rewolucji zawczasu zapowiadanej" wspomniałem o ogłoszonej w londyńskich *International Affairs* depeszy ministra v. Kühlmanna do Wilhelma II w sprawie niemieckiej pomocy finansowej dla akcji Lenina.

W dniu 7 listopada ub. r. wydawany we Frankfurcie niezależny dziennik niemiecki *Die Welt* ogłosił w tej sprawie dalsze informacje i materiały. Są one zawarte w źródłowym artykule Juliusza Epsteina, którego redakcja *Die Welt* nazywa jednym z najlepszych znawców archiwów niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z lat 1867-1920, znajdujących się obecnie w Stanach Zjednoczonych.

Odsyłając zainteresowanych tą sprawą — którą redakcja *Die Welt* określa jako „jeden z najbardziej ponurych rozdziałów historii wilhelmowskich Niemiec" — do wspomnianego artykułu pt. „Lenin und des Kaisers Millionen; aus den Akten der Wilhelmstrasse zur Geschichte der Oktoberrevolution", ograniczę się tu do jednej tylko z niego cytaty, która streszcza ogólne wnioski p. Epsteina:

„Historia nie może potępić Lenina za to, że przyjmował niemieckie miliony. Potępić można tylko cesarskie Niemcy za to, że miliony te dawały. Jednak szczególna amoralność Lenina i komunistów do dzisiejszego dnia polega na tym, że w ciągu 40 lat zaprzeczali oni temu, co obecnie jest stwierdzone przez akty Wilhelmstrasse".

Łączę wyrazy poważania

W. SUKIENNICKI

◆

Brisbane, Qld, 30. XI. 1957

Szanowny Panie Redaktorze !

Zmiana adresu spowodowała bardzo spóźnione doręczenie mi Pana listów, tekstu audycji rozgłośni „Kraj" i „Po Prostu" z 12 maja 1957 poruszających sprawy NSZ.

„Kraj" w dniu 18 października 1956 podał sprawozdanie płk. Rzepeckiego z rozmowy generałów Bora-Komorowskiego i Pełczyńskiego o artykule „Mówi Dokument" w „Po Prostu" z 5 sierpnia tegoż roku.

„Dokument" jest raportem płk. Rzepeckiego, złożonym gen. Roweckiemu w sprawie wcielenia Narodowych Sił Zbrojnych do AK.

Wspomniany kilkakrotnie przez płk. Rzepeckiego jako b. Szef Sztabu Dowództwa NSZ i specjalny emisariusz do Naczelnego Wodza w Londynie prostuję pewne stwierdzenia mego byłego wykładowcy z WSWoj. (cytuję wg. materiałów nadesłanych mi przez „Kulturę").

1. „natychmiast po ogłoszeniu powstania NSZ... gen. Rowecki)... opracował potępienie samego utworzenia NSZ, ogłoszone w „Biuletynie Inf." z 18 marca 1943".

OTÓŻ w lipcu 1942 r. powstały NSZ, co stało się sprawą znaną powszechnie w podziemiu. W sierpniu Dowódca NSZ, płk. Czesław, nawiązywał pierwsze próby porozumienia z ZWZ — a „potępienie" ogłoszono w 9 miesięcy później, gdy NSZ nie chciały się rozwiązać.

AK (przemianowana w międzyczasie z ZWZ) żądała rozformowanie oddziałów i wcielania pojedyńczych żołnierzy.

2. „Gen. Rowecki chciał nie dopuścić do stworzenia NSZ i zabiegał o to wszelkimi środkami".

Wierzę w chęci gen. Roweckiego, ale zabiegi jego musiały być bardzo ograniczone i mnie nieznane, bowiem nie miał dojść do Związku Jaszczurczego, który głównie spowodował powstanie NSZ w porozumieniu z częścią S.N. (N.O.W.).

3. „Rowecki... zapytywał nas o znajomych w... NSZ i kazał odbyć mi rozmowę i wyznaczył termin na 15 maja 1943, obiecując przekazać kpt. Żochowskiemu moje zaproszenie. Przed tą datą jednak Żochowski wyjechał zagranicę".

Próbowałem za zgodą Dowódcy NSZ nawiązać kontakty z płk. d. Taborem (Tatarem) i płk. d. Rzepeckim. Kapitan d. Tadeusz Wojciechowski, zamordowany później przez Niemców we Lwowie, zameldował wyżej moje propozycje. Podobnie mjr. d. Bohdan Zieliński i kpt. d. Kiwerski (Oliwa) nie osiągnęli dla mnie żądanego widzenia.

W swoim szkicu ,,Narodowe Siły Zbrojne'' — ,,Kultura'' Nr 5/31 — wspominam o innych moich próbach rozmów z Dowództwem AK.

W maju 1943 Dowódca NSZ (Pan Czesław) zniechęcony rozmowami z gen. Korczakiem (Borem-Komorowskim), który nic stanowczego i wyraźnego zdeklarować nie chciał czy nie umiał, widział się osobiście z gen. Grotem (Roweckim). Wierzę, że gen. Rowecki doprowadziłby do współpracy lub połączenia, bowiem pan Czesław po powrocie z rozmowy wyrażał się z uznaniem o realnym ujmowaniu spraw, ale w czerwcu Grot został aresztowany, a w kilka tygodni później Gestapo wzięło i pana Czesława.

Obiecanego przez gen. Roweckiego zaproszenia nie otrzymałem i dlatego nie widziałem się z płk. d. Rzepeckim. Był on źle poinformowany co do daty opuszczenia kraju przeze mnie. Wyjechałem z Warszawy 4 listopada 1943.

Nasuwa się wniosek, że nikt z Dowództwa AK nie pragnął rzeczowego przedyskutowania możliwości wcielenia NSZ. AK wiedziała dobrze o zamierzonym przeze mnie wyjeździe nie znając tylko daty i trasy.

4. Dalej wspomniał płk. d. Rzepecki o ,,ohydnym mordzie pod Borowem''. Krwawe spotkania oddziałów tej samej narodowości są zawsze czarną kartą. Tu było działanie o charakterze policyjnym, ochrony mienia i życia obywateli przed oddziałem komunistycznym (A. L.) Dowódca oddziału NSZ wykonał swe zadanie w myśl instrukcji ,,Akcja Specjalna Nr 1''. W tym wypadku był broniony dwór. Wygodna to okazja do napaści na tle różnic socjalnych. Jednakowo broniono chłopów czy mieszczan.

NSZ beznadziejnie walczyło z Niemcami i Rosjanami i ich bojówkami AL, czy GL. AK politykowała, tworzyła wachlarz wszystkich kierunków politycznych, co znakomicie ułatwiało przeciekanie wiadomości, a potem na gruncie nieprawdopodobnej współpracy doprowadziło do likwidacji 27. DP. AK na Wołyniu, 1. i 19. DP. AK na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkiem.

NSZ stała na stanowisku szerokiej demokratyzacji życia w Polsce, reformy rolnej i poprawy warunków zarobkowania robotnika. Katolickie zasady stosunków między pracodawcami a pracownikami przyświecały planom, szykowanym na okres powojenny. Nie godziła się jednak prawicowa myśl polityczna na zalew komunizmu w przyjacielskiej formie, likwidację prywatnej własności bez odszkodowania, zwalczanie religii i na wschodnie polepszenie poziomu życia.

NSZ wchłonęła elementy rdzennie polskie, prawicowe a ideowe kierownictwo mieli ludzie, którzy odbyli swój stage polityczny w Berezie jako członkowie ONR. Był to kierunek znienawidzony przez stupajki z okresu po-Marszałkowskiego, jak i przez skrajną lewicę, ciągnącą naród w ręce Moskwy.

Był to kierunek niezależny, który ani pieniędzy, ani broni z Londynu nie otrzymywał. Oparty w całości o społeczeństwo, złożony z elementów młodych, nie idących na lep korzyści doraźnych, ani obietnic rządzenia Polską z czerwonego mandatu. Nie potrzebuję dodawać dla jako tako poinformowanych, że sławny Piasecki i jego faszyzm, zawsze gotów do służby za pieniądze, nie miał nic wspólnego z NSZ.

Z przykrością spotykam (czasem i w ,,Kulturze'') niewybredne ataki na NSZ. Czynią to ludzie, którym oczy nie otworzyły klęski w 1939 i 1944.

Ludzie, którzy przygotowywali opanowanie Kraju wbrew Londynowi i Prawicy, mniej lub bardziej amarantowej. Jestem przekonany, że jeśli zaistnieją warunki nasza praca z tamtego okresu da jeszcze wschód dobrego ziarna leżącego w glebie.

W ,,Po Prostu'' z 12 maja ub. r. niejaki M. Moczar z Kieleckiego obwodu AL po antyfonie do prawdy, historii i dokumentów, z pianą na piórze znów atakuje NSZ z powodu Borowa.

Typom tego rodzaju się nie odpowiada. Redaktorowi ,,Po Prostu'' odpowiedzieć nie można, bo za odrobinę październikowego odwilgania pewnie siedzi w więzieniu. Moczar pozbierał urywki z mego szkicu o NSZ, wyciągnął dwójkarski list gen. Pełczyńskiego, dementujący moje z nim spotkanie i kubeł pomyj wylał na NSZ.

Dopóki nie opadną fale walk politycznych a z ocalałych archiwów nie wyciągnie się właściwych dokumentów sprawa NSZ, będzie dalej obsmarowywana.

S. ŻOCHOWSKI, mjr dypl.



Kraków, dnia 4 lutego 1958.

Proszę uprzejmie o zamieszczenie następującego listu na łamach ,,Kultury'':

W dniu dzisiejszym otrzymałem z Kanady od Klubu Artystyczno-Literackiego w Toronto oraz od Stowarzyszenia Techników Polskich w Toronto list z podziękowaniem za pogadankę wygłoszoną tamże w grudniu ubiegłego roku. Do listu dołączono dar pod postacią bardzo cennego wiecznego pióra. Dziękując gorąco obu Stowarzyszeniom za życzliwe i serdeczne słowa, donoszę równocześnie, że nie czuję się w możności przyjęcia tak cennego daru, który wobec tego przekazałem na rzecz funduszu przy kościele św. Anny w Krakowie pomocy dla ubogich studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Karol ESTREICHER,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

PS. — Odpowiednie pokwitowanie załączam.



Londyn, 5. 2. 1958

Drogi Panie Redaktorze!

Wdzięczny byłbym za umieszczenie poniższej odpowiedzi na list p. K.J. Krótkiego w styczniowym numerze ,,Kultury''.

W swym esseju (,,Kultura'' listopad 1957) starałem się uwypuklić niektóre tendencje rozwojowe i przeobrażenia w patologii społecznej ludzkości w połowie bieżącego stulecia. Pan K. J. Krótki jest niezadowolony z tego iż dla uwydatnienia przemian znamiennych dla naszej cywilizacji nie obrałem sobie jako wzorca niektórych szczepów murzyńskich w Afryce. Przy

znaję się, że uważałem statystyki z przodujących krajów anglosaskich (prawdopodobne 8% — pro mille, przewidywanej śmiertelności rocznej) za bardziej reprezentatywne dla oświetlenia interesującego nas zagadnienia; problem ten zresztą szerzej omówiłem w książce swojej „XX wiek i twoje serce" (Księgarnia B. Świderski, Londyn, 1958). Cieszę się że praca moja była dla pana Krótkiego źródłem podniety do dalszych badań. Czekamy niecierpliwie na ich rezultaty.

Łączę wyrazy poważania oraz uprzejme pozdrowienia

Henryk SPEEDBY-SZPIDBAUM



Londyn, 20. 1. 1958.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę sprostować błąd a co najmniej niejasność zawartą w Indeksie Autorów i tematów „Kultury" za rok 1957 (*Kultura*, 123/124). Na stronie 234 pod nagłówkiem „Tłumaczenia" znajduję pozycję „Z języka arabskiego" do której zaliczył Pan moje tłumaczenia z poezji arabsko-andaluzyjskiej. Wynika z niej, że przekładałem bezpośrednio z języka arabskiego, co nie jest zgodne z prawdą, gdyż, niestety, nie znam tego języka. W pracy mojej posługiwałem się antologią, którą w szatę hiszpańską przyoblekł Emilio Garcia Gómez.

Łączę wyrazy szacunku.

Florian ŚMIEJA



Toledo (Kanada), 9. 1. 1958.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. Andrzeja Vincenza, zamieszczonym w Nr 12/122 miesięcznika „Kultura" pt. „Rzecz o polszczyźnie", na str. 119 jest wzmianka, przypisująca p. Stanisławowi Westfalowi przeoczenie w następujących dwu zdaniach: „... Na zakończenie, skoro mowa o brakach książki, to choć nie jest pisana dla specjalistów, indeks by się przydał. A wreszcie, na str. 184, przez jakieś dziwne przeoczenie Krasicki został autorem „Wojny Chocimskiej".

W dziale „Listy do Redakcji", proszę uprzejmie o zamieszczenie mego wyjaśnienia p. Andrzejowi Vincenzowi. Pozwalam sobie zwrócić uwagę p. Andrzejowi Vincenzowi, że p. Stanisław Westfal ma rację, bo Ignacy Krasicki jest autorem poematu „Wojna Chocimska", napisał go w roku 1780. Każdy podręcznik literatury polskiej: Brücknera, I. Chrzanowskiego, J. Krzyżanowskiego, P. Chmielowskiego i innych przekona p. A. Vincenza o tym.

Zechce Pan, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Juliusz SKIBIŃSKI

Winnipeg, Man. 6. 1. 58.

Drogi Panie Redaktorze,

Jeśli można, bardzo prosiłbym o łaskawe zamieszczenie w „Kulturze" poniższego:

Przez bardzo długi czas rodzina moja — żona i córka — przebywająca chwilowo w Europie, nie mogła i nadal nie może otrzymać od władz kanadyjskich potrzebnych dokumentów podróży, na podstawie których mogłaby powrócić z powrotem do Kanady.

W Kanadzie rodzina moja posiada prawo stałego pobytu na zasadzie azylu udzielonego nam w roku 1953 przez Canadian Department of External Affairs w Ottawie.

Z góry dziękując za łaskawość, kreślę się z należnym poważaniem

Michał KRYCUŃ
b. konsul polski w Kanadzie.

NAGRODA " MERKURIUSZA POLSKIEGO " DLA KRYTYKÓW

Jak donieśliśmy w komunikacie rozesłanym do prasy w lecie ub. roku, „Merkuriusz Polski" ustanowił, z funduszu przyznanego na ten cel przez Melchiora Wańkowicza, Nagrody dla Krytyków Literackich młodszego pokolenia w Polsce i za granicą, za działalność w latach 1955-1957. Podajemy obecnie do wiadomości wyniki prac jury i nazwiska nagrodzonych krytyków.

Jury Nagród „Merkuriusza Polskiego" dla Krytyków Literackich, w składzie: Paweł Hertz, Czesław Miłosz, Bolesław Taborski, Wit Tarnawski, Jerzy Zawieyski, postanowiło — ze względu na istnienie sporej ilości godnych uznania talentów wśród krytyków o powojennym debiucie — powiększyć ogólną ilość nagród do czterech równorzędnych, z których każda wynosi 45 funtów szterlingów.

Jury przyznało powyższe nagrody następującym krytykom:

Jan Błoński (Kraków)
Andrzej Kijowski (Warszawa)
Zygmunt Kubiak (Kraków)
Marian Pankowski (Bruksela).

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: *cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 1er *Trimestre* 1958.



Nowe wydawnictwo "Libelli"

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOSY PASIERBÓW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella" lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order".

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order".

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przesyłać do:

"LIBELLA"
12, rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IVe
France

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Hanna Lekszycka,** Av. Dr. Arnaldo 1513, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : « Ostatnie Wiadomosci », Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 127-97th Str., Brooklyn, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lire

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 220 frs.